

Fryderyk Masson

Członek Akademii Francuskiej

Przed stu laty

Szkice o Napoleonie

Z przedmową

Prof. Szymona Askenazego

Z siódmego wyd. francuskiego

przełożyła

Emilia Leszczyńska



Lwów — 1912

Nakładem księgarni H. Altenberga

Warszawa — E. Wende i Sp.

PRZED STU LATY





NAPOLEON

Niepublikowany dotychczas obraz znajdujący się w prywatnych apartamentach króla Saskiego.

FRYDERYK MASSON

CZŁONEK AKADEMII FRANCUSKIEJ

PRZED STU LATY

SZKICE O NAPOLEONIE

Z PRZEDMOWĄ

PROF. SZYMONA ASKENAZEGO

Z SIÓDMEGO WYD. FRANCUSKIEGO

PRZEŁOŻYŁA

EMILIA LESZCZYŃSKA



NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
□ □ WARSZAWA — E. WENDE I SP. □ □

1912

200 02 11

D-210/p3

BIBLIOTEKA UNIERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0269981



38655

P

FRYDERYK MASSON.



Historyografia Napoleona I. rozrasta się do rozmiarów coraz ogromniejszych. W najnowszym zestawieniu, zresztą rozpoczętej dopiero, niedostatecznej z wielu względów, i zgoła niewyczerpującej przedmiotu, niemieckiej Bibliografii Napoleońskiej F. M. Kircheisena, podaną została, wliczając zarówno opracowanie i źródła, na przeszło 70.000 numerów. W olbrzymim tem piśmiennictwie napoleońskim możnaby, pod pewnym kątem widzenia, w kolei chronologicznej, rozróżnić z grubsza kilka wielkich załomów, jak gdyby etapów rozwojowych.

Pierwszy wyobrażała sama doba napoleońska, mieszcząc w sobie najwcześniejszą i najdalej posuniętą dwoistą skrajność historyograficzną: bałwochwalstwo bezwzględne obok bezgranicznej kalumnii. Tamto wszędzie, gdzie i póki władał Napoleon; tę wszędzie, dokąd on nie dotarł, albo skąd został wyparty. Życiorysy apologetyczne zaraz po pierwszych zwycięstwach włoskich młodego generała ukazywać się zaczynają we Francyi, Włoszech, Niemczech; mnożą się znakomicie za Konsulatu; stają się obowiązkowe za Cesarstwa. Wcześniej też,

wyprzedzając samą osobę cesarza, trafiają one także na niewyzwoloną jeszcze przez niego ziemię polską. Tutaj zawczasu już, na długo jeszcze przed powstaniem Księstwa Warszawskiego, entuzjastyczni biografowie polscy, o ile było to możliwem pod cenzurą trójpodziałową, starają się wystawić rodakom wielkość nowego bohatera Zachodu, twórcy legionów polskich; a czynią to w osobiwszym nieraz sposobie, jak n. p. pocziwy ksiądz Grzegorz Kniaziewicz, proboszcz katedry wileńskiej, który w swoim życiorysie »Neoptolema Bonaparty«, wydanym w 1802 roku, prezentuje go przedewszystkiem jako bardzo dobrego »szlachcica Korsykana«, przeniknionego »powinnym szacunkiem dla Jego Świątobliwości Papieża«. Równolegle zaś na gruncie koalicyjnym w Anglii, Rosyi, Austrii i Prusiech, a i w obrębie odpowiednich dzielnic rozbiorowych polskich, z wrogiego natchnienia rządowego powstaje najgwałtowniejsza literatura antynapoleońska. Miarę jej nastroju daje choćby odezwa św. Synodu rosyjskiego z grudnia 1805 r., głoszona z urzędu po cerkwiach co niedziela i święto, a przedstawiająca »Bonapartę« jako wcielonego Antychrysta, który oddaje cześć boską bałwanom i ladacznicom, zaprzysiągł Alkoran, zwołał Sanhedryn żydowski dla ponowienia wyroku na Chrystusa, wreszcie »o zgrozo niesłychana, przechodząca wszelkie zbrodnie, sam siebie nazwał Zbawicielem«. W pewnym, choć oczywiście słabszym stosunkowo stopniu, wpływy tego kierunku zohydzającego wystąpiły zwłaszcza w Galicyi w r. 1809, oraz na Litwie w 1812—13 r.

W następnej dobie Restauracyi i monarchii lipcowej, a zarazem Królestwa Kongresowego i emigracyi polistopadowej, zrazu, rzecz prosta, wziętą na całej linii górę prąd nawskróś negatywny. Na upadłego cesarza rzuciła się zajadle chmara pisarzy i pismaków zwycięskiej koalicyi, którym przyszło w te pędy z gorliwą pomocą sporo renegeatów, dawnych sług cesarskich, w rodzaju byłego ambasadora w Warszawie, księdza Pradta, albo byłego sekretarza przybocznego przy generale Bonapartem, Bourrienna, używanego ongi przez Sułkowskiego i Dąbrowskiego w interesach legii polskich. Ale niebawem w przeciwnym wręcz kierunku tem silniejsza ujawniła się reakcja w obronie osoby i czynów napoleońskich. Znalazła ona sobie wyraz w rozgłosnych apologetycznych pismach z wyspy św. Heleny, we wspianiem wydawnictwie byłych oficerów Wielkiej Armii o jej »Kampaniach i zdobyczach«, w powodzi pamiętników wojennych, w obszernem dziele historycznym zacnego Bignona, ongi posła w Warszawie i Wilnie, mianowanego niejako z urzędu historyografem obrończym cesarstwa przez wolę ostatnią więźnia ze św. Heleny. W Królestwie Kongresowem równocześnie sympatye napoleońskie, głęboko zapadłe w serca dawnych żołnierzy b. Księstwa, inteligencji, a nawet usamowolnionego ludu wiejskiego, nie mogły dla względów cenzuralnych z pełną występować swobodą. Potem zaś, na emigracyi, pod wpływem bądź to Adama Czartoryskiego, niegdyś długoletniego przeciwnika cesarza, bądź też radykalniej zabarwionych żywiołów republikańsko-de-

mokratycznych, wytworzył się nastrój raczej dla Napoleona nieprzychylny, ze sporą, co prawda, liczbą wybitnych wyjątków, wśród których najwybitniejszym oczywiście pozostał Mickiewicz.

Przejsście piśmienniczo-naukowe do fazy następnej w literaturze napoleońskiej stanowiło wielkie dzieło Thiersa o dziejach Konsulatu i Cesarstwa. Oparte na materyale źródłowym, jak na owe czasy poważnym, a ponadto na niektórych pierwszorzędnych a zamierających już relacjach ustnych, pisane żywo, treściwie, barwnie, spopularyzowało ono w szerokich warstwach we Francji i za granicą, pozbawionych już tradycji żywej, całokształt oddalającej się szybko, wkraczającej w dziedzinę legendowe, przeszłości napoleońskiej. Szwankowało zresztą to obszerne, na dużą skalę zakrojone dzieło, pod niejednym względem zasadniczym; wyraźnie dawało się w niem odczuwać bardzo nierównomierne, częstokroć wprost powierzchowne zużytkowanie materyału źródłowego; wyraźnie też występowało zbytne poddawanie się osobistej sugestji starego Talleyranda, który młodemu Thiersowi z rozmyślną uczynnością słownych udzielał wyjaśnień, aby zawczasu oszukać przyszłość, jak był oszukiwał przeszłość; a nie brakło także, między innemi, pewnych niesprawiedliwości i błędów, wynikających z pewnych nieprzychylnych uprzedzeń autorskich względem Polski. W nieukończeniu wyższym jeszcze stopniu, wprost już przełomowe znaczenie dla dalszej historyografii napoleońskiej posiadało podjęte następnie za drugiego Cesarstwa, na mocy dekretu Napoleona III

z 1854 r., pomnikowe wydawnictwo Korespondencji Napoleona I., którego tom wstępny ukazał się w 1858 r., a ostatni w samym przededniu nowej druzgocącej katastrofy napoleońskiej, wojny prusko-francuskiej 1870 r. Pomimo wad nadwyzczaj dotkliwych, cechujących to wydawnictwo, trzymane w duchu czysto urzędowym, poddawane przez cesarską komisję wydawniczą systematycznej, bezwzględnej, często niedorzecznej »epuracji«, — której rozmiary dziś dopiero, wobec mnóstwa już ogłoszonych i wciąż jeszcze pojawiających się publikacji uzupełniających, mieszczących tysiące *ineditów* napoleońskich, dają się należycie ocenić, — bądź co bądź trzydzieści tomów Korespondencji stało się i pozostaje po dziś dzień punktem wyjścia wszelkich dalszych prac o Napoleonie I. Zresztą w tym samym czasie również i prąd ujemny w stosunku do osoby i polityki napoleońskiej zachował swoje prawa, między innemi w rozgłośnej historyi-pamflecie Laufrey'a najdotkliwszy znajdując sobie wyraz.

W najnowszym, sięgającym do dziś dnia okresie, za społecznej trzeciej Rzeczypospolitej, z początku znowuż zapanował, zapanować musiał taki mianowicie ujemny, potępiający kierunek w historyografii napoleońskiej we Francji. Za Napoleona Małego, który o nową straszliwą porażkę przyprowadził naród francuski, i to nie tylko za zewnętrzne, ale i wewnętrzne objawy tej porażki, nie tylko za Sedan ale i za Komunę, pociągnięty został do odpowiedzialności Napoleon Wielki. W takim mianowicie kierunku poszło znakomite dzieło Taina o Źró-

dłach Francyi społecznej, poczęte nie tyle w myśli czysto historycznej, ile z pobudek troski obywatelskiej, mające nie tyle na celu obiektywne zbadanie przeszłości, ile logiczne wyprowadzenie z niej klęsk teraźniejszości, a tem samem wyprowadzenie nauk politycznych dla przyszłości. Z takiego, zrozumiałego skądinąd, dyktowanego przez gorliwość patryotyczną, lecz nawskrós niehistorycznego wyszedłszy założenia, Taine w swoich konkluzjach, jak było z góry do przewidzenia, doprowadzony został do wydania jak najsurowszego wyroku na Napoleona I i całą jego działalność, lecz koniec końcem, pomimo włożonego w swoje badania historyczne, a raczej w swą rozległą historyczno-polityczną ankietę, znacznego wysiłku naukowego, zupełnie przecie chybił pod względem ściśle naukowym, nie uchwycił zgoła ani istotnej indywidualności duchowej cesarza, ani jego istotnej roli dziejowej.

Wnet jednak przeciw koncepcyi potępiającej Taina, bezwzględnej, wyjaskrawionej, a trzymającej się głównie jego potężnym talentem pisarskim, nastąpił raz jeszcze zwrot stanowczy i, jak się zdaje, ostateczny. Ostateczny podobno tym razem, — albowiem płynie on obecnie z całej pełni rozwartych na oścież i wyczerpywanych do dna źródeł archiwalnych, a płynie przytem naraz ze stron najrozmaitszych, najprzeciwniejszych, z takich zwłaszcza, których zgodność w tym samym jednolitym zwrocie dodatnim posiada szczególniejszą, przekonującą *a fortiori*, decydującą wprost doniosłość. W rzeczy samej, najnowszy, a na ogół na

całej linii rehabilitujący Napoleona I zwrot historyograficzny wyszedł nasamprzód z tej mianowicie strony, skąd dotychczas stale inicjowany i zasilany bywał kierunek oskarżycielski, — ze strony koalicyjnej. Wyszedł od przedstuletnich śmiertelnych wrogów cesarza, od Anglików, Prusaków, Rosyan. Nowożytni uczeni i politycy angielscy tej miary jak Browning albo lord Rosebery nie wahali się wziąć z zapalem w obronę Napoleona i otwarcie odsłonić ciężkich win, wobec niego ongi przez Anglię popełnionych. W Prusiech nowożytnych, które pod względem militarnym, w osobie Moltkego i jego współpracowników, tak skutecznie skorzystały z wielkich wzorów strategii napoleońskiej, a i pod niejednym względem politycznym, po zdobyciu górującej w Europie roli mocarstwowej, stanęły poniekąd w analogicznych do pierwszego Cesarstwa warunkach, geniusz wojskowy i polityczny Napoleona znalazł sprawiedliwych sędziów a nawet gorących admiratorów naukowych w osobie badaczy takich, jak Delbrück, Goltz, Bleibtreu, Roloff, Lenz, Lehmann i wielu innych. W Rosyi społecznej, gdzie co prawda nasamprzód w znacznej mierze na skutek pobudek raczej aktualnych, zrodzonych z nowego aliansu franko-rosyjskiego, zwrócono oczy ku tylżyckiemu precedensowi tego sojuszu, wytworzyła się ostatnimi czasy cała, nawskrós odmienna od dawnej, ziejącej tendencją i nienawiścią, czysto przedmiotowa i źródłowa literatura napoleońska, której przedstawicielami zostali tak wybitni uczeni jak Szylder, Traczewskij i wielu innych, a wśród nich badacze, posiadający wyjątkową

możność sięgnięcia do głębi źródeł dziejowych, jak W. Książę Mikołaj Michajłowicz, i która też na ogół, w ostatecznych swoich wynikach, w dodatniem świetle przedstawiła Napoleona, a nawet równocześnie w nader ujemnem wystawiła jego przeciwnika i pogromcę, Aleksandra.

Takiemu, zgoła nieoczekiwanemu zwrotowi historyografii zagranicznej, koalicyjnej, odpowiada ściśle równoległa reakcyja na rzecz Napoleona w piśmiennictwie historycznem francuskim. Wbrew bezwzględnyom konkluzjom antynapoleońskim, górującym w końcowych tomach wielkiej ankiety Tainowskiej, najznakomitszy uczeń i przyjaciel Taina, Sorel, w szeroko zakreślonej swej pracy o Europie a rewolucyi francuskiej, pracy będącej w zakresie zagadnień polityki zagranicznej odpowiednikiem dopełniającym wywody Źródeł Francyi spółczesnej w zakresie zagadnień polityki wewnętrznej, doszedł pod koniec do wniosków wręcz przeciwnych, usprawiedliwiających w ogólności akcyę europejską cesarza, a nawet całkiem solidaryzujących się z nią w wielu punktach najważniejszych. Jednocześnie jak gdyby to leżało już w powietrzu i czekało jeno pierwszej, bodaj najblachszej pobudki — jak n. p. liche i kłamliwe pamiętniki Marbota albo karykaturalne sylwetki Caran d'Acha, — dla żywiołowego wydobycia się na jaw, nastąpiło we Francyi niby szczególniejsze odrodzenie popularności cesarza i całej doby napoleońskiej. Otworzyły się upusty niezliczonych wydawnictw pamiętnikarskich i dokumentowych, dotyczących tej doby, wśród których miej-

sce naczelnę zajęły rozległe publikacye treści czysto wojskowej, z inicjatywy francuskiego Sztabu Generalnego. Zarazem zaś wystąpił cały szereg pierwszorzędných uczonych specjalistów, odznaczających się tyleż dużym talentem pisarskim, co wszechstronną gruntownością badawczą, jak Masson, Vandal, Chuquet, Houssaye i inni, którzy w licznych cennych, po części świetnych opracowaniach, opartych na poważnym aparacie źródłowym i krytycznym, zajęli się wyświetleniem rozlicznych stron i momentów osoby i działalności Napoleona, z wynikiem, zapewne rozmaitym niekiedy w szczegółach, lecz w ogólnej sumie niewątpliwie nawskróś dodatnim dla postaci i roli dziejowej cesarza.

Najdawniejszym i najpłodniejszym pracownikiem w tym szeregu spółczesnych badaczy napoleońskich jest wymieniony na czele p. Fryderyk Masson, którego ostatnie pisma pomniejsze, a raczej wybór tych pism ukazuje się obecnie w starannym, dokonanym z umiejętnością i zamięłowaniem przekładzie polskim. Mając mówić o p. Massonie, nie bez powodu wdaliśmy się w powyższy przydługi wywód ogólniejszy o historyografii Napoleona. Jestto, jak mniemalibyśmy, w intencji tego uczonego napoleońskiego entuzjasty, który nie sobą, lecz wyłącznie dziejowym swoim bohaterem jest zajęty, składając mu w ofierze całą swą osobowość pisarską, usuwając ją z zasady na plan drugi, pragnąc widzieć w sobie prostego tylko szeregowca w wielkiej armii historyograficznej, idącej śladami wielkiego cesarza. I w tem

właśnie nieograniczonem poświęceniu się dla sprawy Napoleona na polu nauki, jak ongi przed stu laty na polu bitew, leży właśnie oryginalna cecha indywidualności dziejopisarskiej p. Massona.

Urodzony w 1847 r., ze starej, czysto francuskiej, paryskiej rodziny mieszczańskiej, syn jedyny dobrego patryoty a gorliwego republikanina, p. Fryderyk Masson już w niemowlęctwie utracił ojca, który jako szef batalionu gwardyi republikańskiej zginął w straszliwej wojnie domowej z czerwca 1848 r. na ulicach Paryża — »poległ, — jak głosi jego nagrobek — walcząc za porządek publiczny«. Chowany w rodzinnej tradycji i zasadach republikańskich, korzystając z drobnej pensyi wyznaczonej przez drugą Rzeczpospolitą dzieciom ległych jej obrońców, osierocony młodzieniec, już za drugiego Cesarstwa objąwszy stanowisko urzędnika w Archiwum ministerium spraw zagranicznych, potem bibliotekarza, wcześniej zyskawszy tym sposobem przystęp do wielkiego zbiornika materiałów historycznych, pozostał przecie wiernym odziedziczonym przekonaniom, wyznawał konstytucję jakobińską 1793 r., był zawziętym przeciwnikiem koronowanego sprawcy zamachu grudniowego, rozczytywał się w *Châtiments* Wiktora Hugo, słowem, był jaknajdalej od myśli zostania kiedykolwiek szermierzem sprawy napoleońskiej. Tak doczekał się wojny pruskiej 1870 r. Niesłychana klęska narodowa uderzyła weń jak piorun i od jednego zamachu wyróciła wszystkie jego pojęcia. Akt obalenia Cesarstwa i ogłoszenia Trzeciej Republiki w obliczu nieprzyjaciela, wydał mu się

aktem sromoty i nierozumu, zdeptaniem najpierwszych w takiej chwili obowiązków patryotycznych. Temu przeświadczeniu, którego oczywiście można zgola nie podzielać, dał wyraz natychmiast, z właściwym sobie porywczym lecz lojalnym impetem: »wtedy to, 4 września 1870 r., — czytamy w otrzymanym od niego liście prywatnym — po raz pierwszy zawołałem: *Vive l'Empereur!*« Dotychczasowy przeciwnik panującego Cesarstwa uczynił się nagle stronnikiem upadającego; w tym, chociażby nieuzasadnionym, odruchu obywatela, przebijał, bądź co bądź, ów duch czystej, śmiałej lojalności, jaki odtąd, mimo pewne zboczenia, miał stałe cechować uczonego. Zaciągnąwszy się do szeregów w obronie ginącego kraju, p. Masson, na widok okropności Komuny, dalszych porażek, upokarzającego wreszcie pokoju, utwierdził w sobie nową swoją wiarę w »ewangelię« napoleońską. Pojmował ją zrazu w aktualniejszym znaczeniu politycznem. Przyłączył się do powstałego na gruzach drugiego Cesarstwa obozu bonapartystycznego, pracującego nad bezpośrednią restauracją napoleońską, służył wiernie wygnanemu Napoleonowi III, potem jego synowi, potem jego kuzynom. Ale wnet okazało się, że dla czystego człowieka, dla dobrego Francuza, a przedewszystkiem dla niepospolitego badacza, zapatrzonego w wielką przyszłość francuską, utożsamienie się z tymi ludźmi i ich robotą nie było podobieństwem. Okazało się, że p. Masson nie był, w gruncie rzeczy wcale bonapartystą w aktualnym sensie słowa, lecz był tylko Napoleonistą, w historycznem



słowa znaczeniu. Okazało się, że poza marną epigonową postacią Napoleona III i jego bliższej lub dalszej kompanii rodzinnej, z jaką sprzęgnięty został docześnie polityk, wyrastała w jego duszy granitowa postać Napoleona I, ku której siłą nieprzepartą dozgonnie pociągnięty został historyk.

I tak stał się p. Fryderyk Masson najgorliwszym, najpłodniejszym, niezmordowanym biografem genialnego Korsykańina, generała rewolucyjnego, pierwszego Konsula, cesarza, wygnańca ze św. Heleny. Całe swoje życie odtąd zadaniu temu poświęcił. Całą jego działalność naukową — z wyjątkiem paru zaledwie prac treści postronnej, jak szacowna i pożyteczna rzecz o »Departamencie spraw zagranicznych«, jak zajmujące studium o kardynale Bernisie, i t. p. — wypełniły zakrojone na dużą skalę Studya napoleońskie, idące z uczonym pietyzmem krok w krok tropem Napoleona I, od jego najwcześniejszych początków, odsłoniętych sposobem zgoła nieoczekiwanym, na podstawie nowych źródeł pierwszorzędnych, w ciekawej książce o Nieznanym Napoleonie, aż do tragicznego jego kresu, oświetlonego znowuż w sposób całkiem oryginalny, szeregiem łącznych przyczynków monograficznych, w badaniach obracających się Dokoła św. Heleny. To, co znajdujemy w tych kilkudziesięciu tomach *Études napoléoniennes*, to nie jest tak zw. wielka historia w utartym znaczeniu słowa, nie historia polityki i wojen Napoleona I, ale to są, bądź w drobniejszych ułamkach, bądź w szerszym ujęciu, dzieje bezpośrednie, poufne jego osoby, jego rodziny, jego współpracowników. P. Masson żywi

raczej niejakię uprzedzenie do owej »wielkiej historii«, a nawet do wielkich archiwów, gdzie »z wyjątkiem papierów osobistych, policyjnych, oraz niektórych dokumentów uratowanych trafem od systematycznego zniszczenia, znajduje się jedynie historia spreparowana dla użytku społecznych lub potomnych, materiały dla ksiąg Błękitnych, Białych lub Żółtych, tematy dla urzędowych dyssertacyi historyków patentowanych«. Niewątpliwie w tych słowach p. Massona mieści się pewna a nawet spora doza przesady, ale zawiera się też część prawdy, zazwyczaj zapoznawanej a wcale dobitnie zadokumentowanej *a contrario* w jego pismach własnych, które, acz nie tykają się wcale owych, tylekroć istotnie aż do bezpłodności uprawianych dziedzin historyografii »patentowanej«, jednakowoż w skromniejszym swoim, czysto osobistym zakresie, tak dużo przynoszą nowego, tak wielce nieraz ułatwiają i rozwidniają drogę badaczów szerszego zakroju. Skutkiem takiego specyficznego stanowiska p. Massona, jego odpornej a niekiedy i zaczepnej postawy względem cechu historyków zawodowych, skutkiem także pewnych właściwości jego metody pisarskiej, n. p. zupełnego z zasady unikania wszelkich wskazówek źródłowych, wreszcie skutkiem wciąż deklarowanej przezeń otwarcie i ogniste naczelną jego idei przewodniej, nieograniczonego uwielbienia i wprost zupełnego oddania się postaci dziejowej Napoleona, rzeczywiste, niepoślednie zalety wieloletniej jego pracy historycznej długo nie były należycie cennione i właściwie dopiero ostatnimi czasy, po-

mimo pewnych nieuniknionych zastrzeżeń krytycznych, zdobyły sobie słuszne uznanie świata naukowego.

W 1903 roku p. Masson wybrany został, po zmarłym Gastonie Paris, członkiem Akademii Francuskiej; a choć witający go z urzędu akademik Brunetière nie omieszkiał, w legitymistycznym duchu przeważnej części tego uczonego zgromadzenia umieścić w swojej mowie recepcyjnej niektórych osobliwszych, cechowanych szczególną *suffisance*, zwrotów przycinkowych pod adresem nowego kandydata, jednakowoż ten wybór spotkał się z ogólnym poklaskiem zarówno specjalistów, jak i szerszej publiczności nietylko we Francji lecz i po za jej granicami.

P. Masson w rozległych swoich poszukiwaniach, rzecz prosta, niejednokrotnie miał do czynienia z postaciami i sprawami polskimi, tak ściśle wszak złączonemi z epopeją napoleońską. Okazał on w tych wypadkach zupełną bezstronność i rzetelną dla nas sympatię. Nie mogło być zresztą inaczej, gdyż ten lojalny miłośnik prawdy nie mógł nie oddać i tutaj hołdu tej prawdziwiej, w oczy bijącej, iż Polska była, w szczęściu zarówno jak nieszczęściu najpewniejszą, najwierniejszą sojuszniczką wielkiego cesarza. Ten uczony starzec, wysoki, barczysty, nadzwyczaj żywy w słowie, spojrzeniu, ruchach, pełen jeszcze ognia, zapalający się jak młodzieniec, kiedy mowa o ukochanym jego bohaterze, piękna marsowa postać jak gdyby wysłużonego oficera gwardyi napoleońskiej, wierny tradycjom swego cesarza, zachował

też dla nas uczucia tradycyjnego wielkiego naszego sojusznika. Mile witamy niniejszą nową jego książkę w szacie polskiej, a niespracowanemu autorowi najdłuższej jeszcze i najowocniejszej życzymy działalności na tak umiłowanej przezeń niwie dziejopisarstwa napoleońskiego.

Szymon Askenazy.

DO CZYTELNIKA.

Oto nowy zbiór artykułów, które w ciągu ubiegłych lat trzydziestu rozrzucałem po dziennikach i tygodnikach. Pragnąlbym, aby ogół przyjął go z tą samą życzliwością, z jaką spotkał się zbiór poprzedni. Niektóre z tych artykułów ukazały się już dawno; inne są zupełnie świeżej daty. Między jednymi a drugimi istnieje coś więcej aniżeli węzeł duchowego pokrewieństwa: a tem jest ciągłość wysiłku, który kształtował się i dojrzewał z biegiem lat, ze wzrastającym doświadczeniem, lecz mimo to zachował młodzieńczą szczerość i zapał.

Określenie to nie jest bynajmniej tak sprzeczne, jakby się wydawało. Badając zarówno wypadki dziejowe, ich przyczyny i skutki — jak i poszczególne jednostki, ich charakter i czyny, staram się zachować tak niezbędną historykowi niezależność umyslową; unikam stronniczości; nie tworzę żadnego systemu; rozpatruję jedynie fakta; zbiór zaś dokumentów, złożony ze wszystkich bez wy-

jątku dowodów, które odnoszą się do badanego przeze mnie przedmiotu a znalezione zostały tak w publicznych jak prywatnych archiwach — nie był ani przygotowany w pewnym z góry określonym celu, ani też ułożony dla poparcia pewnej tezy. Porównywanie tekstów, powiązanie ich — wypływające ze ściśle kontrolowanych dat, ich związek z takim lub innym świadectwem współczesnem — dostarcza zarówno tła do opowiadania, jak do hipotez i ostatecznych wniosków. To, co piszę, jest wyrazem najistotniejszych przekonań moich, jest niejako głosem mego sumienia. Nie zmienilbym ani jednego nawet wiersza dla przypodobania się komukolwiek. Gdybym uważał, że głoszenie tych przekonań moich przynosi szkodę społeczeństwu, w którym żyję — zniszczyłbym dzieło moje, jak to już uczynilem dwukrotnie, lecz żadna siła ludzka nie zdołałaby mnie zmusić do jakichkolwiek zmian lub ustępstw. Istnieją niewątpliwie kwestye, o których nietylko można ale nawet trzeba zamilczeć; skoro jednak rozpoczęte zostało badanie w pewnym kierunku, należy ujawnić całkowicie — bez żadnych zastrzeżeń — wyniki swoich poszukiwań.

Z chwilą, gdy osiągnęliśmy tę część prawdy, która dostępną jest dla słabego umysłu ludzkiego, z chwilą, gdy badacz sformułował i ustalił swoje poglądy — czyż błądzi, uważając historję za mistrzynię swoją, za niewyczerpane źródło prawdy i mądrości życiowej, czy błądzi, zwracając się do niej po nauki i wskazówki, stosując przykłady, jakich ona dostarcza, snując wreszcie — jakkolwiek zbyt

śmiała może jest ta myśl — z przeszłości przepowiednie i horoskopy na przyszłość?

Jeśli wychodzą wówczas na jaw namiętności, jeśli maleją lub olbrzymieją jednostki — zależnie od naszego punktu widzenia i uznanych ideałów, jeśli analogia między wypadkami współczesnymi a wypadkami ubiegłego stulecia przybiera wszelkie cechy satyry, jeśli ta sama miara przykładana jest zarówno do bohaterów i geniuszów, którzy orlimi szybują szlaki jak i do przyziemnych karłów — nie jest to już niewątpliwie historia w ścisłem znaczeniu tego słowa — w każdym bądź razie jest to zastosowanie historii.

W niniejszym zbiorze, bardziej jeszcze niż w poprzednim, Napoleon jest osią opowiadania. Tę samą, lub też prawie że tę samą piosnkę powtarzam od lat blisko trzydziestu. Mają mi to za złe ci, którym nie podoba się ani melodia ani słowa piosnki mojej. Lecz kto życie całe poświęcił jednej idei lub marzeniu, czyj umysł pozostaje pod nieustannym tej idei wpływem — ten nie jest w stanie nikomu się przypodobać, bo nie potrafi myśli swoich w innym zwrócić kierunku. »Wielkiem uznaniem cieszyły się pańskie artykuły o cesarstwie; niech pan napisze coś podobnego o epoce Restauracyi« — rzekł kiedyś do mnie kierownik jednego z naszych wielkich dzienników. Oczywiście rada była dobrą, lecz mimo najlepszych chęci nie mogłem do niej się zastosować, wyrzekając się tem samem możliwości zrobienia karyery.

Idea napoleońska nie należy do rzędu tych, które można dowolnie rozwijać lub usuwać na

drugi plan, które są dla nas niejako rozrywką i stanowią tło dla marzeń naszych. Jest ona dominującą, wyłączną, tyraniczną — jeśli kto chce — jak sam człowiek. Zajmuje całkowicie umysł, który usiłuje w nią wniknąć. Nasuwa mu wątpliwości, zadaje pytania, wciąga do labiryntu, w którym — chcąc odnaleźć właściwą drogę — potrzeba skupić uwagę. Zmusza go do kolejnego studyowania charakteru i umysłowości ludzi, jakimi posługiwał się Cesarz, do oceniania ich czynów oraz roli — bądź to szlachetnej, bądź też nikczemnej i podlej — jaką odegrali w owym wielkim dramacie dziejowym. Domaga się prawdy i sprawiedliwości, nie ustępuje miejsca niczemu, co nie jest nią samą lub do niej się nie odnosi — a nawet wówczas każe wątpić o osiągnięciu kiedykolwiek istotnej znajomości człowieka, jego pojęć i pobudek nim kierujących.

Gdybym miał przed sobą tyle lat życia, ile ich już przeżyłem, nie sprzeniewierzyłbym jednego nawet dnia dla innych studyów. Jakkolwiek wydałem już w tym zakresie dwadzieścia różnorodnych tomów, wydałbym jeszcze dwadzieścia innych, których plan jest już nakreślony i jeszcze dwadzieścia innych — których tytuły tłoczą się w moim umyśle i w końcu nie mogąc odmalować go takim, jakim go widzę — musiałbym zwątpić o samym sobie.

Wiem dobrze, że żadne z tych dzieł, choćby ich było sześćdziesiąt, zamiast dwudziestu, nie przeżyje mnie. Po upływie lat dwudziestu każda praca historyczna starzeje się i przestaje się podobać. Nie piszę jednak tych dzieł czy też tych artykułów — dla ludzi, ale dla siebie. Z najwyższą roz-

koszą docieram do jądra rzeczy; przeżywam sny moje i marzenia; w myśli przynajmniej zbliżam się do tej nadludzkiej istoty; dążę jej śladami; słucham głosu jej i słów; zdaje mi się, że przenikam jej duszę. Opanowany tem, co zdawałoby się mogło zapewne formą gorączkowego obłądu, przetrucam z radością i zbożnem skupieniem połówkę papiery, na których widnieje imię Cesarza; drzę na widok jego pisma; upajam się jego sławą; demaskując człowieka, który go zdradził — doznaję takiego samego uczucia, jakiego doznawać musi policyant, aresztując zbrodniarza. Im bardziej nieprzeniknioną jest tajemnica, tem bardziej ona mnie ku sobie pociąga. I w epopei życia Napoleona zajmują mnie najwięcej nie okresy świetności, lecz przeciwnie te, które kryją się w mroku, o których historya przemilczała, co do których niema dotąd żadnych danych. Gromadzi się następnie nieskończona ilość szczegółów, które należałoby zbadać, wysuwają się na widownię tysiące poszczególnych jednostek, używanych jako narzędzia a zupełnie nieznanych. Ciekawość moja rozciąga się na wszystko: na ludzi, przedmioty, otoczenie — i czuję doskonale, że nigdy jej nie zaspokoję.

Dlatego też w tym zbiorze znajdujemy wyłącznie niemal urywki studyów nad Napoleonem. Muszę uprzedzić czytelnika, że mówi się tu o Cesarzu z czcią, z miłością, z namiętnem a bezgranicznem uwielbieniem. Ci, którym się to nie podoba, niechaj zamkną tę książkę.

* * *

Rzekłszy to, powinienem pozostawić te artykuły ich własnemu losowi; lecz co do dwóch przynajmniej dostarczyć muszę pewnych wyjaśnień.

Między innemi znajduje się w tym zbiorze artykuł p. t. »Napoleon i kobiety« — ogłoszony w r. 1893 w »Revue britannique«, którą redagował wówczas z tak wybitną inteligencją przyjaciel mój Piotr Amedée Pichot. Nie przeczę, że był to pierwotny szkic książki ogłoszonej pod tym samym tytułem w roku następnym; lecz w książce tej, tytuł dodatkowy — »l'Amour« — wskazuje dostatecznie, iż celem moich badań była tylko podrzędna część danego tematu. Czy zdołam kiedykolwiek — tak jakbym tego pragnął — przeniknąć stosunek społeczny Napoleona do kobiet, jego pojęcia o wychowaniu i stanowisku kobiety oraz zastosowanie tych pojęć — wątpię, gdyż od tego czasu badania moje w innym zwróciły się kierunku. W każdym razie jest to podstawa do dalszych studyów.

Z zasady nie odpowiadam nigdy na krytyki. W jednym wszakże wypadku zrobiłem wyjątek: We wrześniu 1902 r., historyk austriacki dr. Fournier, ogłosił w »Deutsche Rundschau« nader ostry i namiętny artykuł, skierowany przeciwko mojej książce: »L'imperatrice Marie-Louise«. Różnica poglądów naszych jest zupełnie naturalną i zrozumiałą: Dr. Fournier jest Niemcem, wiedeńczykiem, ja zaś Francuzem. Poruczono mu usprawiedliwienie w oczach świata konduity gabinetu austriackiego względem Cesarza. I to także jest zrozumiałe. Lecz dr. Fournier wywiązał się z zadania

ze zbyt dużą gwałtownością i iście germańską — a w danym wypadku nader cenną — niezręcznością. Według niego nikt nie zmusił Maryi Ludwiki do porzucenia męża w niedoli; uczyniła to dobrowolnie, z własnego popędu; powzięła tę decyzję od samego początku i wykonała ją bez wahania i bez żalu. Z tym poglądem dra Fourniera moje własne zdanie w skrajnej pozostaje sprzeczności. Obaj byliśmy do tego uprawnieni. Wydanie sądu należało do czytelników. Co się zaś tyczy polemiki — pragnąłem jej unikać.

Po upływie pewnego czasu postawiono moją kandydaturę na członka Akademii. Wybory zostały naznaczone na 18-go czerwca. Owóż, w majowym numerze »Revue historique«, która — jak to zapewne wiadomo — ukazuje się w Paryżu co dwa miesiące, p. Fournier — zastosowawszy się do umysłowości francuskiej i skreśliwszy zbyt jaskrawe ustępy swojej argumentacji — umieścił tłumaczenie artykułu ogłoszonego w Niemczech ośm miesięcy przedtem. Był to prawdopodobnie prosty zbieg okoliczności, lecz przypadek również zrządził, iż nie mogłem odpowiedzieć przed wyborami w »Revue historique«, której następny numer ukazać się miał dopiero w lipcu.

Kandydaci do Akademii mają wrażliwy naskórek. Być może, że mylnie przypuszczałem jednak, iż ta niefortunna publikacja była celowa. Nie wpłynęła ona wprawdzie na wynik wyborów, lecz dotknęła mnie osobiście. To też, gdy w kilka lat później »Neue Freie Presse« zwróciła się do mnie o szereg artykułów, skorzystałem

ze sposobności, aby rozwinąć i przedstawić w samym Wiedniu poglądy, różniące się zasadniczo od poglądów mojego przeciwnika. Dr. Fournier, którego nazwiska bynajmniej nie wymieniłem, uznał artykuł mój za osobistą wycieczkę i odpowiedział, używając formy, która jest zapewne formą polemiki historycznej nad Dunajem. Przysługiwało mi prawo repliki; jakoż i odpowiedziałem, ściśle zachowując z jednej strony granice omawianego tematu, z drugiej — przepisy grzeczności, której mój uczony przeciwnik, niestety, nie był wzorem.

W każdym bądź razie nie cofnąłem nic z tego, co uważałem za prawdę a jeśli od tej pory cenna znajomość dokumentów rosyjskich — zawdzięczam ją niezmiennej życzliwości W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza — utwierdziła mnie jeszcze w moich poglądach, czekać będę z ogłoszeniem tych dokumentów aż do chwili, kiedy p. Fournier zechce wznowić walkę, którą zakończył raptownie, porównując mnie z gwardyą cesarską. Nie znam większej pochwały. W jednym wszakże porównanie to szwankuje, mianowicie w tem, że ani nie złożyłem broni, ani też jak gwardya nie przeniosłem się do wieczności.

Zabieranie głosu w sprawie osobistej nie wchodzi bynajmniej w zakres moich przyzwyczajęń i gdybym nie uważał, że polemika ta przedstawia pewną wartość z punktu widzenia historycznego, nie byłbym wcale o niej wspominał. Rzeczą zasadniczą nie jest ani to, kim ja jestem, ani to, co myślę, ani to, co piszę, lecz obraz, który udaje mi się odtworzyć, doktryna, którą staram się

rozpowszechnić, zapal, który pragnę wzniecić. Jakimkolwiek jest osiągnięty przezemnie rezultat, uważam, iż praca moja nie poszła na marne, skoro w duszach niektórych rodaków moich wzrasta i krzewi się kult dla Napoleona, skoro nie przebrzmiał bez echa głos mój sławiący imię Wielkiego Cesarza, skoro w kraju, który go zapoznaje — stwierdziłem istnienie licznych jego wyznawców.

NAPOLEON A KOBIEŹY.

W pierwszych dniach niewoli, gdy ciało jego było jeszcze zdrowe a duch rzeźki, Napoleon lubił snuć marzenia, chodząc wieczorami po szczupłym dziedzińcu w Bryars, pod nieznanem niebem, na którem wzrok jego napróżno szukał jeszcze zgasłej gwiazdy napoleońskiej. Po raz pierwszy odczuwał potrzebę zwierzenia się, opowiadania o samym sobie; usiłował wyjaśnić własne życie. Dotychczas życie to przeżywał, znosił je, lecz niem nie kierował. Pociągnął go tak niezwykle wartki prąd życiowy, że trzeba było nieustannego wysiłku, cudów, niemal, energii umysłowej i fizycznej, aby życiu takiemu podołać. Fakta otoczyły umysł jego tak zwartem kołem, że stał się wprost nieprzystępny wszelkiej idei nieuzewnętrznionej przez fakta. Ustawy prawne mają na celu fakta, instytucje mówią o faktach. Napoleon rozpatrywał tak jedne jak drugie; czynił to nawet z pewnem upodobaniem, lecz nigdy z punktu widzenia akademickiego. Tak w ustroju społecznym jak politycznym, każdy fakt bez względu na to, czy był przez niego przy-

gotowany, czy też nie — stawał się źródłem konsekwentnych pojęć, przekształcanych natychmiast w fakta, które — nawet niespełnione — zawsze jednak przybierały formę wykonawczą. Projekty te, których chimeryczne zarysy wypełniały archiwa państwowe, były aż dotychczas jedynym jego marzeniem. Na rozmyślania filozoficzne nie miał ani czasu ani chęci, a nawet w ostatnim okresie życia, gdy nie pochłaniały go już sprawy państwowe — pozostał wierny swym upodobaniom. Przeniesiony nagle w ciszę i samotność wygnania, gdzie zarówno chwila obecna jak przyszłość w niczem niepodlegały jego woli — ujrzał jasno, że zbliża się nieodwołalnie kres jego przeznaczenia i że śmierć będzie istotnie chwilą wyzwolenia. Wówczas — umysł jego, nie mogąc zahaczyć się ani o fakta aktualne, ani o fakta przyszłości, zwrócił się do przeszłości; w tej zaś przeszłości ani nie analizował własnych uczuć, ani nie docierał do genezy własnych pojęć, ani też nie starał się wyjaśnić charakteru moralnego jednostek otaczających go. Notował fakta.

W życiu jego polityka i wojna zajmowały pierwszorzędne miejsce. Zdaje się, że całkowicie go pochłaniały; lecz poza prawodawcą i zwycięskim wodzem — kryje się człowiek; chcąc zaś zrozumieć panującego, trzeba przede wszystkim poznać człowieka. Nie przedstawia to żadnych zgół trudności, gdyż Napoleon jest prawdomówny. Nie cofa tego, co powiedział, nie komplikuje zadania. Wobec rozmaitych słuchaczy głosi jednakowe zdania w jednakowej formie; opowiada te same

anegdoty w tych samych słowach. Ocenia dusze i charaktery ludzkie tych samych używając wyrażen: wynik częstego powtarzania identycznych zdań.

Nietylko o bitwach i traktatach pokojowych, o administracji i finansach rozmawia wówczas z towarzyszami niedoli, z tym zwłaszcza, w którym los dozwolił mu jeszcze wiernego znaleźć przyjaciela, który nie był mu ongi na tyle bliski, aby przyzwyczajenie do subordynacji wojskowej powstrzymywało go teraz od odpowiedzi, którego życie nie było dość ściśle związane z jego własnym życiem, aby mu nic nowego nie mógł o sobie powiedzieć. Mówi również o miłości i o kobietach. Kobieta więcej zajmuje go na wyspie św. Heleny, aniżeli w ciągu całego panowania i trzeba cofnąć się aż do epoki, w której jako konsul prowadzi w Radzie państwa dyskusje nad poszczególnymi artykułami Kodeksu cywilnego, aby odnaleźć tak często powtarzającą się w jego ustach ocenę kobiety. Zebranie różnorodnych zeznań, zarówno zeznań członków Rządu, jak wiarygodnych świadectw wygnańców ze św. Heleny, wynotowanie z »Correspondance«, z »Monitora«, z pamiętników jego otoczenia zdań, jakie wygłaszał, zaznaczenie pojęć, z których płynęły jego czyny — oto praca niezbędna do określenia formuł, na jakich poprzestał jego umysł i doktryn, jakie wyznawał, o stosunku mężczyzny do kobiety, o stanowisku kobiety, jej wartości umysłowej i moralnej oraz miejscu, jakie należy jej wyznaczyć w społeczeństwie. W badaniu tem brak jednego z najważniejszych czynników mianowicie tego: jak Napoleon odczuwał i rozu-

miął miłość? Jest to jednak przedmiotem dalszych poszukiwań, dla których studjum niniejsze stanowi z jednej strony rodzaj wstępu i przedmowy, z drugiej — dostarcza potrzebnych wniosków.

Napoleon nie był donżuanem. Młodość jego była czysta a kobieta nie odegrała w niej prawie żadnej roli. »Życie obozowe — mówi jeden z jego towarzyszków — nie uczyniło go cynicznym i wszystkiemu — co dotyczy miłości i rozkoszy — nadaje on zawsze poetyczne miano«. Zdaje się, że wszystkie miłosne przygody, tak często poddawane mu w ciągu czternastoletniego jego panowania, że »wszystkie te kochanki, których Talleyrand miał pełne kieszenie« — zupełnie wyszły z jego pamięci. Przymusowej swojej bezczynności cesarz nie zapelnia ani rozpustnemi wspomnieniami, ani też opowiadaniem skandalicznych dykteryjek. Jeśli przesuwają się niekiedy przed oczyma jego duszy postacie kobiece, to albo kobiety, która u schyłku jego potęgi dała mu dowody tkliwego i wiernego przywiązania, albo też młodziutkiej dziewczyny, dla której przed wieloma laty — w cieniu wiśniowego sadu — drgnęło po raz pierwszy serce ubogiego podporucznika artylerji.

Jedyną kobietą, która nieustannie i niemal wyłącznie zajmuje jego umysł, jedyną, według której kształtują się jego pojęcia o kobiecie — jest własna jego żona. Obok Józefiny stawia wprawdzie nieraz Maryję Ludwikę, porównywuje charakter obydwóch, przechodząc od jednej — »nosobienia sztuki i wdzięku« — do drugiej, którą cechuje »niewinność i prostota«, wspomina je z tkliwą wdzię-

cznością. Bez względu jednak na to, co mówi o drugiej żonie, tylko pierwsza wywarła na nim niezatarte wrażenie. Józefina — ideał jego lat młodości — jest dla Napoleona typem kobiety. Jej to dowcip, wiarołomstwo, rozrzutność, wdzięk, zalotność ma na myśli, gdy mówi o kobietach, gdy wyznacza im miejsce w swoim państwie, gdy stanowi prawa skierowane przeciwko kobietom, gdy kładzie podwaliny wychowania kobiecego, gdy w końcu — na wyspie św. Heleny — wydaje ostateczny swój sąd o kobietach.

Podczas pobytu na wyspie św. Heleny łączy wszakże nieustannie imię Józefiny z imieniem Maryi Ludwiki jak gdyby lubował się w tem porównaniu, jak gdyby, czyniąc je prędzej, wyrabiał sobie zdanie i zyskiwał argumenta, utrwalające w nim samym jego własne przekonania i nadające im właściwą formę. Jest to niejako dziękczynny hołd, który składa pamięci drugiej żony. Nie analizuje zresztą uczuć ani jednej, ani drugiej; nie zgłębia ich istoty duchowej; nie stara się nawet dowiedzieć, czy kochały go i w jaki sposób, ani też jakiego rodzaju uczucia żywiły dla niego; nie troszczy się również o wspomnienie, jakie im po sobie zostawił. Notuje fakta, nie wysnuwając z nich żadnych wniosków. Rozróżnia zalety i wady dlatego, że często ujawniały się na zewnątrz; lecz świadomość tych wad nie budzi w nim podejrzenia, że mogły one stać się źródłem innych, nieznanych mu czynów. Kłamliwość Józefiny nie nasuwa mu na myśl jej możliwego wiarołomstwa; jej rozrzutność — możliwej przedałości. Bierze ją taką, jaką jest, lub raczej

jaką się być wydaje i jeśli wspomina z jednakową tkliwością Józefinę i Maryę Ludwikę, to dlatego, że obie posiadały najważniejsze według niego cnoty kobiece: »obie były dobre, łagodne, posłuszne, równego usposobienia, obie kochały bardzo męża«. W rozmowach ze swymi towarzyszami niedoli — z Las Cases'em, Montholon'em, Marchant'em, d'Meara'em, Antommarchi'm — zbyt często powraca do tego tematu, o którym słuchacze jego w zbyt identycznych wspominają słowach, aby nie stanowiły istotnej treści jego zapatrywań. Tak w Józefinie, jak w Maryi Ludwice przedewszystkiem, ceni uległość.

Jeśli więc w obu kobietach, które najbardziej kochał, być może nie jednakowo, z całą pewnością w sposób zupełnie różny, lecz które niemniej kochał gorąco — uległość jest najcenniejszą według niego zaletą, odkupującą wszystkie wady, znaczy to, że podstawą jego doktryny o kobiecie jest zupełne podporządkowanie kobiety mężczyźnie. Przeznaczeniem kobiety jest uległość i posłuszeństwo.

Napoleon nie stara się bynajmniej dociec, czy uległość ta była istotną, czy zgadzała się z wewnętrznym przekonaniem kobiety. Poprzestaje całkowicie na pozorach. Bierze pozory za fakt — a fakt dla niego jest wszystkiem, podczas gdy niczem jest dla umysłu kobiecego. Sumienie kobiety jest spokojne — jeśli zachowała wobec mężczyzny pozory a fakt, jako taki, wówczas dopiero zaczyna nabierać w jej oczach pewnego znaczenia, gdy rozprasa się złudzenie, które chciała wywołać, gdy fakt — stawszy się jawnym — przestaje wyłącznie należeć

do niej lub do powierniczek jej płci, naturalnych jej aliantek w odwiecznej walce z istotami płci odmiennej. Wówczas nawet, gotowa jest zaprzeczyć temu faktowi i przez śmiałość tego przeczenia, popartego objawami obrażonej miłości własnej — w których, bez zbyt rażącej sprzeczności, potrafi połączyć tkliwe błaganie z pokusą najtajniejszych, najśłodszych wspomnień — tryumfuje jeszcze nad faktem, który mężczyzna byłby uznał odrazu, przed którym byłby odrazu uchylił czoła. Tak zręcznie potrafi zagmatwać okoliczności drugorzędne, że z oskarżonej przekształca się w oskarżycielkę, lub przynajmniej zarzuca na fakt najpierw lekką — potem coraz bardziej gęstniejącą zasłonę i haftuje na niej tak piękne i barwne wzory, że odtwarza prawie całkowicie rozwiane złudzenie i że mężczyzna bierze w końcu zupełnie szczerze pozory za rzeczywistość.

Tak było z Napoleonem. Uwierzył w uległość tam, gdzie nie było nawet posłuszeństwa. Być może, że co się tyczy Maryi Ludwiki, rozmyślnie unikał prawdy, chcąc ukryć zarówno przed sobą jak przed innymi bunt, w który nie chciał uwierzyć. Lecz co się tyczy Józefiny, to był najgłębiej przekonany, że rzeczy miały się tak, jak je przedstawiał, podczas kiedy badanie jego życia domowego wykazuje jasno, iż pozorna ta uległość — której jedynym może dowodem jest spóźnione przyzwoleństwo na rozwód — była jednym z najzręczniejszych sposobów, jakimi posługiwała się Józefina, chcąc bądź to uniknąć podejrzeń męża, bądź też uzyskać to, co uzyskać pragnęła.

Jakkolwiek więc Józefina nie była w rzeczywistości uległą małżonką, fakt — że Napoleon miał ją za taką — wystarcza, aby mózdz odtworzyć na tej podstawie jego koncepcję kobiety. Czy nie wynika stąd, że unikał rozmyślnie analizowania charakteru kobiecego dlatego — że według niego charakter ten nie był wart analizy; że pomijał różniczkowanie czynów i stwierdzanie pobudek, kierujących tymi czynami; że nie starał się uchylić zasłony, w którą kobieta tak zręcznie potrafi się otulić — dlatego, że lekceważył odkrycia, jakie mógł poczynić? Nie ma wprawdzie pojęcia o tem, że nigdy dusza męska nie zrozumie tego, co dzieje się w duszy kobiecej, lecz pogardza kobietą jako istotą niższą, która nie powinna wywierać żadnego wpływu na umysł mężczyzny; uważa, że lekkomyślność, niestałość i zmysłowość kobiet skazuje je nieodwołalnie na egzystencję podrzędną — pod grozą najpierw domowych, następnie społecznych wreszcie państwowych zaburzeń.

Czy pojęcia te były wyrozumowane? Czy Napoleon doszedł do tej konkluzji za pomocą dedukcji analogicznych z temi, jakich używał w innych okolicznościach, wówczas — gdy przechodząc ponad utartymi ogólnie przekonaniem — kierował się wyłącznie własnym rozsądkiem i osobistem doświadczeniem? W rzeczy samej; tylko że tutaj doświadczenie jego ograniczało się do poszczególnego wypadku — t. j. Józefiny — który odpowiadał w zupełności powszechnemu wówczas zdaniu o kobiecie. Tem samem doktryna jego zgadzała się z doktryną współczesnych mu powołanych do

dyskusji — i prawnicy, którzy mogli byli lękać się brutalnego odrzucenia prastarych form, według których kształtowała się niegdyś ludzkość — w danym wypadku solidaryzowali się ze zdaniem Cesarza, będącem własną ich teorią.

Napoleon uznaje bez dyskusji doktrynę wytworzone przez prawodawstwo, które we Francji — może jedynie we Francji — nietylko że nie uległo modyfikacji przy zetknięciu się z prądem germańskim, lecz przeciwnie zostało przez niego wzmocone, łącząc bez trudu tradycje rzymskie z tradycjami salickimi. Kościół użył im swego uroku a słowa Jehowy, zwrócone do Adama (księga »Genezy«): »Nieprzyjaźń położę między tobą i między niewiastą, między nasieniem twojem i między nasieniem jej« — oraz do Ewy: »Wola twa poddana będzie mężowi twemu a on nad tobą panować będzie« — uświęcają i nadają cechę boskości władzy męża, zarówno jak ustanawiają czy też stwierdzają odwieczny zatarg obu płci. Aksjomat ten — ugruntowany tak doświadczeniem stuleci jak powagą religii — tem bardziej trafiał do przekonania Napoleonowi, iż Napoleon ma na myśli Józefinę. Czuje on i rozumie, że duch buntu tkwi w każdej kobiecie, że jest istotną treścią duszy kobiecej; dlatego też wszelkich dokłada usiłowań, aby dobrowolnie czy też przymusowo uzyskać chociaż pozory uległości.

Nie dopuszcza nawet możliwości równouprawnienia kobiet: »przyznawanie władzy kobietom nie jest właściwe charakterowi Francuzów«. Według niego zatem obie płci w niczem nie są współ-

rzędne, powołane zaś są do spełniania zupełnie odrębnych czynności: jedna powinna rozkazywać druga — słuchać. W zamian za to posłuszeństwo, mąż obowiązany jest dawać żonie utrzymanie i opiekować się nią; lecz granice tej opieki wcale nie są przez prawo określone, podczas kiedy najłżejsze uchybienie ze strony kobiety przewidziane jest odpowiednim paragrafem. Żona musi iść za mężem wszędzie, gdzie tylko podoba mu się zamieszkać a w razie oporu władze zawsze są gotowe poprzeć wymagania męża. Przysługuje mu również prawo kary cielesnej — wprawdzie nie w takiej rozciągłości jak za czasu Burbonów — na tyle jednak, że nie może być wyzyskane przez kobietę jako punkt do rozwodu. Wrazie wiarołomstwa, tego najcięższego przewinienia kobiety zamężnej, wszelkie przywileje są po stronie męża: zarówno życie jak swoboda kobiety spoczywa w jego dłoni. Jeśli oszczędził wiarołomną żonę — może wytoczyć jej sprawę sądową, w razie zaś potępiającego wyroku — może jeszcze ją ułaskawić, zupełnie jakgdyby był panującym. Jest nim istotnie zawsze, o ile sam nie podejmuje walki z ustawami państwowymi, lub też o ile nie nawykł do takiego obchodzenia się z żoną, które zbyt wyraźnie ujawniałoby jego okrucieństwo.

Płonne są to obawy; lecz, wskutek niemożności dokładnego określenia granic przysługującego mężowi prawa kary cielesnej — otwiera się ujście dla wszelkiej słabości i wszelkich ustępstw sędziów. To, co zowiemy złagodnieniem obyczajów a co jest w istocie wzrastającym wpływem kobiety

w zgrzybiałych społeczeństwach — potrafi wyzyskać każdy wybieg prawny, potrafi uogólnić i przekształcić każde pojęcie i obrócić na korzyść kobiety nawet prawa wydane przeciwko niej. Napoleon podejrzywa to. Wie o tem, że »wiarołomstwo nie jest odosobnionem zjawiskiem«, »że zdarza się bardzo często«. Wie i o tem również, że wszystkie kary, jakie mąż może wymierzyć zbuntowanej małżonce, pozostaną zazwyczaj martwą literą, dlatego że mężczyzna będzie się niemi brzydził. Może zabić — lecz nie zabije, bo będzie czuł litość. Może zażądać rozwodu, opierając się na fakcie wiarołomstwa, lecz tego nie uczyni, najpierw ze względu na żonę, następnie ze względu na samego siebie i na śmieszność, jaka — z punktu widzenia naszych obyczajów — okrywa w takim wypadku męża; wreszcie ze względu na dzieci, na których złe prowadzenie się matki wyciska piętno hańby. Trzeba więc wynaleźć nową broń do użytku ludzi zwanych »przyzwoitymi«. Jest nią rozwód za obopólną zgodą, »w którym obie strony poddają się pod sąd rodzinny dla uniknięcia gorszącego oskarżenia o wiarołomstwo«. Dokładna znajomość VI-go paragrafu Kodeksu cywilnego wskazuje nam, jaką drogą niezwykłych zastrzeżeń i różnorodnych formalności Cesarz obwarował ten rodzaj rozwodu, aby nie stał się z czasem klęską obyczajów publicznych, aby wyrządzał dziecku możliwie najmniej szkodę, aby — za wyjątkiem nadzwyczaj ważnych wypadków — przysługiwał tylko mężczyźnie, aby kobieta nie mogła używać go jako narzędzia do osłabienia władzy męzowskiej. Ten ro-

dziej rozvodu nie jest bynajmniej igraszką, mogącą podobać się kobiecie wiarołomnej, zbuntowanej lub nawet istotnie nieszczęśliwej w pożyciu domowym. Jest poważnym, uroczystym aktem, w którym biorą udział oboje małżonkowie, ich rodziny, prawnicy wszelkiego rodzaju a nawet przedstawiciele narodu. Zawiera w swem łonie karę, pociąga za sobą zobowiązania, którym osoby interesowane podlegają przez pewien tylko czas, majątki — przez całe życie. Jest równie powolnym w działaniu jak sprawiedliwość, lecz tutaj sprawiedliwość nie bywa nieubłagana, jeśli zaś mnoży przeszkody i formalności, to tylko dlatego, aby dać małżonkom sposobność częstego stykania się, aby wzniecić w ich sercach odrobinę dawnej tkliwości, aby oszczędzić im zbyt szybko powziętego postanowienia, którego źródłem jest gniew, a któremu rozum w następstwie nieraz zaprzecza.

Czy Napoleon sądzi, że przez ten zbiór ustaw ujarzmił ostatecznie kobietę? Czuje, że może ją powściągnąć, lecz bynajmniej nie opanował. W razie upadku, podlega ona karom — karom ustanowionym przez mężczyzn — przeciwko którym kobieta-niewolnica zawsze będzie się buntować. Lecz jeśli zobowiąże się przez dobrowolną przysięgę, zobowiąże własne sumienie, sama na siebie nałoży okowy; jeśli z człowiekiem, który będzie jej mężem — zespoli się przez dobrowolną obietnicę wierności i posłuszeństwa, będącą całkowitem zrzeczeniem się własnej woli, na co będzie mogła powołać się i w jaki sposób będzie bronić się, jeśli złamie dane słowo? Napoleon włącza tę przysięgę

do ustawy. »Trzeba, aby kobieta wiedziała, że z chwilą, gdy wyzwała się z pod władzy rodzicielskiej, przechodzi pod władzę męża«. Chciałby nadać tej przysiędze cechy obrzędu cywilnego. Kombinuje wyrażenia, układa ceremoniał. Małżeństwo w obecnej formie wydaje mu się czemś zbyt suchem. »Trzebaby coś bardziej uduchowionego«, coś w rodzaju kazania; lecz jakim sposobem uniknąć śmieszności, skoro kazanie takie musiałoby być ułożone i wypowiedziane przez urzędników stanu cywilnego? Jest więc zmuszony ograniczyć się, nie dochodzi do absurdu kultu cywilnego; lecz kobieta będzie w każdym razie świadoma wszystkich swoich obowiązków i nielicznych przysługujących jej jeszcze praw. Stając — wysłucha lektury ustawy prawa małżeńskiego, dowie się, że przez przysięgę którą złoży — na całe życie składa w ręce męża swoją istotę fizyczną i moralną, wszystko to, czem jest i wszystko co posiada, zachowując jedynie prawo pośmiertnego rozporządzenia swoim majątkiem. Przysięgę tę może złożyć lub nie; wie, iż zobowiązuje się do wierności i posłuszeństwa, iż zrzeka się własnej woli, iż odtąd przestaje być odrębną indywidualnością, aby zlać się całkowicie z indywidualnością człowieka, którego nazwisko będzie nosić.

Na tem jednak nie poprzestaje Napoleon. Przysięga na wierność i posłuszeństwo wydaje mu się jeszcze zbyt ogólną, zbyt nieuchwytną. Chętnie — przemawia tu mąż Józefiny — poszedłby dalej; zażądałby od kobiety poszczególnych przysięg na poszczególnie punkta. »Czy nie należałoby

dodać, że kobiecie nie wolno widywać osób niemyłych jej mężowi? Kobiety powtarzają zawsze to samo zdanie: »nie dasz mi przebywać z tymi, którzy mi się podobają, dla których mam sympatyę«. — Własna jego pod tym względem słabość chciałaby — tak dla niego samego, jak i dla innych mężczyzn — znaleźć w ustawie silny punkt oparcia, jakgdyby prawo, jakgdyby nawet powaga przysięgi, mogły — w drobnych szczegółach codziennego życia — zastąpić męską energię i zmusić kobietę do uległości.

Napoleon przeczuwa swoją porażkę; przeczuwa i to, że kobieta, nie biorąca żadnego udziału w opracowywaniu ustaw prawnych, składająca przysięgę nie zgłębiwszy jej doniosłości, dla której zresztą obietnica odarta z uroczystych obrzędów i sakramentalnych formuł jest tylko zbiorowiskiem słów bez znaczenia — uważać będzie za nieistniejące wszystko to, co wymagają od niej mężczyźni w zamian za coś, co wydaje jej się wyzwoleniem a co w rzeczywistości jest gorszą jeszcze niewolą. Wzywa więc na pomoc Boga i religię: »tę najpewniejszą gwarancję dla matek i dla mężów«. Wychowane w bojaźni mściwego Boga, w pojęciu zupełnego, ślepego posłuszeństwa mężowi — najłżejsze pod tym względem uchybienie pociągnie za sobą karę niebios — jeśli nie kobiety obecnego pokolenia, to w każdym bądź razie kobiety przyszłości — będą może umiały znosić bez szemrania ciężkie jarzmo małżeńskie. »Wychowujcie nam kobiety wierzące a nie filozofki« — pisze do Lacépède'a. Kolejno powołuje się na »słabość umysłu

kobiet, na zmienność ich pojęć, na ich stanowisko w ustroju społecznym«, aby nałożyć dziewczętom wędzidło, którem — według niego — »może być tylko religia dobroci i miłosierdzia«. Religia ta, w której więcej jest Starego aniżeli Nowego Testamentu, w którą nie przeniknął jeszcze ultramontański i jezuicki feminizm, aby skrzywić jej dogmata i przeistoczyć jej ducha, która — tak jak nauczali ją niegdyś we Francji wielcy biskupi i słynni doktorzy św. teologii — pozostała religią męską, w której litość dla kobiety pokutującej i skruszonej nie zapewnia bezkarności grzesznicy, w której ksiądz nie staje się sprzymierzeńcem kobiety, aby wraz z nią wspólnymi siłami opanować mężczyznę, lecz przeciwnie, jest jej mentorem i sędzią; religią — która nakazuje kobiecie uległość, mężczyznę zaś uczy miłosierdzia i piętnuje jednocześnie bierność, która w społeczeństwie nie tylko że nie zaprzecza żadnemu z praw jego, lecz przeciwnie zacieśnia węzeł zadzierżgnięty między obupłciami przez rezygnację wpajaną kobietom i dobroć nakazywaną mężczyznom: — oto religia Napoleona, ta, którą przywrócił we Francji, jedyna według niego — za pomoc jakiej udziela państwu — zasługująca na to, aby państwo zrzekło się na jej korzyść kontroli hipotez, dotyczących życia zagrobowego.

Chcąc jednak otrzymać pomyślne wyniki takiego religijnego wychowania, trzeba zastosować je do następnego pokolenia. O współczesnem sobie pokoleniu Napoleon zwątpił zupełnie i żałuje niemal szczerze tego, że ludy nowożytnie zaniechały

obyczajów wschodnich: »Zepsuliśmy wszystko zbyt łagodnem traktowaniem kobiet. Wielkim błędem było wyniesienie ich na ten sam prawie szczebel, na którym my stoimy... Natura uczyniła z nich nasze niewolnice i tylko dzięki usterkom umysłu męskiego potrafią one nad nami przewodzić. Na jedną kobietę, której wpływ jest dodatni, sto innych kobiet każe nam popełniać głupstwa i szaleństwa«.

Zdanie to stanowi istotną treść jego duszy. Jeśli na mocy praw boskich i ludzkich, Napoleon chciał ujarzmić kobietę, jeśli — przekonany o tem, iż słusność jest po stronie mężczyzn, wymyślił różnorodne przeszkody dla stłumienia buntu kobiecego, to dlatego, że jak każdy człowiek szczerzy miał dwa rodzaje zapatrywań: jeden w obecności kobiety, drugi poza jej wpływem; jeden wyrozumowany, wypływający z tradycyi, z ustalonego od dawien dawna poglądu na daną kwestyę; drugi instynktowny i płciowy; dlatego — że znał własną niezdolność do opanowania kobiety, własną słabość względem niej, tę nerwową słabość, która niedozwalała mu nic odmówić kobiecie, błagającej go na klęczkach. Nic trafniejszego od słów Józefiny zwróconych do pani de Polignac: »Trzeba, żeby się pani z nim widziała. Jeśli ujrzy cię w rozpacz, jeśli nie zniechęcisz się pierwszą odmową, wszystko od niego uzyskasz«. W rzeczy samej, odmówić nie potrafi, nie może. Raz tylko oparł się prośbom kobiet: siostrze błagającej go o ulaskawienie siostry, córkom błagającym o ulaskawienie matki. Było to w Schönbrunie, w r. 1809. Chodziło o panią Acquet de Ferolles, skazaną na śmierć wyrokiem trybu-

nału kryminalnego w Rouen za współudział w zbrojnych napadach na dyliżanse oraz w rabunkach o politycznem zabarwieniu. Dzieci jej rzucają się do nóg Napoleona; Cesarz podnosi je, bierze z ich rąk petycję, czyta ją, zadaje im pytania, jest wzruszony. »Dwukrotnie — opowiada naoczny świadek — mienił się na twarzy, łyzy kręciły mu się w oczach, głos drżał«. Wyszedł wreszcie z pokoju mówiąc: »Nie jest to w mojej mocy« — i przez cały dzień był potem smutny i zadumany.

Mając do wyboru z jednej strony życie pani Acquet, z drugiej — ostateczną pacyfikację wielkiej prowincyi, w której bandytyzm powinien być powstrzymany przez głośny i straszliwy przykład, Cesarz przełożyć musiał surową sprawiedliwość nad miłosierdzie, gdyż w danym wypadku ulaskawienie »byłoby ze szkodą społeczeństwa«. Lecz czyż potrafi odmówić cokolwiek pani de Polignac, pani Lajolais, pani de Rivière, pani Gaillard, księżnej Wejmarskiej, ks. Hatzfeld, p-nie de Saint-Simon? Czy tam — gdzie li tylko osoba jego i polityka wchodziły w grę — można przytoczyć jeden choćby wypadek, w którym nie okazał się słabym dla kobiety? — Inne zaś względy nie grały tu żadnej roli, bo nie o złoto ani godności, lecz o ludzkie chodziło zawsze życie.

Jeśli do tego stopnia rozrzewnia się łzami kobiecemi, to dlatego, że w roli petentek kobiety wydają mu się »tkliwe i dobre, naiwne i łagodne«, sharmonizowane z misyą, jaką im w życiu społeczeństw przypisuje, z charakterem, jaki im przystoi, ukorzone przed potęgą mężczyzny, w którym

uznają pana i władcę. Lecz chwile tragiczne i przełomowe, w których waży się na szali życie męża, ojca lub brata, nie stanowią osnowy egzystencji. W życiu codziennem znacznie częściej kobieta jest błaganą niż błagającą i zwykle — chcąc uzyskać to, co uzyskać pragnie — nie ucieka się ani do prośb, ani do jasno sformułowanego żądania, lecz doprowadza do tego, iż jest bądź to błaganą o łaskawe przyjęcie daru, bądź też nawet do przyjęcia zniewolony. Jest to najwyższą umiejętnością kobiety światowej, najbardziej subtelnym jej wybiegiem a sam ten fakt dostatecznym jest, aby Napoleon — nie rozumiejący się na tych finezyach — znienawidził ją jako taką. Czyż istotnie kobieta — jakkolwiek potrzebuje ustawicznie mężczyzny, tego który jest panem teoretycznie i prawnie — nie odwraca i nie przemienia ról; czy nie korzysta z namiętności — choćby nawet tłumionej — jaką wzbudza, aby drwić dowolnie z każdego zbliżającego się do niej mężczyzny? Czy w życiu, jakie prowadzi, wszystko nie jest przez nią skombinowane dla zapewnienia sobie niezależności, tej niezależności, którą Napoleon poczytuje kobiecie za zbrodnię? A niezależność tę kobieta stwierdza przez swoje stosunki towarzyskie, swoje sympaty, nawet przez kochanków swoich, którzy najczęściej są tylko zewnętrznym jej samodzielności objawem.

O inne kobiety Napoleon niewiele się troszczy. Z właściwą sobie systematycznością rozstawił je na wielkiej szachownicy społecznej, wyznaczając im odpowiednią rolę i stanowisko. Do jakiej jednak kategorii zaliczyć kobietę światową? Jakie

miejsce wyznaczyć kobiecie, która jest poza wszelkiem rzemiosłem i wszelkim zawodem, która zadawała się tem, iż jest uosobieniem kobiecości, która przez umysł swój i wdzięki, przez swoje zachowanie się, tryb życia i sposób myślenia, przez tysiączne drobiazgi — nie podlegające analizie a jednak stanowiące istotę życia towarzyskiego — sięga wyżyny, której nie dosięgnie żaden, najpotężniejszy nawet mężczyzna, dlatego, że jest ona ponad i poza wszelką hierarchią państwową. Bez względu na stanowisko, zajmowane przez jej męża — jest królową i rządzi nieograniczenie wszystkimi mężczyznami, którzy dla jakichkolwiek powodów pragną bywać w jej domu i starają się zwrócić na siebie jej uwagę. Mężczyźni ubiegają się o jej względy dlatego — że ona jedynie stanowi istotny urok życia; ona zaś ubiega się o względy mężczyzn dlatego — że względy te są dla niej rodzajem stroju. Istnieją niewątpliwie mężczyźni, którzy wyzyskiwać umieją najgorętsze uczucia kobiece; lecz zazwyczaj nie mężczyzna kobietę, ale przeciwnie kobieta wyzyskuje mężczyznę. Jeśli kobieta toruje w świecie drogę młodemu literatowi, to w tym celu, aby stać się jego muzą i kierować jego twórczością. Jeśli hołduje istotnie, czy też tylko pozornie artyście, to dlatego, aby zawładnąć jego sztuką, aby doznawać przed innymi rozkoszy wrażeń artystycznych i dzielić wszystkie sukcesy. Jeśli wreszcie ma do czynienia z urzędnikiem, używa go jako środka do zadośćuczynienia osobistym niechęciom lub sympatyom, do rozdawania urzędów, przeprowadzania intryg, kierowania według swego

widzimi się wszystkimi i wszystkim, wprowadzania w grę sprężyn — których zarówno cel jak działanie, zarówno konstrukcja jak skutki, są jej obcemi. Używa ich bez zastanowienia, nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności, z zupełną nieświadomością wszelkich obowiązków, praw, tradycji oraz miłości do ziemi ojczystej, nie odczuwając przytem nigdy żadnego niepokoju, żadnej rozterki wewnętrznej.

Napoleon godził się na to, aby kobiety tego typu były wyrocznią w sprawach literatury, sztuki, stroju i miłości; lecz nie znosił ich udziału w polityce. Ze studyów nad historią wyniósł głęboką odrazę do epoki Frondy, Regencyi, panowania Ludwika XV-go, do tych wszystkich okresów, podczas których kobiety rządziły mężczyznami przez mężczyzn. Wiedział dobrze, jak dalece ucierpiał wówczas honor, dobrobyt i sława narodu. Jeśli w r. 1795, w początkach swojej kariery, uległ chwilowo w Paryżu urokowi tych kobiet, które — jedyne na całej kuli ziemskiej — tutaj tylko godne są ująć ster rządów, nie omieszkał przekonać się wkrótce we Włoszech o wartości rządu kierowanego przez kobiety. Rozczarowanie przyszło szybko. »Kobiety są duszą wszelkich intryg — mawiał po powrocie do Francji. — Należałoby relegować je w obręb zajęć gospodarczych i domowych. Salony polityczne powinny być dla nich zamknięte. Tak jak w Genui i w Wenecji nie powinno być wolno kobietom ukazywać się publicznie inaczej, jak w czarnych sukniach i w mezzaros«.

Wrażenie to jest tak silne, że staje się wytyczną jego zachowania i stosunku do kobiet. Czarne suknie i mezzaros niewątpliwie usunąć musi ze względu na przemysł; lecz następnie — przy organizacyi personelu dworskiego, otacza wchodzące w jego skład kobiety siecią tak surowych przepisów, iż wszelka intryga kobieca zdaje się być niemożliwioną. »Cesarz uważał nas — mówi jedna z dam dworu — a w końcu same wzajemnie uważaliśmy się za rodzaj manekinów mniej więcej podobnych do eleganckich, wyzłoconych mebli, jakimi przyozdobiono pałac w Tuileries i w Saint-Cloud«. W Tuileries i w Saint-Cloud potrafił je opanować; tam okazują mu bojaźliwą cześć, zachowują nakazane etykietą milczenie z niezmiennym zdawkowym uśmiechem na ustach. Lecz co mówią one, co robią, o czem myślą poza obrębem pałacu? Jakie rozmowy prowadzą inne kobiety, te panie z arystokratycznego przedmieścia Saint-Germain, którego podbój więcej ma dla Napoleona uroku, aniżeli podbój niejednego mocarstwa, któremu przypisuje tak wielkie znaczenie, iż troszczy się o niego w Wiedniu, w Berlinie, w Madrycie, w Moskwie?

K L N

Koterya ta, do której nie należał krwią a do której pragnął należeć, ten zagadkowy światek, który bynajmniej przed nim nie kapitulował, lub też który — jeśli uległ chwilowej pokusie tytułów, godności i pieniędzy, to jednak bronił mu uporczywie dostępu do niezdobytej twierdzy swoich salonów, było to dla Napoleona, zwykłego szlachcica korsykańskiego, dziecka losu i szczęścia —

źródłem ciągłej troski. W charakterze jego tkwi niezaprzeczenie pewna doza snobizmu, który ujawnił się zaraz w początkach przez chęć dodania splendoru rodowi Józefiny, następnie przez związek małżeński z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką. Lecz poza tem wchodzi również w grę uczucie niepokoju. Napoleon miewał chwilami niejasną świadomość niebezpieczeństwa, jakie groziło jego dziełu ze strony tego zamkniętego, odosobnionego światka. Policya jego podsłuchiwała pod drzwiami; lecz prócz głośno prowadzonych rozmów, nieoglednych wyrażań, gorzkich epigramatów nic więcej nie zdołała wysledzić: ani stłumionego szeptu zwierzeń i spisków, ani niemej wymiany hasel. Pociągano wówczas do odpowiedzialności jednostki najmniej groźne, może niemniej winne, lecz narwane, niedyskretne, egzaltowane a nie słyszające nic o innych — Napoleon sądził, że umilkły one pokonane i wbrew Tacytowi brał milczenie to za istotny spokój.

Nic groźniejszego, jak takie przymusowe milczenie. Wobec przemocy lepsze jednostki buntują się i roznamiętniają; gorsze — zamykają się w sobie i gotują odwet. Pozornie ukorzone lub też przejednane — tem większą pałają ku niemu nienawiścią i na drodze, po której dąży Cesarz z oczyma utkwionemi w swoją gwiazdę przewodnią — czyhają na niego, przyczajone, milczące, gotowe każdej chwili wciągnąć go w zasadzkę.

Jaką rolę odegrały kobiety wobec dyplomatów rosyjskich, począwszy od roku 1808? Jaką rolę zakreslił im Talleyrand? W jaki sposób — drogą intryg i rozległej korespondencji — zachę-

cili powoli obce mocarstwa do zawiązania koalicji? Które z pośród nich wyrzekły zdradzieckie słowa i przyczyniły się do zawarcia przymierza przeciwko Francji? Oto zagadnienia najnowszej doby, które dla wielu umysłów są pewnikiem, a do których rozwiązania brak jednak dotąd jeszcze dostatecznych dowodów.

Napoleon słusznie niedowierzał kobietom a rok 1814 jest usprawiedliwieniem t. zw. prześladowań jego; nie mógł wszakże wyrozumować tej instynktownej niechęci, gdyż w braku faktów — umysł jego nie potrafił wysnuć wniosków z podejrzeń czysto psychologicznej natury. Karząc surowo każdy — najlżejszy choćby udział kobiety w życiu politycznem, sądził, że tym sposobem wszystkiemu zapobiega, bez względu na to, czy kobietą tą jest królowa pruska w roli amazonki, czy pani de Staël pisząca pamflety, czy pani Acquet, kierująca napadami na dyliżanse, czy też pani de Chevreuse — organizatorka »nowej Frondy«. Jeśli sposób traktowania tych kobiet jest energiczny a niekiedy nawet brutalny, to dlatego, że Napoleon chce, aby kobiety były jedynie i li tylko kobietami, aby nie mieszały się do spraw i czynności męskich. Jest to tak dalece prawdziwe i charakterystyczne, że w tym samym czasie, kiedy tak szorstko obchodzi się w swych biuletynach z królową Luizą pruską, obсыpuje łaskami ks. Wejmarską, margrabinę Badeńską, dziedziczką ks. Heską, ks. Augustę pruską — które wszystkie, jakkolwiek nieprzyjaciółki, myślały, działały, cierpiały jak kobiety. Należy tu jednak zaznaczyć, iż kobiety używające broni mę-

skiej, mniej są w danym razie niebezpieczne od kobiet posługujących się wyłącznie niewieściami sposobami. Lecz myśl ta przebłyskami zaledwie przewija się przez umysł Napoleona. Nie zwraca na nią uwagi. Tak jak nader niejasno zdaje sobie sprawę z wpływu wywieranego na niego przez kobiety, tak samo uważałby sobie za ujmę przypuszczenie, iż mogą one zaważyć na jego losie. Zresztą, wypadki zbyt wartką toczą się falą, aby mógł zastanawiać się nad tą kwestyą a choćby się zastanowił, choćby skupił wszystkie władze swego umysłu, aby przeniknąć sposoby, używane przez kobiety przeciwko niemu, nie zdołałby nigdy — on strategik — przejrzeć ich planu działania dla tej prostej przyczyny, że był mężczyzną, żaden zaś mężczyzna nigdy do tego nie dojdzie.

Napoleon mniej niż ktokolwiek inny. Nic kobiecego w jego dzieciństwie i wczesnej młodości: wszystko w nim jest męskie — myśli i uczucia. Zupełny brak towarzystwa kobiecego staje się przyczyną zupełnego braku tego, co później pozwala niekiedy mężczyźnie przeniknąć choć w części duszę kobiecą. Napoleon nie umie rozmawiać z kobietami, nie umie pochlebiać im zręcznem kłamstwem lub dowcipnem słówkiem, gestem uwielbienia lub szacunku. Powiedziano o nim, że wcale nie był wychowany. Jest to prawdą. Wychowanym można być tylko przez kobiety dla kobiet i jedynie mężczyzna wzrosły w tych warunkach znaleźć może w umyśle swoim zasoby ułatwiające mu kontakt z umysłem kobiecym. Kobieciarz — który nie zawsze jest uwodzicielem, lecz który umie posłu-

giwać się kobietami dla osiągnięcia zamierzonego celu — za młodu zaprawiony został przez kobiety do tego rzemiosła. Nabiera przytem upodobania do ich towarzystwa; chętnie z nimi obcuje; interesuje się ich rozmową, pochlebia ich kaprysom i zachciankom, oszczędza ich namiętności, wyzyскуje ich egoizm, kieruje ich czynami, pozornie im ulegając i okazując im wdzięczność, która bardziej je zjednywa niż wszelkie usługi.

Wszystko to obce jest Napoleonowi; nie wyobraża sobie nawet, aby myśli tego rodzaju mogły gnieździć się w czym umyśle, aby podobne wychowanie mogło — chociażby nieświadomie — kierować czynami mężczyzny. Według ulubionego określenia jednego z jego potomków — Napoleon jest człowiekiem o prostej duszy; bierze więc za punkt wyjścia swój własny umysł i pojęcia, jakie urobił sobie o kobiecie. A że wszystkie pobudki, kierujące kobietą, są dla niego zagadką, że czyny jej wydają mu się chaotycznymi i dziecinnymi, że jej zachowanie się przeczy w zupełności jego pojęciom porządku społecznego, że wszystkie środki, stosowane skutecznie względem mężczyzny, są wobec niej bezsilne — uważa za nieistniejące to, czego nie może dojrzeć, usłyszeć lub zrozumieć i oświadcza, że kobieta jest istotą bezduszną, gdyż rzeczywiście dusza jej jest zupełnie dla niego niedostępna. A jednak czuje, iż w kobiecie tkwi coś więcej jeszcze, lecz tak bardzo dalekiego mu i obcego, że nie może tego nawet określić; czuje, że jest coś jeszcze poza załotnością, zmysłami, rozrzutnością i kłamstwem. Niekiedy, drogą doświadczenia osobistego, usiłuje przez bezpośrednio

postawione pytanie — otrzymać szczerą i naiwną odpowiedź. Jeśli mu się to uda, wówczas tryumfuje i używa nawet tych odpowiedzi jako argumentów politycznych, jak np. w okresie Konkordatu. Nie zraża się, jeśli odpowiedzi są szorstkie, porywcze, nawet niegrzeczne, o ile tylko są szczerze i odsłaniają istotną treść myśli. Natomiast zwykła rozmowa towarzyska zupełnie jest mu nieznana; zawsze przeprowadza śledztwo; wiadomo zaś, że najogólniejsze nawet pytanie przez mężczyznę postawione, kobieta uważa za zamach na swoją niezależność. To, co powiedziała by dobrowolnie, coby wyraziło się wartkim potokiem słów, zatai i zamilczy, jeśli jest pytana. A pytania stawiane przez Napoleona są jej wstrętne nie tylko jako takie; są nadto wyrażone w formie działającej na jej nerwy; powiedziano tonem — wobec którego wzdryga się cała jej istota. Tu wszakże Napoleon jest bezradnym, gdyż mimo wszelkich usiłowań, onieśmiela go każda kobieta, bez względu na to, kim ona jest.

Nie umie ani rozmawiać z kobietami, ani przebywać w ich towarzystwie, ani im nadskakiwać, ani używać odpowiednich wyrażen, chcąc udzielić lub odmówić czegokolwiek, i tego właśnie — znacznie więcej niż proskrypcyi, która mało ich dotyczy, lub tyranii, której wcale nie odczuwają — kobiety nie mogą mu przebaczyć. Im bardziej stara się zbliżyć do kobiet i żyć z niemi, tem bardziej jest im nienawistny. Jeśli chce być uprzejmym, staje się nieprzyzwoitym. W wesołości nie zna smaku ni miary; jest natrętnym, nie troszcząc się

wcale o sprawioną przykrość. Jeśli jest smutny lub choćby tylko pogrążony w myślach, całe otoczenie musi się do niego zastosować. Uważając się za znawcę strojów niewieścich, czyni nieraz szorstkie uwagi, znacznie częściej dla skrytykowania starej niż dla pochwalenia nowej sukni. Chce również wywierać decydujący wpływ na stosunki towarzyskie i wzbronić dostępu do wrogich mu domów arystokratycznych kobietom, wchodzącym w skład dworu. Czyni to nieumiejętnie, szorstko, w formie rozkazu lub nawet groźby. Nie może powstrzymać się od prawdomówności i nie powiedzie np. kobiecie, że jest źle uczesana, lub że ma czerwone ręce. Jeśli za pośrednictwem szpiegów dochodzi do jego wiadomości romans lub miłostka, korzysta z pierwszej maskarady, aby poinformować o tem osoby interesowane, zupełnie jak gdyby należała do niego kontrola obyczajów. Takim zapewne jest osobiste jego przekonanie. Lecz która kobieta zgodzi się na to?

Żadnej natomiast nieśmiałości w stosunku do mężczyzn, począwszy od Brienne i Tulonu, bez względu na to, czy jest to hr. de Brienne, ks. Raynal, Carteaux lub Aubry. Głos jego jest wówczas spokojny, zdania zwięzłe, ton mowy rozkazujący. Nie mówi, lecz rozkazuje i mężczyźni są mu posłuszni; kobiety — nie. Tego właśnie tonu nie mogą przebaczyć; to zachowanie się — razi je i obraża; te rozkazy — ranią je dotkliwie. Rozdawane godności, tytuły, pieniądze, niczem są dla nich. Czy każda — najprzeciętniejsza nawet kobieta nie jest przekonana, iż wszelkie godności jej się należą?

Czy każdy tytuł, wyższy od tytułu, jaki ona posiada, nie przestaje tem samem jej się podobać; a w kwestyach pieniężnych, czy nie jest ona tego zdania, że przyjęcie zaofiarowanego daru czyni z ofiarodawcy dłużnika? Liczyć na wdzięczność kobietą może tylko nieuleczalnie naiwny mężczyzna; kobietę jednają nie usługi jej świadczone, lecz te, które ona sama oddaje; oddawać zaś je będzie tylko mężczyźnie duchowo od siebie słabszemu lub też takiemu, który potrafi wmówić w nią jej wyższość. Lecz ten, którego wielkości nie może ani dosięgnąć, ani ocenić, ani zrozumieć, jest urodzonym jej wrogiem, bo jako typ istotnie męski wykazuje jasno przepaść dzielącą obie płci. Nie należy więc dziwić się, że na ogół kobiety są mu niechętne; dziwić się przeciwnie należy, że w dniach klęski, po powtórnej abdykacyi, po Waterloo, znalazło się jeszcze kilka wiernych dusz kobiecych, które dzieliły z nim do końca jego smutną dolę i starały się osłodzić mu ostatnie lata jego życia.

Jeśli te serca kobiece pozostały wiernymi, to dlatego zapewne, że były to jednostki namiętne, które oddały się Napoleonowi tak, jak inne oddają się Bogu. Oddały mu się ciałem i duszą, szczęśliwe, iż mogą wyrzec się swojego ja, zadowolone z jednego spojrzenia, z tem bezgranicznem poświęceniem — niepozbawionem pewnej zmysłowości — która jedynie czyni kobietę zdolną do abnegacyi, ufności i całkowitego zaparcia się siebie. Niektóre z nich były jego kochankami i zawsze do końca pozostały mu wiernymi, nie fizycznie, lecz moralnie. Inne, względem których Napoleon mógł po-



LAETITIA BONAPARTE.

czuwać się do winy, nie pamiętały żadnej urazy, o ile wogóle żywiły ją kiedykolwiek. Tym ostatnim należy się cześć — i majestat historii winien uchylić czoła nie przed nieśmiertelną pięknoscią ich ciała, lecz przed ich duszą, tą duszą szlachetną, której blask cierpiącą opromienia ludzkość i koi jej smutki.

Lecz kobieta, która jest tylko kobietą, nie spełniła według Napoleona obowiązku, jaki przyroda na nią wkłada. Kobieta przedewszystkiem powinna być matką. Jeśli stawia niekiedy wystrojonym kobietom pytania pozbawione pozornie sensu: ile każda z nich miała dzieci, czy je sama karmiła i w jaki sposób? — to dlatego, że macierzyństwo jest według niego najszczytniejszem powołaniem kobiety i że w umyśle jego — z tęsknotą za własnymi dziećmi, z cichą urazą do żony, być może nawet z hamowaniem uczuciem zazdrości, łączy się wzwarty zastęp myśli, jakie nasuwa założycielowi państwa kwestya zaludnienia Francyi, będąca gwarancją jej potęgi; dawnemu zwolennikowi Rousseau'a — przewrót dokonany w wychowaniu dzieci przez filozofa genewskiego; generałowi — zmuszonemu walczyć z całą Europą — rekrutowanie licznych wojsk jego. Pozatem i przedewszystkiem, przez pamięć kraju rodzinnego, w którym płodność jest chlubą kobiety, widzi w macierzyństwie nie tylko rodzinę ukonstytuowaną, skonsolidowaną i potężną, lecz również kobietę zbawioną przez dzieci. Gdy na postawione mu przez panią de Staël pytanie: której kobiecie we Francyi przyznaje pierwszeństwo? — odpowiada:

»Tej, która miała najwięcej dzieci«, nie jest to bynajmniej w jego ustach zjadliwą ironią, lecz istotną treścią jego poglądów. Powiedziano o nim »że byłby chętnie zgodził się na to, aby w dobrze zorganizowanym państwie kobiety były zabijane po wydaniu na świat dziecka, jak to widzimy w przyrodzie u niektórych owadów«. Twierdzenie to wręcz jest przeciwne myśli przewodniej Napoleona, której wyrazem są wszystkie jego czyny. Macierzyństwo uderza go nie tylko przez sam fakt, ile przez tajemniczy urok, w jaki je przystraja, przez konsekwencje, jakie mu przypisuje, przez nieodzowną — według niego — ewolucję, jakiej podlega wówczas dusza kobiety. Wrażenie to tak dalece jest silne, że wszystkie wyniki macierzyństwa, z punktu widzenia rządowego i militarnego — schodzą na drugi plan; przedewszystkiem widzi kobietę, nie zaś płynącą z niej korzyść państwową. Macierzyństwo uszlachetnia kobietę: istota użycia zmysłowego staje się istotą obowiązku. Kobieta jest wówczas nie tylko najpiękniejszą ozdobą życia, lecz zarazem najpożyteczniejszą częścią narodu. Wchodzi rzeczywiście w skład rodziny, zakłada ją, organizuje, jest jedną z jej głów. Ponosi odpowiedzialność za wychowanie dzieci i zarząd majątku. Obok ojca, sprawuje część władzy ojcowskiej; w braku ojca — władzę tę przejmuje całkowicie. Żadnego przywileju dla kobiety; wszystkie przywileje dla matki. Więcej jeszcze. Tę samą kobietę, którą Napoleon odsuwa bezwzględnie od polityki, której wzbrania najmniejszego udziału w życiu publicznym, której wyznacza wyłącznie reprezentacyjną

rolę, jako matkę powołuje do instytucji doradczych cesarstwa, powierza jej rządy nad narodem, składa w jej ręce finanse państwowe, pokłada w niej nadzieję zbawienia ojczyzny. Ufa jej więcej niż mężczyznom — nawet niż mężczyznom bliskim mu krwią — nie dlatego, iż oczarowany został jej inteligencją lub talentem, ani też dlatego że zaślepia go nierozsądna miłość, lecz dlatego, że sam fakt macierzyństwa powinien — według niego — przeobrazić kobietę, uzdolnić ją do wszystkiego, rozjaśnić jej wszystkie horyzonty, umożliwić rozwiązanie wszelkich zagadnień. Przysługują jej wówczas te same prawa, co ojcu; odpowiedzialna jest za życie, majątek i przyszłość dziecka a świadomość tych obowiązków powinna dostatecznie ją oświecić.

W czym tkwi przyczyna tego szczególnego zboczenia pozornie niewzruszonej doktryny? Czemu przypisać należy tę niezwykle wagę przywiązywaną do faktu, który jest bądź co bądź tylko przypadkiem i który — jeśli przynosi kobiecie nieco nowych wrażeń, uczuć a tem samem i myśli, nie zdaje się wszakże tak dalece przeobrażać jej istoty duchowej, aby, stawszy się matką — wolna była od błędów i przywar, właściwych jej płci? Temu zapewne, że oceniając matkę jako typ kobiety, Napoleon ma na myśli własną matkę, tak samo, jak ma na myśli Józefinę — oceniając moralną wartość kobiety. Urodzony na Korsyce, w kraju, w którym matka-wdowa dziedziczy po ojcu całkowitą władzę, ulegał zwierzchności matczynej nie tylko w latach dziecięcych, lecz i później, za

każdym powrotem na rodzinną wyspę. Kość z kości jej, wziął w spadku po matce jej energię i silną wolę. Widział ją przy pracy; widział, jak broniła wspólnego mienia i pomnażała je; jak wychowywała synów swoich, dając każdemu z nich możność zrobienia kariery. Własny swój świetny los Napoleon chętnie przypisuje matce. Znaną mu jest dzielność i odwaga tej matki okazana w czasie wojen domowych, jeszcze przed jego przyjściem na świat — a w r. 1792 patrzył sam z podziwem na spokój, z jakim stawiała czoło niebezpieczeństwu, z jakim znosiła nędzę i smutek wygnania. Matka zatem — to jest jego matka; dla uogólnienia zaś i wyprowadzenia definitywnych wniosków umysł jego — jak zwykle — opiera się na faktach osobiście mu blizkich oraz na dokładnej znajomości pewnych jednostek.

Skoro pani Bonaparte była taką jako matka, zatem każda kobieta, która jest matką — może i powinna być taką. Nie bierze pod uwagę ani rasy ani charakteru, ani wychowania. Rola wyznaczona jest nieodwołalnie, czynności nieodwołalnie określone. Dla kobiety macierzyństwo jest rodzajem powtórnego chrztu u wrót nowego życia. Z chwilą, gdy wzniosła się na tę wyżynę, Napoleon nie obawia się już dla niej upadku. Od upadku pragnął zresztą uchronić ją przez szereg odnośnych ustaw prawnych, tak aby żaden brud życiowy, żadna namiętność nie wkradła się między matkę a dziecko. Chętnie zabroniłby jej powtórnego zamążpójścia, chętnie uniemożliwiłby rozwód. Kobieta-matka porzucająca swoje dzieci napawa go wstrę-

tem. Rozwódcę, która po raz wtóry wyszła za mąż, wstęp na dwór cesarski wzbroniony jest nieodwołalnie. Przeciwnie zaś — kobieta, która ubiegając się o urząd dworski — powołuje się na obowiązki względem dzieci, pewna jest łaskawego przyjęcia. Ojcostwo — którego brak był troską jego lat młodzieńczych i tęsknotą wieku dojrzałego, które okupił kosztem jedynych w życiu łez i największej ofiary osobistej — napełniło duszę jego bezmiar szczęścia, znalazło go należycie przygotowanym do zakosztowania wszystkich najsubtelniejszych nawet odcieni uczuć ojcowskich. Wychodząc z tego założenia, Napoleon wyobraża sobie czem macierzyństwo jest dla kobiety, jakie uczucia wywołuje, jakie obowiązki nakłada. Serce jego pamięta słodycz tych uczuć, umysł porównywa i wyprowadza wnioski — i jako ojciec — drogą dedukcyi — dochodzi do sformułowania praw, na które godził się bezwiednie jako syn.

Przeczy zresztą samemu sobie nietylko jako syn i ojciec, lecz również i jako brat. Czyżby uważał, że kobiety blizkie mu krwią o tyle wyższe są od innych kobiet, o ile on sam przewyższa ogół ludzki? Czy pobudką, kierującą nim, jest li tylko pycha, li tylko przekonanie, że sam fakt pokrewieństwa dostateczny jest, aby siostry jego — Eliza i Karolina — wolne były od grzechu pierworodnego, aby umysł ich cechowała męska jasność, prawość, stanowczość i poczucie honoru? Czy nie zaślepia go miłość braterska, która podnosi zalety pomijając wady, która przecenia władze umysłowe, niedostrzegając moralnych usterek? — Napoleon

nie zastanawia się nad urobioną doktryną. Powierza Elizie rządy Toskanii. Osadza Karolinę na tronie neapolitańskim. Czyni to z radością. Pochlebia mu myśl, że siostry jego — jakkolwiek kobiety — dzierżą również władzę w swych drobnych dło- niach. Niestety! Jedna z nich — to Toskania opu- szczona w dniach klęski, to iście niewieścia chwiej- ność charakteru, spotęgowana nieodwołalnie przez połowiczną zdradę. Druga — to Neapol wydany wrogom i zdrada — jednocześnie tak całkowita i podstępna, że żaden mężczyzna, nawet Berna- dotte — nie byłby jej uknuł, przeprowadził i do- konał z większym mistrzostwem, w bardziej od- powiedniej chwili, przy bardziej obciążających okolicznościach, z większą pogardą uczuć świętych zazwyczaj dla ludzi a przytem — czy istotnie może to być wymówką — z głębszą nieświadomością, tą wzniosłą i wzruszającą nieświadomością, zdolną zawsze uniewinnić kobietę, gdyby nie to, iż celem jej ambicyi jest branie na siebie odpowiedzialności, której — dzięki swojej płci lub też wrodzonej zrzeczności — pewna jest zawsze uniknąć.

Miłość — zarówno synowska jak ojcowska — jest wytyczną stosunku Napoleona do Maryi Lu- dwiki, miłość braterska wytyczną stosunku do Elizy i Karoliny. To podwójne sprzeniewierzenie się swojej doktrynie o kobiecie Napoleon opłacił ko- sztem władzy monarszej i swobody osobistej; Fran- cya — kosztem dwóch najazdów i fatalnych ich wyników. Mimo nienawiści pani de Staël, wdzięków i zalotności pani Récamier, zdrady pani Rémusat, mimo intryg ks. de Vaudemont, ks. Dalberg, hr. de

Brignole i innych przyjaciółek ks. Benewentu, mimo koligacyi i stosunków ks. Raguzy i ks. Castiglione — kobiety, które zrażała jego szorstkość, których mi- łość własną i próżność ranił dotkliwie, których ambicyę paraliżował, byłyby nadal pozostały bez- silne wobec niego, byłyby długo i bezskutecznie gotowały się do odwetu, gdyby nie te trzy kobiety — Marya Ludwika, Eliza i Karolina — które chciał wywyższyć, którym zaufał, którym oddał się tak jak Samson a które — jak Dalila — zdradziły go wraz z jego ludem.

KUZYN NAPOLEONA.

PRZED STU LATY

Karyera taka, jak kariery Napoleona jest gma-chem, który nie odrazu wznieść można. Ileż szczebli minąć trzeba, aby zasiąść wreszcie na tym najpotężniejszym z tronów Europy! Przejście od Konsulatu dożywotniego do dziedzicznego Cesarstwa a nawet — poprzednio — od Konsulatu dziesięcioletniego do dożywotniego, jest zrozumiałem, wydaje się niemal że łatwem. Lecz w jaki sposób doszedł do Konsulatu ten niepozorny Korsykanin, podejrzany dla Korsykanów jako protegowany króla francuskiego, podejrzany dla Francuzów jako gorący wyznawca Paoli'ego, podejrzany dla rojalistów jako zwolennik Republiki, podejrzany dla rewolucjonistów jako szlachcic?

Najważniejszą rolę odgrywa tu niezaprzeczenie stale sprzyjający mu los. Lecz jakkolwiek gładką była jego droga, ileż razy katastrofa wydawała się nieuniknioną! Dla podania wówczas ręki, dla rzucenia nad przepaścią zbawczych pomostów, nieznani ludzie wynurzali się z cienia, aby po chwili znów się w nim pogrążyć. Zapamiętano ich nazwiska, ale nikt nie wie, kim oni byli i jednostki naj-

lepiej skądinąd poinformowane — identyfikują ich z braćmi lub krewnymi. A jednak, bez ich pomocy syn Karola Bonaparte'go byłby tak jak ojciec strawił życie wśród drobnych spekulacji, w nieznanym zakątku, o ile nie byłby podążył do Rosyi, Turcyi lub Indyi szukać przygód wojskowych na podobieństwo Bonneval'a, Saint-Germain'a albo Peron'a.

Lecz na Korsyce, gdzie duch klasowy góruje nad wszystkimi namiętnościami i kieruje wszelką działalnością, Napoleon — z chwilą, gdy stwierdzoną została wyższość jego umysłu — znalazł krewnych i przyjaciół, którzy z takim zapalem jak gdyby chodziło o nich samych — popierali go i służyli mu; pracując zaś dla niego, pracowali jednocześnie dla klanu, czyli dla siebie, nie wątpili bowiem, iż trudy ich zostaną z czasem wynagrodzone tytułem wdzięczności. Nie mylili się w rzeczy samej, gdy Napoleon oddał im Korsykę wraz ze znacznym dodatkiem, którego kosztą poniosła Francya. Wszystkò jednak było niedostateczne. Chcieli więcej. — I kto wie nawet, czy dar całej Francyi byłby ich zadowolił?

W liczbie rodzin spokrewnionych z Bonapartem'i, rodzina Costa'ów zajmowała pierwsze miejsce. Osiadłszy pod koniec XVI-go wieku w miasteczku Bastelica, liczącem około dwóch tysięcy mieszkańców, opanowali je z czasem i wywierali znaczny wpływ na sąsiednie kantony. W połowie XVII-go stulecia, jeden z Costa'ów, Messer Alessandro, ożenił się z Alderabellą Bonaparte, córką Carla

Marii, pra-pradziada ojca Napoleona. Inne małżeństwa zacieśniły następnie węzły łączące obie rodziny a pokrewieństwo to uzewnętrzniało się solidarnością spraw i interesów w czasie pokoju, braterstwem broni w razie wojny, wspólnością niebezpieczeństwa w razie krwawej korsykańskiej wendety.

W chwili wybuchu Rewolucyi głową rodziny Costa'ów był Franciszek Maria, człowiek inteligentny i czynny, bardziej kulturalny niż ogół jego rodaków. Ukończywszy medycynę we Włoszech, doktoryzował się podobno w Perpignan i tamże praktykował około lat dziesięciu. Po powrocie do Bastelica, w r. 1789, został natychmiast mianowany burmistrzem, następnie obrany sędzią pokoju kantonu Saint-Pierre. Jako taki, użył swoich wpływów dla wyrobienia Józefowi Bonaparte'mu posady najpierw w magistracie miasta Ajaccio, później przy dyrektoryacie departamentu; podczas poboru batalionów ochotniczych, przyczynił się do nominacyi Napoleona na drugiego podpułkownika batalionu, zwanego oficjalnie batalionem z Ajaccio i Talano, w rzeczywistości składającym się wyłącznie z górali z Bastelica i Bocognano.

Wiadomo, jaki obrót wzięły rzeczy, jak doszło do zerwania między Paoli'm a partya francuską, reprezentowaną przez rodziny Bonaparte'ów, Arena'ów, Galiceti'ch, Pietri'ch, Costa'ów przez żywioły dziwnie wprawdzie niejednolite, których przekonania były zapewne w znacznej mierze wynikiem interesów osobistych, lecz które dla tej lub innej przyczyny w owej przynajmniej chwili wypowiedziały

się za Francją, przeciwko separatystom korsykańskim i anglofiłskim.

Napoleon, uchodzący przed pościgiem Paolistów, ocalał tylko dzięki pasterzom Costa'y. Gdy znalazł się wraz z braćmi w bezpiecznym schronieniu, pozostała jeszcze w Ajaccio pani Bonaparte z córkami, które Paoliści pragnęli uprowadzić jako zakładniczki. Na szczęście, Costa czuwał.

Jeden z jego ludzi, nazwiskiem Petrini, inaczej Stravolaccio, wysłany przez Costa'ę do przedstawicieli narodu, napotkał po drodze partyę Paolistów, którzy nosili się z zamiarem porwania rodziny Bonaparte'ów. Aresztowany i uwięziony Stravolaccio zdołał uciec z więzienia, powrócił do Bastelica i zawiadomił o wszystkim Costa'ę, który kazał niezwłocznie dzwonić na trwogę i podążył do Ajaccio na czele swoich ludzi. Aby uspokoić panią Bonaparte i pomódz jej w razie potrzeby, zabrał ze sobą żonę; dwoje zaś drobnych dzieci, z których jedno było chore, zostawił w domu. Gdy dokonał dzieła ocalenia Bonaparte'ów, gdy z Calvi wyprawił panią Bonaparte do Marsylii i powrócił do domu — obaj jego synowie już nie żyli.

Nie miał jednak ani czasu, ani możliwości opłakiwać ich zgonu. Paoliści — rozjątrzeni porażką, za którą czynili go odpowiedzialnym — zbliżali się w znacznej liczbie. Ruszył więc w pole i na czele swoich krewnych, przyjaciół i stronników staczał zacięte walki, którym wzajemne groźby i obelgi, rozpacz i wściekłość, jaką wywoływała śmierć każdego człowieka — nadają cechy eposu. Zmuszony

w końcu ustąpić, cofnął się do Calvi, gdzie wziął czynny udział w obronie miasteczka. Po kapitulacji, tak jak wielu innych, schronił się do Prowancyi. W walce tej wszystko utracił prócz swoich wiadomości lekarskich; jako lekarz też praktykował w Tulonie, potem w Aix — a gdy Napoleon otrzymał naczelne dowództwo armii — przy ambulansach we Włoszech.

Zaledwie Włochy zostały zdobyte, Napoleon pomyślał o wyzwoleniu Korsyki. Zgromadził w Genui wszystkich swoich współrodaków, znajdujących się w armii a wśród tych, którzy wysłani zostali potajemnie, dla rozpoznania stanu rzeczy i podburzenia malkontentów przeciwko Anglii — Costa był jednym z pierwszych. W przeciągu kilku dni Korsyka znów powróciła do Francji. A przy organizowaniu administracji kraju, wybór wszystkich ludzi, wchodzących w skład nowego rządu, dokonany został przez komisarza Dyrektoryatu pod wpływem i kierunkiem Józefa. Tym sposobem Costa otrzymał nominację na komisarza centralnej administracji departamentu Liamane, którego stolicą było Ajaccio. Był to rodzaj prefektury o władzy pozornie ograniczonej, w rzeczywistości — dyktatorskiej.

Władzy tej użył Costa do przeprowadzenia kandydatury poselskiej do Rady Pięciuset najpierw Józefa, później Lucyana. Ponieważ wybory były dwustopniowe, więc tylko kandydaci zgromadzeń prawyborczych mogli być obierani przez zgromadzenia wyborcze. W Ajaccio, Bonaparte'owie byliby napewno upadli przy prawyborach; w Baste-

lica, dzięki wpływom Costa'y, nie napotkali żadnej trudności. Gdy przyszła kolej na Lucyaną, Costa podwoił gorliwość: według specjalnej ustawy — departament Liamone pozbawiony był prawa wyborów w r. VI-ym. Costa pominął ten zakaz, którego rzekomo wcale nie otrzymał, zwołał prawyborców, następnie wyborców. Lucyan, obrany posłem, potrafił uprawomocnić w Paryżu swój mandat poselski, jakkolwiek wiekiem nie odpowiadał wymogom cenzusu.

Gdyby nie Lucyan, nie byłoby 18-go Brumaire'a, zatem nie byłoby Konsulatu ani Cesarstwa. Gdyby nie Costa — nie byłoby Lucjana. Pomocy i poparciu Costa'y Napoleon zawdzięcza tedy swoją karierę.

Rządy Costa'y i jego przyjaciół w Liamone zasługują na uwagę; dostarczyłyby historykowi ciekawych szczegółów. Mianowani przez klan — rządili dla klanu, w sposób raczej gwałtowny, z nieświadomością wszelkich ustaw i z nieogłębnością, która po upływie lat trzech wywołała burzę we wszystkich ministeriach. Dyrektoryat usunął ich, powierzając władzę przeciwnej partii politycznej: lecz sposób rządzenia pozostał ten sam, chociaż zmieniły się jednostki.

Postawiony pod sąd przed trybunałem w Var, uniewinniony dzięki Bonaparte'ym, którzy nie szczędzili zabiegów, Costa nie odzyskał jednak utraczonego stanowiska. Po kwietniowym zamachu stanu objął je ktoś inny, zręczniejszy. Jeśli Lucyan wystąpił wszakże z taką gwałtownością przeciwko

większości Dyrektoryatu, którą zmusił do dymisji, to dlatego, że czuł się zgubionym w razie, gdyby klan utracił przewagę w Liamone. Z chwilą gdyby jego wrogowie udowodnili pewną sprawę z niezbyt odległej przeszłości — musiałby zniknąć z horyzontu. Dla usunięcia kompromitujących go papierów — potrzebował sprzymierzeńców, potrzebował przychylności ministrów i dyrektorów. Wszystko na jedną postawił kartę, wygrał partię i odtąd wszystkie drogi stają przed nim otworem.

Najzupełniej nieobliczalny bywa niekiedy w skutkach interes osobisty, przystrojony wymownymi frazesami o dobru publicznym, uczciwości urzędników, oszustwie dostawców, porażkach wojsk! Piosenka ta, ustawicznie powtarzana stanowi właśnie specjalny urok ustroju parlamentarnego.

Jakie były dalsze losy Costa'y? Na prośby Józefa, Bernadotte mianuje go naczelnym lekarzem szpitala wojskowego w Ajaccio. Skromna była to nagroda za oddane usługi. Napoleon powraca z Egiptu. Oto słynny Brumaire, oto Konsulat, oto świetne zwycięstwo pod Marengo. O Costa'ie nikt nie pamięta. Zniecierpliwiony — przybywa do Paryża; napróżno kołacze do różnych drzwi; przejada ostatni swój grosz; zrozpaczony powraca do Bastelica. Ani pani Bonaparte, ani kardynał Fesch, ani Lucyan, ani Józef, nie chcą nic o nim wiedzieć. Jeden tylko Napoleon pamięta. Gdy w roku X-tym zawakowało miejsce konserwatora lasów w Liamone, bez niczyjej interwencji mianuje na to stanowisko Costa'ę.

Ten wszakże uważa, że jest lichy wynagrodzony, że należy mu się conajmniej krzesło w Senacie, że w zamian za cesarstwo — synekura przynosząca 8.000 franków rocznie — jest niczem. Lecz ponieważ brak mu środków do życia, przyjmuje; sześć lat później, w r. 1809, umiera — pozostawiając wdowę i kilkoro drobnych dzieci.

Wdowa ponawia prośby, lecz nie otrzymuje ani odpowiedzi, ani pensyi, ani nawet jednorazowego zasiłku. Zapomnienie jest całkowite, nieodwołalne, przygębające.

Mijają dnie, mijają lata. Cesarstwo upada, Burboni powracają do Francyi. Znikomym blaskiem jaśnieją ponowne studniowe rządy Napoleona, potem przychodzi okropna klęska i zapada martwa, głucha cisza. Na drugiej półkuli, wśród bezkresów oceanu, na skalistej wysepce — człowiek wielki — niegdyś pan świata, dziś przez ten świat odepchnięty, nędznie dogorywa, pod strażą nieprzyjacielskiej floty i wojska.

Zanim jednak zstąpił do grobu, jaki zgotowała mu oligarchia angielska, Napoleon czyni rachunek sumienia. Przebiega myślą całe swoje życie; wspomina wszystkie usługi, jakie kiedykolwiek zostały mu oddane; wszystkie bez wyjątku pragnie wynagrodzić. Wówczas jednym z pierwszych nazwisk, jakie przychodzą mu na myśl, jest nazwisko tego Costa'y, którego historia ignoruje, którym on sam pogardził w dniach świetności a który nie żyje już od lat trzynastu. Píše więc w swoim testamencie: »Pozostawiam rodzinie Co-

sta'ów z Bastelica, na Korsyce — sto tysięcy franków«. Jest to byt zapewniony dla wdowy i dzieci, którym pieniądze zostaną wręczone; dla Costa'y, jest to czemś więcej: jest unieśmiertelnieniem jego imienia i tym razem dług wdzięczności hojnie, po królewsku został spłacony.

CZY NAPOLEON BYŁ RELIGIJNYM.

Nie chodzi tu bynajmniej ani o politykę, ani o zewnętrzne praktyki religijne, wykonywane ze względów politycznych. Znaki krzyża — modą włoską wielokrotnie powtarzane przez Napoleona w chwilach silnego wzruszenia — są niewątpliwie pozostałością z lat dziecinnych; regularne uczęszczanie na mszę świętą — aktem hołdu wobec panującego we Francyi wyznania. Z faktów tych i innych współrzędnych im, nieostrożnie byłoby wyciągać jakiekolwiek wnioski.

Zdaje się, że sprawy dogmatyczne mało wogóle Napoleona zajmowały; mało o nich mówił, jeszcze mniej pisał. Jeśli w poufnych rozmowach, powtarzanych z wątpliwą zresztą ścisłością, filozofia jego zdradza pewien materyalizm, jest to raczej z jego strony objaw złego humoru, sposób zapełnienia czemkolwiek długich smutnych wieczorów, które zgorzkniały jeniec usiłuje skrócić, wypowiadając i podtrzymując paradoksy niecące dyskusję. Faktem jest stwierdzonym, że Napoleon był fatalistą wierzącym a stąd do idei chrześcijaństwa bliżej może, niżby się zdawało. Wyłania się tu dogmat Objawienia.

Napoleon nie głosił nigdy i nigdzie swojej niewiary. Z szacunkiem i czcią odnosił się zawsze do kwestyi wiary i dogmatów: nie darzył nigdy poklaskiem ordynarnych żartów i dowcipów uczniów Voltaire'a. Uchyłał czoła przed wielkiem zagadnieniem, które ciasne li tylko umysły szybko i śmiało mogą rozwiązywać, stwierdzając tem samem nieuleczalną swoją głupotę. To — co poprzez sześćdziesiąt pokoleń było przedmiotem czci milionów ludzi, co pociągnęło za sobą wędrówki narodów, to — za co tłumy całe cierpiały mękę i ginęły radośnie, co obdarzyło ludzkość nowem niejako obliczem, zmieniło jej umysłowość, wytworzyło cywilizację, ustanowiło instytucje i prawa — nie wydawało się Napoleonowi tak mało znaczącem, tak godnem pogardy, aby mógł przez prostą negację obalić istotną treść tego i — jakkolwiek była jego potęgą twórczą — aby czuł się na siłach wzniesienia gmachu, który mógłby to wszystko zastąpić. Lecz cześć Napoleona — jako myśliciela i twórcy państwa — dla religii katolickiej, nie jest równoznacznikiem jego uczuć religijnych.

Jest to temat nadający się do dyskusyi, gdyż tak samo, jak uchyla Napoleon swoje życie prywatne z pod przepisów dworskiej etykiety — zamyka duszę własną, rzadko kiedy wypowiadając się na zewnątrz. Uczynił to raz tylko — w obliczu śmierci, 15-go kwietnia 1821 roku, »testament swój czyli akt ostatniej woli«, w którym wypowiada myśli przewodnie swojego życia, w którym streszcza własną — uczuciową i polityczną historję — następującem rozpoczyna zdaniem: »Umieram w wie-

rze rzymskiej i apostolskiej, w której urodziłem się lat temu pięćdziesiąt«. Możliwie uroczyste to wyznanie wiary. Każde słowo zostało rozważone, każdy paragraf zawiera cały świat myśli. W tem jednym zdaniu mieści się całkowita doktryna religijna Napoleona.

Nie mówi »w której żyłem« — w myśl zwykłej formuły testamentowej. Bierze punkt wyjścia — chrzest w katedrze w Ajaccio — i kres — wyspę św. Heleny. A jednak dokonał w międzyczasie całego szeregu czynów, które niezrozumiałymi będą — jeśli uważać będziemy Napoleona za jednostkę niewierzącą, które skądinąd — jeśli nie stwierdzają istotnego współudziału, są zewnętrznym objawem zupełnej przynależności.

Sprzeciwiał się np. niezmiennie uświęceniu przez Kościół węzła ślubu cywilnego, który łączył go z Józefiną Tascher, gdyż przewidując, że będzie zmuszony zerwać go wobec świata, nie chciał uczynić go nierozzerwalnym wobec Boga. Równocześnie wymógł udział księdza katolickiego w ślubnej ceremonii siostr swoich; nie bacząc na skutki — jako naczelny wódz armii włoskiej — zażądał od arcybiskupa medyolańskiego odpowiedniej dyspenzy, dzięki której proboszcz z Bovisio udzielił błogosławieństwa ślubnego w oratorium św. Franciszka w Mombello — Paulinie Bonaparte, zaręczonej z generałem Leclerc i Elizie Bonaparte — według prawa małżonce kapitana Baciocchi; on to również — jako pierwszy Konsul — skłonił kardynała Caprara'ę do dopełnienia obrzędu ślubnego »w sali pałacu przy ulicy de la Victoire« i udzielenia bło-

gosławienstwa Ludwikowi Bonaparte'mu, zaręczonemu z Hortensją de Beauharnais i Karolinie Murat, prawnej małżonce Joachima Murat.

Napoleon wierzy zatem w skuteczność ślubu kościelnego. Narzuca go swoim najbliższym. Eliza i Karolina nie pomyślały o tem; Letycya Bonaparte — mimo pobożności — nie mieszała się do tych spraw; nie mieszał się również Józef Fesch, archidyakon i wielki wikaryusz, późniejszy kardynał. Jeden tylko Napoleon obstawiał przy uświęceniu przez Kościół związku cywilnego — zawartego przed jednym, dwoma i trzema laty. W obu ceremoniach bierze udział osobiście, wraz z Józefiną. Lecz żeniąc innych, sam ożenić się nie chce. Nie chce zadzierżgnąć węzła, którego nie mógłby już zerwać. Kiedy pada wreszcie ofiarą szantażu, zorganizowanego przez Józefinę i żeni się z nią pod przymusem, w przededniu koronacyi, ustępuje tylko wobec groźby wyjazdu Piusa VII-go, wobec skandalu, jaki wywołałoby zniesienie obrzędu koronacyjnego, wobec możliwości upadku własnego w oczach zgromadzonej Francyi, w oczach złośliwej i ciekawej Europy. Nigdy przymus nie był bardziej istotny i nie usprawiedliwiał lepiej unieważnienia zawartego związku. Kiedy — w roku 1809 — powołał się na ten przymus przed sądem konsystorskim, dziwiono się, że człowiek dotąd niezwyciężony, uległ dwom słabym istotom: sumiennemu księdzu i przebiegłej kobiecie. A jednak jest to szczerą prawdą.

Podczas koronacyi inny jeszcze znamieny fakt podkreśla uczucia religijne Napoleona: od-

rzuca on publiczną komunię, obowiązującą w danym rytuale koronacyjnym. Jednostka niewierząca, jawnie a katolicka, nie byłaby się przed tem uchylała, uważając komunię za czczą formę; człowiek przekonany, że komunია nie jest rzeczywistą krwią i ciałem Pańskim — nie byłby się cofnął przed świętokradztwem: sprofanować można tylko rzeczy święte. Nie są one świętymi dla niedowiarka lecz świętymi były dla Napoleona. Ubiegał się o obecność Ojca świętego; z rąk papieża przyjął błogosławienstwo i insygnia cesarskie; spełnił następnie szereg czynów zasadniczych, stwierdzających jego przynależność — jako panującego — do religii katolickiej; lecz, jako człowiek prywatny, odrzuca publiczną komunię dlatego, że sam fakt komunii wkracza już w tajną dziedzinę ducha, że sumienie nie dozwoliłoby mu przystąpić do Stołu Pańskiego w nastroju sprzeciwiającym się wymogom Kościoła. Odzywa się w nim wówczas sumienie katolika. Zatem Napoleon jest katolikiem, jakkolwiek nie przestrzega praktyk religijnych a stanowisko jego w tym względzie bardziej jest znamienne, większa wyraża cześć, niż najzręczniejszy wybieg, który byłby mu ułatwił rzekome spełnienie danego obrzędu.

Byłby więc minął się z prawdą pisząc: »w której żyłem«. Natomiast miał pełne prawo — bardziej niż ktokolwiek inny — napisać: »w której umieram«. On to zażądał przysłania mu księdza katolickiego na skalistą wysepkę, na której »umiera przedwcześnie, zamordowany przez oligarchię angielską i jej siepacza«, na której żaden z członków Świętej Koalicji nie postarał się o zapewnienie mu

pociach religijnych; gdy w następstwie obaj księży wybrani przez kardynała Fesch'a w okolicznościach, o jakich będzie mowa poniżej — okazali się nieodpowiednimi, on to domagał się u rządu Ludwika XVIII-go księdza francuskiego, z którym mógłby porozumiewać się, który mógłby być mu istotnie pomocnym w godzinie śmierci; w braku tego oczekiwanego księdza — Mgr de Quélen ofiarował swoje usługi a ks. Daguerre został wyznaczony — on to, zupełnie świadomie i przytomnie, przywołał kazał do swojego śmiertelnego łóża ks. Vignali, Korsykanina, jedyne go kapłana, jaki znajdował się podówczas na wyspie św. Heleny. Jemu spowiadał się; z jego rąk przyjął komunię.

Widniejąca w tem wyraźna wola wszelkie rozprasza wątpliwości i nakazuje nam odpowiedź twierdzącą: »Tak jest, Napoleon był religijnym«.

II.

Stawiając pytanie: czy Napoleon był religijnym? — i odpowiadając na nie twierdząco, nie przypuszczałem, że napotkam oponentów. Nie zadali oni sobie jednak trudu rozważenia mojej tezy i składających ją poszczególnych poglądów; przeciwstawili tylko domniemanym uczuciom religijnym Napoleona, jego stosunek do przedstawicieli religii katolickiej: do papieża i niektórych księży. przypomnieli fakty uwięzienia, banicy i zsyłki i wysnuli stąd wnioski i argumenty. Są to rzeczy najzupełniej odrębne i nie można stawiać Napo-

leonowi zarzutu niewiary dlatego — że jako głowa rządu włoskiego, jako król włoski, zastosował środki policyjne względem niektórych swoich poddanych, zamykając ich w więzieniu w Tenestrelle, lub też zsyłając do Korsyki i Kabrery.

Gdyby papież, kardynałowie, biskupi, księży i zakonnicy byli więzieni lub zsyłani dlatego, że odmówili swojej aprobaty nowemu jakiemuś dogmatowi, lub nowej regule zakonnej, przez Cesarza wymyślonej — argumenty te byłyby słuszne. Nie zaszło jednak nic podobnego. Napoleon nie tykał nigdy sprawy dogmatów: w dzieciństwie przejął je tradycyjnie od matki i dwóch nauczycieli duchownych — proboszcza w Brienne i kapelana szkoły wojskowej; następnie domagał się ich nauczania w katechizmie państwa francuskiego — potwierdzonym przez nuncjusza papieskiego. Chcąc zaś zaprowadzić pewne reformy dyscyplinarne, od których zależał nieodzownie spokój publiczny, zwrócił się do jedynej — w braku papieża — władzy kompetentnej: do Soboru Narodowego. Nadto prosił uprzednio papieża o pozwolenie na zwołanie Soboru a następnie o potwierdzenie uchwał tego Soboru.

Za rządów Cesarza kwestya religijna nie istniała. Istniała natomiast kwestya rzymska i kwestya cesarska.

Kwestya rzymska tą samą jest, która odradza się w pięćdziesiąt lat po Napoleonie i zostaje wówczas rozstrzygnięta — jeśli można tak się wyrazić — w duchu czysto włoskim, w sposób zdolny zaniepokoić każdego katolika nie Włocha i obudzić

w rządzie francuskim, świadomym swojej odpowiedzialności, ciągle wzmagające się obawy.

Zachodzi zasadnicza różnica między obiema aneksjami państwa rzymskiego. Podczas ostatniej aneksyi Włochy były w zgodzie z całą Europą i zajęły Rzym, aby zaspokoić namiętności rewolucyjne, lub, jeśli kto woli — dążności jednościowe; podczas aneksyi w roku 1810, cała Europa podniosła się przeciwko Cesarstwu, dla którego zdobycie Rzymu stało się koniecznym warunkiem obrony narodowej.

Cesarz nie miał wówczas na morzu ani floty, ani nawet jednej kompletnej eskadry; Anglicy zaś — zajmwszy Malte, Sycylię i Hiszpanię, rozporządzając portami Sycylii — władali całem morzem Śródziemnem i każdej chwili, w każdym punkcie wysadzić mogli na ląd własne wojsko, lub też wojska sprzymierzone. Każdej chwili Rzym mógł stać się łupem Anglików, Sycylianów lub Rosyan. W takim razie Włochy były przepołowione: królestwo neapolitańskie wraz z okupującą go armią francuską znajdowało się w niebezpieczeństwie; W. Ks. Toskańskie niemożliwem było do obrony. Na tyłach armii francuskiej, maszerującej na Wiedeń, powstawał ruch, który, znalazłszy we Włoszech żywioły buntu, mógł zwalić zwierzchnictwo Francyi.

Papież powoływał się na swoją neutralność. Czy istotnie był neutralnym? — Państwo może być neutralnem w dwóch tylko wypadkach: jeśli zostanie uznane jako takie przez strony wojujące, które dobrowolnie obowiązują się przestrzegać nie-

tykalności jego terytoryum, albo też, jeśli posiada siły dostateczne do obrony własnej neutralności. Tutaj jednak działo się inaczej: strony wojujące nie uznały bynajmniej neutralności państwa Kościelnego a papież nie był w stanie odeprzeć jakiegokolwiek inwazyi.

Czy na mocy uprzedniej umowy mocarstw europejskich papież miał zapewnioną neutralność? Historia nie zdradza żadnych śladów takiej umowy a w każdym razie — od lat piętnastu — sam papież zrzekł się dobrodziejstw takiej neutralności. Pius VI-ty brał czynny udział w uknuciu pierwszej koalicji. Do współudziału tego przyznał się publicznie w drugim paragrafie traktatu zawartego w Tolentino 19-go lutego 1795 roku (1-er ventôse an VI): »Papież odwołuje wszelki swój współudział, aprobatę i akces — jawny czy też tajny — udzielony przezeń zbrojnej koalicji, skierowanej przeciwko Republice francuskiej; usuwa się od wszelkiego traktatu przymierza, zaczepnego czy też odpornego, z jakimkolwiek bądź mocarstwem lub państwem«. — Odwołuje — a zatem współdziałał był z koalicją i godził się z nią.

Od tej pory neutralność papieża nie była bardziej istotną. Jeśli zwierzchnik państwa Kościelnego jawnie nie występował przeciwko Francyi, to w roku 1805 zajął wręcz wrogie stanowisko i w chwili, kiedy armia francuska — walcząca z Austryą — znajdowała się w niebezpieczeństwie, kiedy wylądowanie w Neapolu cztertnastotysięcznego wojska anglo-rosyjskiego rozpałało wyobraźnię Włochów, wystosował do Cesarza rodzaj ultima-

tum, na które jedyną odpowiedzią był stan wojenny.

W rzeczy samej stan wojenny między Rzymem a Paryżem, między papieżem a Cesarzem trwał od roku 1806 do roku 1810. Nie mogło być inaczej. Za wyjątkiem jednego tylko państwa Kościelnego — całe Włochy i każde poszczególne państewko rządzone były jednym i tym samym systemem administracyjnym, prawnym, ekonomicznym i wojskowym; ulegały tym samym wpływom politycznym; sam zaś fakt istnienia takiego dysonansu podkopywał całokształt dzieła: złudną stawała się walka ekonomiczna z Anglią, zagadkową — obrona granic Cesarstwa.

Cesarz musiał więc zająć Rzym. W tym momencie kampanii 1809 roku, kiedy cudem tylko uniknął pod Essling pogromu, który byłby unicestwił wszystkie dotychczasowe zwycięstwa; kiedy w Niemczech ukazywały się już pierwsze zwiastuny rozprężenia i upadku; kiedy nie lepszą była sytuacja we Włoszech, gdzie na skutek porażki ks. Eugeniusza starano się wszelkimi siłami o posiłki dla Wielkiej Armii, gdzie księża malkontenci podburzali umysły; oczekiwano każdej chwili, bądź to z obawą, bądź też z radością — wyładowania Anglików. Papież, może nawet mimowolnie, był przyczyną i pretekstem intryg, buntów i zamachów na żołnierzy francuskich: Pius VII-my został więc porwany, wywieziony z Włoch do Francji a następnie — na mocy rozkazu Cesarza — odwieziony do Savone.

Rzeczą podrzędną jest, czy porwania tego

dokonano na skutek rozkazu Napoleona, czy też bez jego wiedzy. Skoro wziął na siebie odpowiedzialność, jemu tylko ona przynależy. Być może, że »szturm« Kwirynału nieco był za gwałtowny i że Radet więcej mógł być okazać dworskości, lecz nie rozlano przy tem ani jednej kropli krwi. Niegdyś wysłańcy Jego Cesarskiej i Apostolskiej Mości Karola V-go inaczej brali się do dzieła; osoba papieża nosiła ślady raptu; dzięki zaś Jakóbowi Bonaparte, który opisał ówczesną rzeź Rzymu, wiemy jak fungowała policja cesarska. Lat temu trzydzieści pięć posłowie króla Wiktora Emanuela wkroczyli do Rzymu papieskiego Piusa IX-go przez wyłom w Porta-Pia, deptając po stosach trupów — trupów francuskich, których szczątków brak w chlubnej kostnicy w Loigny. Radet był więc względniejszym od Burbona i od Cadorna'y; lecz inną jest ta sama zbrodnia popełniona przez Napoleona, inną — przez Karola V-go lub Wiktora Emanuela II-go.

Bez względu na sposób, jakiego użyto, Cesarz osiągnął zamierzony cel: rozstrzygnął kwestię Rzymu; zadośćuczynił wymogom obrony Cesarstwa.

Jeśli musiał następnie zastosować środki represyjne względem rozmaitych kardynałów i księży to nie dla odrębności ich poglądów w sprawach dogmatycznych, ani też dlatego, że przyjęli oni taki lub inny rytuał liturgiczny, ale dlatego, że knuli spiski, że dopuszczali się czynów opozycji w stosunku do zwierzchności jego, sprawowanej

w granicach, jakie Konkordat wyznaczył władzy cywilnej.

Obok kwestyi włoskiej, wylania się niewątpliwie kwestya cesarska, lecz ta ostatnia nie usprawiedliwia ani prześladowań, ani licznych wypadków więzienia, banicy i zsyłki. Cesarz usiłował skłonić papieża do dobrowolnego rozstrzygnięcia kwestyi w sposób dla siebie zadowalający. Był w swoim prawie, tak samo, jak papież miał prawo odmówić i istotnie prawa tego użył. Będąc równocześnie biskupem paryskim i rzymskim, zamieszkując w Paryżu uprzywilejowaną dzielnicę w otoczeniu swego dworu, władz administracyjnych oraz ciała dyplomatycznego jakie przypadało mu w udziale, zarządzając swobodnie ogólnemi sprawami Kościoła, czyż papież bardziej lub mniej podlegałby Cesarzowi, aniżeli gdyby Napoleon — przeniósłszy do Rzymu stolicę Cesarstwa — zajął pałac Kwirynału, pozostawiając papieżowi tylko używalność Watykanu?

Obecnie warunki te są urzeczywistnione. A jeśli w sprawach duchowych papież uważa się i uważany jest za niepodległego, jeśli nikt nie przeciwstawia się władzy jego — dziwnie wzmożonej po Soborze z roku 1870, jeśli obecność króla włoskiego w Kwirynale w niczem nie krępuje jego działalności, to dlaczegóżby Pius VII-my miał być mniej niezależnym w gmachu arcybiskupstwa paryskiego, w wolnej Cité paryskiej, aniżeli jest nim Pius X-ty w Watykanie?

Zachodzi nawet pewna różnica: Wielkie Cesarstwo, którego Napoleon był głową a Paryż —

stolicą, obejmowało Francję, Włochy. Niemcy, Szwajcaryę, austriackie Niderlandy, Hollandyę, Polskę, Hiszpanię i brzegi Adryatyku, czyli dziewięć dziesiątych katolików Europy; Cesarz prawnie uznany był za opiekuna wszystkich gmin katolickich na Wschodzie i na Dalekim Wschodzie; rezydując więc w Paryżu, stolicy tego olbrzymiego państwa, papież nie mógł popierać jednej narodowości ze szkodą drugiej, nie mógł również podlegać wpływowi lokalnym, skoro Cesarstwo było wszechświatowe. Któż zaprzeczyć może, że lepszem, że korzystniejszym było takie właśnie rozwiązanie kwestyi?

ODWET KONKORDATU.

Po długich i uciążliwych negocyacyach, kiedy podpisany został wreszcie 15-go lipca 1801 roku Konkordat między pierwszym Konsulem a papieżem Piusem VII-ym, niczego jeszcze właściwie nie dokonano. Art. 50. tyranicznej Konstytucyi r. VIII, opiewał: »Wypowiadanie wojny oraz zawieranie traktatów pokojowych, sprzymierzeńczych i handlowych musi być przedstawione, rozważone i uchwalone na podobieństwo ustaw prawnych«; wszelkie zaś ustawy prawne wówczas dopiero stawały się obowiązującemi, gdy wniosek rządowy, przedstawiony Trybunałowi — przechodził większością głosów w Ciele prawodawczem. W myśl Konstytucyi, rząd przeprowadził negocyację, ustalił punkta wstępne, zawarł i podpisał traktat ze Stolicą Apostolską; lecz, jeśli zarówno w tem jak w czem innem pewien był, że spełnia życzenia olbrzymiej większości Francuzów; jeśli przez przywrócenie jawności obrzędów, przez reorganizację Kościoła katolickiego, przez zadośćuczynienie potrzebom jego przedstawicieli i zapewnienie im szacownego miejsca w hierarchii, jaką zamierzał

ustanowić — rząd sądził, iż położy kres wojnom domowym i wniesie spokój w łono narodu, społeczeństwa i poszczególnych rodzin, musiał narzucić teraz ten środek pierwszorzędno znaczenia narodowego wielkim organom państwowym a nie było to najłatwiejszym zadaniem.

Wielkie ciała państwowe: Instytut, Trybunał, Ciało prawodawcze i Senat ożywiały duch rewolucyjny. Instytut, zabytek szczątkowy dawnego ustroju Senat, Trybunał, Ciało prawodawcze — dzięki wpływom Sieyès'a i członków parlamentu, którzy marzyli o wykorzystaniu 18-go Brumaire'a dla własnych celów, składały się z przyjaciół ich, zwolenników Rewolucyi, miernot — które uszły walkom partyjnym tylko wskutek miernoty swojej lub też podłości, lecz — które, pozbawione władzy, tembardziej pragnęły pomścić się na osobie przedstawiciela tejże władzy i pojęciach, jakie reprezentował.

Bez względu na pochodzenie, celem ich dążeń rewolucyjnych — wraz ze zburzeniem monarchii z łaski bożej i hierarchii narodowej, która sprzeciwiała się ich widokom osobistym — było zburzenie religii katolickiej, która nakładała pęta ich namiętnościom. Znieśli monarchię i weszli w jej prawa; znieśli stan szlachecki, skonfiskowali dobra szlachty, uzurpując dla siebie przywileje; mniemali, iż zdołają zniweczyć religię katolicką, doprowadzając jej przedstawicieli do nędzy, narzucając im nową — przez siebie wymyśloną formę karność kościelnej, okradając Sanktuaria ze skarbów, jakie nagromadziła tam pobożność przodków, sprzedając

kościół, profanując te, które nie znalazły nabywców, bezczeszcząc ołtarze obrzędami, których rytuał i śpiewy były dziełem nieokiełzanej wyobraźni, ustanawiając nowe dni świąteczne, dziwaczne ceremonie, szerząc rozpasanie swoich wolnych związków.

I oto — wyzwoliwszy się z pod tego dziesięcioletniego ciężkiego jarzma — które utrwaliło się najpierw przez dziwaczne obchody, działające na wyobraźnię tłumów, następnie zaś przez gilotynę, rozstrzeliwanie, masowe topienie lub banicję — lud, łaknący ideału, sprawiedliwości i nieśmiertelności, zwrócił się znów ku religii, która po ośmnastu wiekach panowania wydała mu się dziwnie promienną i szlachetną wobec religii świeżo zrodzonej w błocie ryszotków, w cieniu gilotyny. I oto powstaje znów ta »niecna«, dumna w swoim ubóstwie, opromieniona urokiem prześladowań, cierpienia i męczeństwa, stokroć szlachetniejsza i piękniejsza na tle sutann podziurawionych przez kule, zbryzganych krwią, podartych w zbożnych wędrówkach po norach nędzarzy, którym słudzy boży nieśli słowo boże — aniżeli dawniej z barwnymi chorągwiami, w złocie i haftach, z całym blaskiem królewskiego przepychu.

I oto wysunął się na widownię człowiek, w którym lud nie na próżno pokładał nadzieję, który chce przywrócić mu jego Boga i dawną wiarę ojców; człowiek, który w Medyolanie wyrzekł do księży te pamiętne słowa: »Społeczeństwo nie może istnieć bez moralności; niema istotnej moralności bez religii; zatem tylko religia dać może

państwu trwale i mocne oparcie. Społeczeństwo bez religii jest jak okręt bez busoli: okręt w tym stanie ani nie może rozpoznać kierunku, w jakim płynie, ani też wejść do żadnego portu; społeczeństwo bez religii, wiecznie wzburzone, wiecznie szarpane najgwałtowniejszemi namiętnościami, nosi w swoim łonie wszystkie okropności walki wewnętrznej, która pogrąża je w bezden nędzy i cierpienia i prędzej lub później doprowadza do ruiny».

Wyrzekł te słowa; uroczyście oświadczył, iż wierzy w Boga; postanowił przywrócić panowanie religii; podpisał traktat z papieżem. następcą wywiezionego, przez Dyrektoryat do Walencji Piusa VI-go, którego samotna śmierć, przeszedłszy niemal niepostrzeżenie, zdawała się zapewnić zwycięstwo prześladowcom. Jest to więc początek kontrrewolucyi! Oddajcie tedy łupy — świętokradcy! wypróżniajcie kieszenie — włamywacze! ustąpcie miejsc swoich — z bogaceni jakobini! — Jakto? Nie doprowadzą więc do niczego popełnione zbrodnie; więc zburzone ołtarze, złupione kościoły, stopy ograbionych trupów nie dadzą im do rąk złota, które było jedynym celem wszystkiego, przez które chcieli zapewnić sobie dostatek, dzięki któremu potomkowie ich urosnąć mieli w znaczenie i godności, mieli stać się pierwszymi w tej nowej Francyi!

Niechaj zatrzymają złoto! niech wyprawiają w dalszym ciągu orgie w salach klasztorów rzekomo przez naród sprzedanych! Niechaj roztaczają swój przepych dorobkiewiczowski w ograbionych opactwach! Niechaj kończą dzieło grabieży dóbr

kościelnych! — Naród nie żąda od nich zwrotu niczego. Oni jednak przyoblekają się w godność rzekomych prawodawców. Pragnąc wzbogacić się — odbierają Francyi religię, narzucają większości własną negacyę religijną. Teraz zaś grozi im utrata praw do ucisku. Barykada piętrzy się więc za barykadą; manifestacya odbywa się za manifestacyą. Mimo to pierwszy Konsul cofnie się wówczas tylko, gdy wszystkie organa państwowe powstaną przeciwko jego kontrrewolucyjnym zamiarom. Ciało prawodawcze obiera na przewodniczącego Dupuis'a, autora dzieła »l'Origine de tous les cultes«. Senat, mając do wyboru Daunou'a, osobistego wroga Napoleona, którego kandydaturę popiera Trybunał — a Grégoire'a, konstytucjonalnego biskupa z Blois, głośnego przeciwnika Konkordatu, wybiera Grégoire'a odrzuciwszy trzech generałów, proponowanych przez Konsula. W Instytucie — imię Boga, wymówione przez Bernardin de Saint-Pierre'a ogólne wznieca wzburzenie; w armii powstają stronnictwa, generałowie spiskują, rozprzega się karność: antimilitaryści łączą się z buntownikami. Bonaparte zajmuje stanowisko obronne, lecz nie poddaje się.

Wzywa do pomocy Lucjana, prawdziwego twórcę zamachu z dnia 18-go Brumaire'a, bardziej nawykłego do burzliwych obrad. Skoro Trybunał i Ciało prawodawcze opierają się woli narodu, trzeba użyć skutecznych środków do zwalczania tej opozycyi. Na żądanie Konsula — Senat oniesmielony z góry, uchwała usunięcie jednej piątej części członków Ciała prawodawczego i Trybunału oraz wykluczanie imienne; pozostałe cztery piąte

członków mianuje Senat, ci zaś, którzy nie będą obrani po raz wtóry, zostaną wykluczeni. Senat zabiera się do dzieła. Lucyan, obrany trybunem, odrazu narzuca swoim kolegom racjonalną metodę pracy i obradowania. Jako mówca — wraz z Siméon'em i Jancourt'em — popierać ma sprawę traktatu ze Stolicą Apostolską wobec nowego składu Ciała prawodawczego. Pod nazwą Artykułów Organicznych — pierwszy Konsul dołączył do traktatu ustawy policyjno-wyznaniowe, dające względne zadowolenie tym wszystkim, którzy obawiali się doktryn ultramontańskich. Mimo to Konkordat napotyka w Ciele prawodawczem aż siedmdziesięciu dwóch przeciwników. Widzimy więc, co by się było stało, gdyby rząd nie był przeprowadził owych częściowych wyborów.

Wykluczeni i oponenci czekali na odwet lat sto trzy: dziś są to te same namiętności, te same pożądanja, ci sami ludzie. Zniweczyli oni zbawienne dzieło Bonaparte'go; wznieśli wojnę domową w łonie narodu, niezgodę wśród rodzin, rzucili w dusze posiew zwątpienia i rozterki.

Lecz najnędnijsi jeszcze i bardziej podli, aniżeli ich poprzednicy — ludowi temu, ażeby nie opierał się im i ażeby zapomniał, podają czarę przepelnioną napojem, który trucizną jest, zezwierzęceniem, tuberkulozą, bękarctwem lub też całkowitem wygaśnięciem rasy.

Upij się ludu! Wszak to Republika cię zaprasza a budżet krajowy płaci!

W narodach, które nie zszargały swojej czci i godności, które uznają błędy własne i potrafią —

przez szlachetny wysiłek — wznieść się na wyżyny; w narodach, w których przetrwała wiara we własne posłannictwo, które — wśród walki powszedniej — krzepi promienna wizja nieśmiertelności, prędzej lub później rodzi się bohater mający przywrócić obywatelom spokój; przez zwycięstwa — zwycięża się nietylko na wojnie — mający stać się obrońcą i krzewicielem pojęć, które, wyszedłszy z duszy ludu, są istotnym przyczynkiem do wszechświatowej cywilizacji. Bohaterem takim jest Bonaparte.

Narody zaś pozbawione ideału, przesiąknięte materializmem, ogłupione rozpustą, spine alkoholem; narody, które lżą ojczyznę i bluźnią Bogu; narody rządzone kaprysami demagogów, których przeraża myśl opuszczenia zajmowanych stanowisk, zwrócenia tek ministeryalnych, wypróżnienia kieszeni; narody te — bezbronne i bezsilne — skazane są na niewolę i ciężkie jarzmo ciemiezcy-cudzoziemca, który odbierze im swobodę i niezależność.

IDEOLOGOWIE.

» Potężnym dziś jestem — rzecze pierwszy Konsul — a jednak, gdybym chciał zmienić starą religię Francyi, powstałaby przeciwko mnie jak jeden mąż i zwyciężyła. Czy wiecie, kiedy kraj wrogo był względem religii katolickiej usposobiony? Oto wówczas, gdy rząd współ z Kościołem palił książki i skazywał na tortury Calas'a i La Barre'a; lecz bądźcie pewni, że gdybym chciał teraz ją zwalczać, kraj cały stanąłby w jej obronie. Zamieniłbym indyferentów w ludzi wierzących, w gorliwych katolików... Religia katolicka jest naszą narodową religią, tą — w której ujrzelśmy światło dzienne; spoista organizacja Kościoła katolickiego broni go od wszelkich zamachów, oczywiście o ile jest to możliwe wobec zaborczych instynktów ludzkości. A przyklasnąć należy temu, że główne siedlisko władzy kościelnej znajduje się poza Paryżem«.

Wygłaszając takie zdanie wobec Rady Państwa — całkowicie niemal złożonej z ludzi, którzy — wzięwszy udział w Rewolucyi, wniesli do praw zarówno religijnych jak cywilnych swoje złudzenia, namiętności oraz rzekomą ścisłość po-

jęć abstrakcyjnych, wbrew nowatorom Napoleon stawał się obrońcą tradycji narodowych a skłaniały go do tego nie tylko względy polityczne, lecz i wrodzony mu temperament.

Można być katolikiem lub protestantem bez względu na wyznanie. Można być z temperamentu katolikiem nie uznając żadnego z dogmatów Kościoła katolickiego, nie stosując się do żadnego z przykazań kościelnych; tak samo jak można być z temperamentu protestantem mimo najzarliwszej wiary i skrupulatnego wykonywania katolickich praktyk religijnych. Lecz niechaj nadejdzie dzień, w którym sfery rządzące zechcą »zmienić starą religię Francyi«, albo przez prześladowania i przymus zechcą przekształcić ją, narzucając nowe formy i nową organizację kościelną, lub też — jeśli pod pozorem konserwacji dzieł sztuki, na których sprzedaż wyczekują oddani im kupcy starożytności i likwidatorzy a na konfiskatę — kustosze muzeów — podniosą świętokradzką dłoń »na pamiątki, stanowiące — według Bonaparte'go — główny urok religii«, wówczas człowiek o temperamencie protestanckim dyskutuje i rozprawia, zwołuje posiedzenia, uchwała dekrety, nawołuje do uległości i zgody; natomiast człowiek, obdarzony temperamentem katolickim, najpierw buntuje się, następnie zaś, jako wierna owieczka, zawierzywszy bezwzględnie swoim duszpasterzom, duchowym przewodnikom — czeka na ostateczną decyzję głowy Kościoła.

Z jednej strony poczucie hierarchii, owej najistotniejszej zasady społeczeństw łacińskich, społeczeństw o formacyi katolickiej, zasady — dzięki

której ukonstytuowały się one, wzrosły, rozkwitły w aureoli sławy i piękna; z drugiej strony — poczucie anarchii, lub, jeśli kto woli, zmysł parlamentaryzmu, który lubuje się we wszelkich dysputach, zarówno religijnych jak cywilnych, politycznych jak wojskowych, który nie dopuszcza istnienia kompetencji wyższej, który uznaje czasowych li tylko przywódców i to jeszcze pod warunkiem, że spełniać będą oni we wszystkim rady lub rozkazy partii dominującej i że mogą być usuwani przez głosowanie jak zwykli ministrowie: nie jest że to logicznym wynikiem duchowej niekarności?

Poszukując motywów, jakie kierowały Napoleonem w negocjacyach Konkordatu a tem samem przyczyn, jakie — przy wyborze religii narodowej — skłoniły go do pominięcia protestantyzmu na rzecz katolicyzmu, czyż, poza czynnikami, które nam sam wskazał, nie znajdziemy decydującego wpływu jego temperamentu hierarchicznego, temperamentu łacińskiego i katolickiego? — Głównym celem, jaki zamierzał osiągnąć, było przywrócenie spokoju w państwie. Wprowadzając protestantyzm byłby — jak sam to powiada — »wytworzył dwa wielkie, mniej więcej równe liczebnie stronnictwa, podczas kiedy życzeniem jego był zanik wszelkich stronnictw; byłby wznowił zaciekłość wojen religijnych, on, który w myśl współczesnych prądów dążył do zupełnego ich usunięcia«; równocześnie jednak pragnął odbudować społeczeństwo, przekonany zaś był, że wszelkie społeczeństwo opiera się na hierarchii. W Kościele rzymsko-katolickim znajdował odwieczną hierarchię religijną, ustanowioną

i ugruntowaną na podobieństwo tych niezniszczalnych murów, które, we wszystkich siedzibach dawnych Rzymian, świadectwem są ich cierpliwości, poczucia ładu, »ich sił fizycznych i hartownych nerwów«. Przez wprowadzenie protestantyzmu — jak pragnął tego Constant i pani de Staël, która żywiła z tej racji urazę do Konsula — byłby przysporzył narodowi nowego czynnika anarchii, o ile, mianując się arbitrem w sprawie dogmatów religijnych, ustanawiając nowe obrzędy i nowe formy dyscypliny kościelnej — nie byłby zechciał zejść do rzędu zwykłego naśladowcy Henryka VIII-go, króla angielskiego. Zresztą, mimo płonących stosów, krwawego szafotu i tortur — czy długo ostał się Kościół rządowy, którego prawowierność specjalnym musiała być potwierdzana dekretem?

Napoleon, uważany pospolicie za prześladowcę Kościoła, posunął tak daleko poszanowanie dla hierarchii kościelnej, że — kiedy zatarg jego z Papieżem w sprawach czysto świeckich rozmyślnie skierowany został przez Piusa VII-go w dziedzinę sporów dogmatycznych — ani nie rozstrzygnął tego sam, ani też nie poprzestał na zdaniu Rady państwowej w kwestyi przełamania oporu Papieża, który, jeśli tamował poniekąd normalny rozwój niektórych dyecezyi, to nie podkopywał przynajmniej ani religii, ani odwiecznej jej organizacyi, nie przeszkadzał w spełnianiu obrzędów, nie umniejszał niezależności księży, nie przyznawał laikom prawa — niemal obowiązku — mieszania się w sprawy religijne; zwrócił się wówczas do najodpowiedniejszych sędziów, najbardziej kom-

petentnych arbitrów: do biskupów; utworzył Radę kościelną i zawsze odtąd stosował się do wskazówek tejże Rady.

Francję zabija anarchia. W społeczeństwie nikt już nie umie rozkazywać, nikt nie potrafi słuchać i ulegać. Partya rewolucyjna rozumiała to tak dalece, że tworząc organizację syndykalną, skierowaną przeciwko społeczeństwu w obecnej fazie jego rozwoju, wytworzyła armię, której bezimienni przywódcy ślepego wymagają posłuszeństwa. Aby zwalczyć i zniweczyć to społeczeństwo o prastarej hierarchii, które dobrowolnie ustępuje ze stanowiska i sprzeniewierza się samemu sobie, które stosuje formuły parlamentaryzmu nawet do spraw religijnych, które niechętnie spełnia rozkazy, buntuje się przeciwko przywódcom i rozprasza się bez żadnego kierownictwa — partya rewolucyjna tajemniczą stworzyła hierarchię, która wydaje wyroki i wykonywa je, która wie dokąd dąży i czego chce. Ta hierarchia syndykalna zgniecie — gdy tylko tego zechce — organizację wolno-mularską, która przygotowała jej wprowadzić teren działania lecz która — wywodząc się z burżuazji — zachowała przez to samo cechy społeczeństwa mieszczańskiego i na wielu punktach znajduje się już w sprzeczności z żywiołami, których potęgi nie doceniała, uważając je za powolne narzędzie swojej woli.

W oczach dawnego społeczeństwa powstaje ta nowa organizacja, arbitralna i tyraniczna — zaznaczająca z dniem każdym swoją tyranję przez szereg wrogich zamachów na osobistą swobodę

jednostek. I w takiej właśnie chwili, kiedy — chcąc odeprzeć gwałt zadany sumieniu — wyrasta nie spodzianie z prastarej gleby zastęp wiernych, katolicy mieliby potępić tych, którzy bronią swoich świątyń i ołtarzy przed świętokradzką dłonią napastników; w chwili, kiedy Francya cała stwierdza odruchowo — przez opór, nawet przez męczeństwo — swoją jedność katolicką, zarówno jedność temperamentu jak formacyi i doktryn, nie oglądając się na jedyne zdanie, mające istotną wartość, jedyne, z którem liczyć się należy, katolicy mieliby narzucać nieomylnemu przywódcy hierarchii — zdanie swoje, wskazówkę, więcej niż radę!

Katolikami są oni niewątpliwie; bardziej jeszcze parlamentarzystami; według Napoleona zaś — ideologami.

ARMIA Z POD AUSTERLITZ

Nieszczęsna historyo, jakże jesteś zapoznana!
Ty, która według prastarego podania — mi-
strzynią masz być narodów, taki sam — nie mniej-
szy i nie większy — znalazłabyś posłuch, gdybyś
zamieniła złote liście wawrzynu, w jakie przys-
trajają cię wspaniałe alegorye — na biały kornet
sióstr miłosierdzia, którego płóciennne skrzydła na-
dają postaciom kobiecym coś z ptaka lub z anioła.
W samotnem twojem ustroniu opowiadasz —
ośmieszona Kassandro — jak upadały trony i do-
konywały dzieła swojego rewolucye, dlaczego zni-
kły narody, których jądra etnicznego nie mogło
zniweczyć jarzmo dwóch stuleci, dlaczego upadły
państwa, których potęgą zdawała się niezwalczoną,
dlaczego nieprzebrane zastępy — mimo wysiłków —
pokonać nie mogły oporu armii liczebnie mniejszej,
lecz silniejszej odwagą, wolą i karnością. Choć ni-
kogo nie możesz przekonać, choć niczyjej nie mo-
żesz przykuć uwagi, jednak mówisz, opowiadasz,
dlatego chociażby, żeby uczcić wspomnieniem —
wbrew niewdzięcznym pokoleniom — bohaterów
poległych za ojczyznę.

Armia ta — Wielka Armia — ta sama, która

sto lat temu wyruszyła z nad brzegów Oceanu, aby pobić pod Ulm trzecią koalicję, ostatecznie pokonaną pod Austerlitz; armia ta, która z armat nieprzyjacielskich, po drodze zdobytych, wzniosła brązową kolumnę, będącą chlubnem świadectwem jej sławy — słusznie uważaną być może za wzór, za najpiękniejszą armię, jaką oglądali kiedykolwiek sprzymierzeńcy i wrogowie, za najbitniejszą i najbardziej wytrwałą, za najruchliwszą — gdyż daleką jest droga od wybrzeży morskich w Boulogne do lodowatych jezior Morawii, za najsurowszą dla drugich i dla siebie samej, gdyż obozując zawsze pod gołym niebem — wśród jesiennych szarug i śnieżnych zamieci — wytrzymała tę trzymiesięczną kampanię roku XIV-go, od 22-go września do pierwszych dni stycznia. Zobaczmy tedy, z jakich składała się żywiołów, w jaki sposób rekrutowano owych 115.000 ludzi, którzy stanowili jądro wszystkich wojsk cesarskich.

Podzielić ją można na dwie zupełnie równe części: jedna — składała się z młodych żołnierzy, bądź to ochotników, bądź też powołanych do służby po roku 1801 na mocy prawa poboru; druga — ze starych wiarusów, nawykłych do trudów wojennych.

Pomijając ochotników — jakkolwiek w kawalerii a zwłaszcza w huzarach zapelniali oni niemal wyłącznie kadry pułkowe — przechodzimy do rekrutów.

Nazwa to nowa, dotychczas nieznaną. W bezpośrednim zastosowaniu, prawo z 19-go fructidor'a r. VI-go było wprowadzić tylko wznowieniem środ-

ków, jakimi posługiwał się rząd monarchiczny dla ustalenia przez pobór milicyi kadrów stałej armii czynnej; stosując jednak do zasad, głoszonych przez Rewolucję konieczność, która narzuca się państwom współczesnym, polepszyło równocześnie poprzednią sytuację i przyniosło narodowi ulgę, dostarczając regularnie liczbę ludzi, odpowiadającą wojskowym potrzebom państwa.

Rewolucya zaprowadziła w zasadzie służbę przymusową w razie, gdyby niebezpieczeństwo groziło ojczyźnie, lecz nie ustanowiła formy poboru dla zasilania armii czynnej. Odwoławszy się bezskutecznie do ochotników, Rewolucya użyła środków przymusowych, które miały dostarczyć żołnierzy pod nazwą ochotników, w końcu zaś, w celach obrony narodowej, nałożyła podatek krwi na ogół obywateli, co dozwoliło jej przedewszystkiem zatrzymać pod bronią wszystkich ochotników, którzy — uważając się za wolnych od służby wojskowej — zaciągali się dobrowolnie na jedną tylko kampanię; dozwoliło dalej wysłać liczne choć słabo wyćwiczone pułki do departamentów zbuntowanych; dozwoliło wreszcie wypełnić kadry poszczególnych czternastu armii.

Rekwizycya nie była wszakże ściśle stosowaną. Ktokolwiek tylko mógł znaleźć poparcie w sferach wpływowych, chronił się jaknajśpieszniej do jednej z licznych administracji wojskowych lub cywilnych, które namnożywszy się wówczas w sposób zadziwiający — zwiększyły odpowiednio liczbę swoich urzędników; wiele departamentów ani jednego nie dostarczyło żołnierza; wiele innych pod-

niosło rokosz przeciwko nowemu prawu. Z chwilą upadku teroru, pół brygady — kwatrujące we Francji lub w pobliżu — opustoszały na skutek dezercyi. W półbrygadach, czynnych, zdala od terytorium, rekruci pozostawali w szeregach z konieczności, lecz gdy wojsko zbliżyło się tylko do granic Francji — uciekali gromadnie.

Rekwizycja wojskowa stawiała się zresztą nie-
możliwą do zastosowania z chwilą usunięcia przy-
czyny, której logicznym była wynikiem. Skoro nie-
przyjaciel nie zagrażał już bezpieczeństwu ojczyzny,
więc i rekwizycja, w tym celu ustanowiona, była
zbyteczną. Lecz w takim razie — gdzie i jak re-
krutować armię?

Zapewne — zarówno wówczas, jak dziś —
możnaby powiedzieć, że Rewolucya obroniła się
własnymi siłami dzięki apelowi do ochotników,
dzięki pospolitemu ruszeniu i rekwizycyi; możnaby
tak powiedzieć. Lecz sfery rządzące, które wiedziały
dobrze, iż tylko dawne wojska królewskie uchro-
niły Rewolucję od obcej interwencji, które usta-
lone miały zdanie o wartości militarnej żywiołów
luźnych, niekarnych i niewycwiczonych, nie były
na tyle naiwnymi, aby istotnie własną upajać się
wymową. Gdyż ludzie, wchodzący w skład rządu —
szczerymi przynajmniej byli patriotami.

Trzeba więc było obejść prawo — zachowu-
jąc pozory nietykalności. Wszelkie zresztą prawa
nadają się po temu i nie protestują jeśli tylko
formy zewnętrzne nie zostały naruszone.

Każdy Francuz winien jest odbyć służbę woj-
skową; każdemu zatem Francuzowi przysługuje

prawo uczestnictwa w gwardyi narodowej; w ra-
zie niebezpieczeństwa gwardya narodowa powołana
jest całkowicie lub też częściowo do obrony tery-
torium. W ten sposób, czasowa rekwizycja w stałą
zamienia się pobór.

W myśl tego artykułu, wydane zostaną za
rządów Cesarstwa liczne uchwały Senatu i ciał
prawodawczych, powołujące do broni zastępy gwar-
dyi narodowej. — Mianowicie: w roku XIV-ym,
w roku 1807, 1809, 1811 itd.

Co się zaś tyczy armii narodowej, którą kon-
stytucya z r. 1791 nazywała czynną gwardyą naro-
dową, to rekrutuje się ona w zasadzie drogą do-
browolnych zaciągów, lecz uzupełniana jest przez
pobór. — Pobór, którego poszczególne formy ule-
gały z czasem różnym zmianom, obejmuje mło-
dych ludzi między dwudziestym a dwudziestym
czwartym rokiem życia i dzieli ich według wieku
na pięć klas. Klasy te bynajmniej nie są obowią-
zane dostarczać corocznie pewnej określonej liczby
ludzi; specyalne jednak prawo może — w razie
niebezpieczeństwa narodowego — powołać do słu-
żby liczbę ludzi, odpowiadającą potrzebom danej
chwili. W pierwszym zaraz wypadku zastosowania
tego prawa — wylania się pytanie, czy całkowity
pobór obejmuje pierwszą tylko klasę młodzieży
dwudziestoletniej, czy też równomiernie ma być
rozłożony na wszystkie pięć klas.

W każdym bądź razie, bez względu na to,
czy dostarczyły odpowiedniej liczby rekrutów, czy
też nie, wszystkie klasy objęte są prawem poboru;
mogą być powołane w całości — a obejmują ogół

obywateli danego wieku, zdolnych do służby wojskowej, o ile nie zostały uwolnione szczególną ustawą prawodawczą. Rekruci-obroncy, wzięci do wojska w czasie wojny, pozostają pod bronią. W r. 1803, z powodu powszechnego pokoju, uwalniano zupełnie od służby żołnierzy, którzy brali udział w ostatniej wojnie, lub też tych, którzy odbyli pięć a przynajmniej cztery kampanie; ponieważ jednak stan wojenny został niebawem wznowiony i trwał bez przerwy od r. 1804 do r. 1814, nie widzimy więc w tym okresie żadnej innej ustawy o uwolnieniu, dotyczącej ogółu żołnierzy; rekruci zaś — którzy stawili się do poboru a nie zostali powołani do służby czynnej — uwolnieni są w r. 1808 odnośnie do klas między rokiem VIII-ym a XIV-tym a w r. 1809 — odnośnie do klas między r. 1806 a 1810.

Ustawy wojskowe, uchwalone za rządów Konsulatu — 17-go nioise r. VIII-go, 28-go floréal'a r. X-go i 8-go nioise'a r. XII-go — dodały tylko do ustawy z r. VI-go nowe środki wykonawcze, możliwość zastępstwa oraz wybór przez ciągnięcie losów; słusznie można więc twierdzić, że prawo poboru jest prawem nawskróś republikańskiem a mimo oburzenia i skarg, jakie wywołało, mimo licznych krytyk, jakich stało się przedmiotem — dodać należy, że było bez porównania mniej kosztownem dla narodu i skarbu państwowego, aniżeli dawny system ogólnej rekwizycji, lub też aniżeli przymusowa służba powszechna w obecnym ustroju militarnym.

Kontyngent rekrutów, powołanych w każdej

poszczególnej klasie poborowej Francji z czasów Konsulatu, która obejmowała nadto Belgię, prowincje nadreńskie i Piemont, nie przekraczała początkowo cyfry 30.000 ludzi. Jeśli kontyngent ten musowo został zwiększony w czasie wojen, jakie Europa prowadziła z Cesarstwem, to z całą pewnością twierdzić możemy, że jakkolwiek nadmiernymi wydają nam się ówczesne pobory wojskowe, to jednak — w stosunku do ludności i rozmiarów olbrzymiego terytorium — nie dorównywały ciężarom, jakie nałożyłaby na Francję doby dzisiejszej mobilizacja jednej ósmej części rezerwy i obrony krajowej łącznie z utrzymaniem armii czynnej.

Gdyby wszyscy powołani byli stanęli pod bronią, to po uływie lat pięciu owych 30.000 corocznych rekrutów byłoby utworzyło 150,000 armię; jeśli jednak większość powołanych uchylała się przed rekwizycją, wielu również stawiało opór poborowi. Początkowo oznaczony kontyngent dostarczał armii zaledwie trzecią część powołanych, co tłómaczy i usprawiedliwia prawa wydane przeciwko opornym. Bez względu na liczbę, ci młodzi żołnierze obowiązani byli do trzyletniej przeszło służby; rekrutów — wysyłano najpierw do dépôt, gdzie odbywali ćwiczenia i dopiero po całorocznej służbie przygotowawczej wcielano ich w kadry pułków czynnych. Mimo to, nie zdradzili jeszcze wówczas niepospolitych zalet swoich i częściowo tylko wchodzili w skład Armii wybrzeży północnych — późniejszej Wielkiej Armii.

Pozostała część biła się bądź to pod Marengo lub Hohenlinden, bądź też w ciągu dziesięcioletniej

służby — we wszystkich wojnach Rewolucyi. W niektórych pułkach kawaleryi, w niektórych batalionach saperów — młodzi żołnierze stanowili czwartą zaledwie część. W każdym pułku znaleźć było można około trzydziestu podoficerów i żołnierzy z dawnych jeszcze wojsk królewskich. Przeciętnie liczyli oni po trzydzieści lat służby wojskowej; niektórzy — z górą lat czterdzieści. Wszyscy oficerowie i podoficerowie żyli się więc z wojną i jej trudami.

Tą armią weteranów młodzi dowodzili generalowie. Stu czterdziestu jeden oficerów sztabu liczyło przeciętnie po czterdzieści jeden lat: nie należy jednak dawać wiary legendzie, która wywodzi ich wszystkich z czasów Rewolucyi. Sześćdziesięciu trzech było oficerami wojsk królewskich; czterdziestu — żołnierzami.

Takimi byli ludzie, którzy zwyciężyli pod Austerlitz; takimi ich dowódcy. A wskazywał im drogę trzydziestosześcioletni wódz. Lecz wódz ten zwał się Napoleonem.

DZIELNICA AUSTERLITZ'U.

W te dnię grudniowe każdy inny naród byłby uczcił przez uroczyste obchody narodowe pamięć tych, którzy — dając sto lat temu życie swoje za ojczyznę — chronili ją przed najpotężniejszą koalicją jaka powstała kiedykolwiek przeciwko niej. Każdy inny naród, niezarażony prądami pokojowymi, niepodlegający uciskowi parlamentar-nemu, byłby uczcił tę stuletnią rocznicę zwycięstwa przez świetne pochody wojskowe; w każdym pułku, w każdej szkole, wszędzie gdzie wpajana winna być miłość ojczyzny i poszanowanie sztandaru narodowego — byłby nawoływał do naśladowania szlachetnego przykładu bohaterów kampanii roku XIV-go; byłby zasypał kwiatami piedestał kolumny Wielkiej Armii; byłby udekorował symbolicznymi emblematami ulice, które w pobliżu mostu Austerlitz'kiego stanowią odrębną niejako dzielnicę miasta, poświęconą wspomnieniom chwały i zwycięstwa: plac Valhubert, quai Morland, plac Mazas, ulicę Lacuée, bulwar Baudon, ulicę Castea, którym chlubne te nazwy nadała uchwała z d. 14 lutego 1806 r., które powinny być nieledwie świątyniami dla żołnierzy 14-go i 59-go pułku piechoty

liniowej, dla dragonów 11-go pułku, dla następców 13-go pułku szwoleżerów.

Zdaje się, że żaden z nich nie pamiętał o złożeniu wieńca w dowód czci i hołdu. Paryż — niewdzięczny — prędko zapomina o wiernych sługach narodu; lampiony iluminacyjne i emblematy chowa na przyjęcie obcych monarchów — potomków tych władców, którzy sprzymierzali się niegdyś przeciwko Francji; kwiatami — uczci ponowny wybór senatorów, których dziełem jest dzisiejszy rozdział między Kościołem a państwem. Może jednak tak jest lepiej. Jesliby słowo ojczyzna urągliwą wzniecać miało wrzawę, jeśli wygwizdanym miałby być sztandar nasz narodowy a oficerowie obrzuceni śmieciem, jeśli takie widowisko miałoby być dane narodom, które pokonała niegdyś zwycięska Rewolucja, stokroć lepszą jest głucha cisza i zapomnienie.

W ciszy tej rozlegają się przynajmniej słowa opowieści o minionych dniach chwały, o chlubnych czynach ludzi, których nazwiska Napoleon uwiecznić chciał i wsławić, o tem — dlaczego pamiętać o nich powinny dzieci tych, którym marzy się jeszcze Francja potężna, chwałą promienna! Marzą o niej, choć wiedzą — niestety! — że w najlepszym razie jest tylko Francją niezależną!

Valhubert — ranny jako generał brygady na czele swoich pułków, z biodrem strzaskanem przez odłam pocisku — upominał otaczających go saperów: »Pamiętajcie o rozkazie dziennym; wracajcie do szeregów. Jeśli zwyciężycie — zabierzcie mnie stąd; jeśli będziecie pokonani — to cóż mi po tych

resztkach życia«. — Na godzinę przed śmiercią — mimo cierpień i straszliwej rany — pisał do Cesarza: »Chciałbym — Sire — czegoś więcej dla Ciebie dokonać. Umrę za godzinę. Nie żałuję życia skoro przyczyniłem się do zwycięstwa, które zapewnia spokój Twemu panowaniu. Wspominając oddanych Ci duszą całą żołnierzy, wspomnij i o mnie także. Wystarczy mi powiedzieć Ci — Najjaśniejszy Panie, że pozostawiam po sobie rodzinę; nie potrzebuję polecać jej Twojej opiece«. Takim był żołnierz, któremu towarzysze broni wzniesli pomnik na równinach Morawii, którego Cesarz uczcił statua z marmuru i portretem w pałacu cesarskim, którego nazwisko nadał jednemu z placów pobliskich mostu Austerlitz'kiego.

Dziecię ludu, w dwudziestym roku życia Valhubert wstąpił w szeregi piechoty Rohan-Soubise'a lecz porzucił wkrótce służbę. Obrany dowódcą 1-go batalionu ochotniczego departamentów la Manche 22-go października 1791 roku, odbył w Armii północnej kampanie r. 1792 i 1793, lecz wzięty do niewoli pod Quesnay i wywieziony w głąb Węgier, ukazuje się powtórnie na widowni dopiero w r. IV-tym; przydzielony do Armii Wewnętrznej — poznaje tam generała Bonaparte'go. Trzy lata później w r. VII-ym — wysyłają go do Valais. Wówczas to — 28-go prairial'a — jako wódz 28-ej półbrygady, w dolinie Vispy, zwycięża na czele trzydziestu sześciu ludzi ośmiuset Austriaków, którym zabiera dwustu trzydziestu pięciu jeńców; 28-go thermidor'a zdobywa w przeciągu godziny górę Simplon — istny szaniec piekielny — najeżony ar-

matami austriackimi; podczas kampanii r. VIII-go przy przejściu rzeki Pad, wraz z generałem Mainoni pierwszy przedostaje się łodzią na przeciwległy brzeg — a waleczny czyn jego, porwawszy armię, zapewnia jej zwycięstwo; dwa dni później — rzuca się sam jeden na przeszło stu Austriaków i zwycięża; pod Montebello — wytrzymuje szarżę całej kawalerii austriackiej; raniony pod Marengo odłamem granatu — przy przejściu rzeki Mincio — rozkazuje żołnierzom wsadzić się na konia a nie mogąc mówić wskutek rany — komenderuje gestami i własnym przykładem. Pierwszy Konsul nagradza go szablą honorową; ministerjum zaś wojny, wysyłając odnośny dyplom na ręce zarządu 28-ej półbrygady — rozkazuje: »odczytać go wobec zgromadzonej półbrygady, zanim wręczone zostanie wyższemu temu oficerowi to chlubne świadectwo zadowolenia rządu«.

Mianowany generałem brygady w r. XI-tym, członkiem i komendantem Legii honorowej w r. XII-tym, ginie w czterdziestym pierwszym roku życia — w chwili, gdy uśmiecha mu się najświetniejsza przyszłość a jednak — umierając — nie żałuje życia.

Dziecię ludu jak Valhubert, Morland wstępuje do 11-go pułku szaserów 11-go marca 1791 roku, zostaje mianowany podporucznikiem tegoż jeszcze roku, porucznikiem w r. 1792, kapitanem — w r. 1793; później jednak — mimo uczestnictwa we wszystkich kampaniach i mimo odniesionych ran — czeka na szarżę szefa szwadronu aż do r. IX-go; przeniesiony w r. XI-tym do Gwardyi, zostaje ma-

jorem w r. XII-tym; kilka miesięcy później — podpułkownikiem. On to dowodzi sławnym atakiem kawalerii Gwardyi i zdobywa wszystkie armaty rosyjskiej gwardyi cesarskiej. I umiera jako zwycięzca ¹⁾.

Mazas rodem jest z Marsylii; w r. 1781 zaczyna się do szeregów wojsk królewskich w Bourbonnais, skąd przenosi się po upływie roku do sławnego pułku Szampanii, którego bohaterskie czyny widnieją na wszystkich kartach ówczesnej historyi. Po odbyciu kampanii amerykańskich — uzyskuje urlop; w r. 1793 powraca do szeregów jako adjutant-major 34-tej półbrygady, dawniej 11-go batalionu Żyrondy. Zostaje kapitanem, szefem batalionu a dwa lata później — 1-go gernala r. III-go — szefem brygady. W ciągu dziesięciu lat dowodzi 34-tą półbrygadą w dwudziestu sześciu potyczkach, trzech walnych bitwach i podczas jednego oblężenia: znajdujemy go w Armii Wybrzeży Oceanu, w Armii Alpejskiej, w Armii Włoskiej; »wszędzie świeci przykładem świadomej siebie i rozumnej odwagi« — odwagi, która równie dobrze do dłuższego nadaje się oporu — np. pod Novi, jak i do zuchwałego ataku — pod Giacomo i w wąwozie de Tende. Jedyny z oficerów swego pułku — pada na czele 14-go pułku piechoty liniowej, któ-

¹⁾ Mówiąc o pochodzeniu Morland'a, dzieliłem zdanie ogółu; tymczasem, doręczone mi autentyczne dokumenta stwierdzają, iż Franciszek Ludwik de Morland, urodzony w Souilly (Meuse) 11-go czerwca 1771 roku, był synem Jana Piotra de Morland, koniuszego, byłego porucznika piechoty pensjonowanego przez króla — i Elżbiety de Bonnaise.

rego dowództwo objął w r. XII-tym, wyrządziwszy nieprzyjacielowi szkodę stokroć większą od tej, jaką ponieśli własni jego ludzie — dwudziestu zabitych i dziewięćdziesięciu siedmiu rannych.

Gerard Lacuée, żołnierz z krwi i kości, siostrzeniec generała Lacuée, późniejszego hr. de Cessac, jednego z najznamienitszych współpracowników Napoleona, brat pułkownika Lacuée — poległego pod Eylau, kuzyn porucznika marynarki Saint-Just Lacuée, generalnego intendenta Armii Aragońskiej — był pochodzenia szlacheckiego. Wskutek tego pozbawiony też został stopnia podporucznika przez reprezentanta narodu Pinette'a. A jednak Lacuée rannym był podczas służby w Armii Pirenejskiej; a jednak odrzucił szarżę kapitana, ofiarowaną mu w Legionie Pirenejskim. Tem większe budził podejrzenie. Bezinteresowność bywa niekiedy przewinieniem. Mimo to Lacuée nie porzucił wojska: sądził, iż degradując go jako oficera, pozwolą mu bić się za ojczyznę. Zaciąga się więc jako prosty żołnierz do 12-go pułku huzarów.

Ponownie mianowany podporucznikiem w r. IV-tym, w 120-tej półbrygadzie, wybija się znacznie później — około r. VII-go — w Egipcie, gdzie rozlicznych doznaje przygód i zwraca na siebie uwagę Bonaparte'go, który następnie wznosi go pod Marengo do rangi przybocznego adjutanta a niebawem — szefa brygady. Podczas całego Konsulatu — Lacuée zajmuje pierwszorzędne miejsce w sferach wojskowych; lecz spisek generała Moreau psuje szyki. Stanąwszy po stronie Moreau'a, z którym bliższe łączyły go stosunki, poróżnił się z to-

warzyszami broni i porzucił sztab główny, aby objąć dowództwo 59-go pułku piechoty liniowej. Bonaparte żadnej nie żywił do niego urazy, skoro — rozkazem dziennym z 10-go brumaire'a r. XII-go — wyznaczył mu 25.000 franków gratyfikacyi a 25-go prairial'a mianował go oficerem Legii honorowej. Lecz Lacuée niepokieszonym był z powodu tej mniemanej niełaski. Kiedy pod Guntzburg, 19-go vendémiaire'a r. XIV-go, Cesarz nie odezwał się do niego podczas przeglądu 59-go pułku, Lacuée rzekł do kogoś ze swego otoczenia: »Mój drogi, zwróć dziś na siebie uwagę Cesarza — bo zginę«. I dotrzymał słowa. Lecz zdobył przedtem z pięciu kompaniami swego pułku most w Guntzburgu, którego broniło dwadzieścia armat; zdobył wyżyny, okalające Reisenberg, wyparłszy nieprzyjaciela ze wszystkich pozycyi aż do Nordheim. Ciężko ranny — mimo to wciąż idzie na czele; w końcu pada, ugodzony kulą w serce. »Pułk spełnił swój obowiązek — umieram zadowolony«.

Pięknym byłby życiorys tych Lacuée!

Mniej głośnie jest życie Bourdon'a, rodem z departamentu la Sarthe, który rozpoczyna swoją karierę wojskową w szeregach ochotniczej kompanii rodzinnego departamentu, 14-go września 1792 roku. Jakkolwiek odbył z 19-tym pułkiem dragonów uciążliwe kampanie Renu i Mozeli, oraz kampanie zachodnie, właściwie wybija się na widownię dopiero po przejściu w randze podporucznika do konnej Gwardyi Dyrektoryatu — późniejszej gwardyi konsularnej — gdzie mianowany został kolejno porucznikiem, kapitanem, szefem szwa-

dronn, oficerem Legii honorowej, wreszcie — 3-go fructidor'a r. XIII-go — pułkownikiem 11-go pułku dragonów. Umarł z ran odniesionych w bitwie pod Hollabrünn.

Piotr Castex wstępuje do wojska — piechoty departamentu Berry — w 1776 r. Mianowany podporucznikiem szesnaście lat później, tuła się po świecie — we Włoszech, w Hollandyi, nad Renem. Po dwudziestu ośmiu latach żołnierskiej tułaczki, otrzymuje rangę pułkownika i dowództwo 13-go pułku szwoleżerów — na czele których ginie pod Austerlitz.

W tej sławnej dzielnicy odnajdujemy więc przedstawicieli wszystkich gałęzi genealogicznego pnia wielkiej »rodziny żołnierskiej«: Szlachtę i plebs chłopów ze wszystkich prowincyi francuskich i stare rody szlacheckie, żołnierzy z zawodu — osiwiiałych w służbie — i wszelkiego rodzaju ochotników; istotnym wyrazem armii narodowej są ci wodzowie, którzy wyszli wszyscy z szeregów, wszyscy jęli się oręża dla obrony ziemi ojczystej, wszyscy z radością oddali życie za sławę sztandarów narodowych. Pogardzając »pokojowymi frazesami«, porzucali — a jest to chyba czemś więcej — na wzniosłym przykładzie śmierci za ideę, którą była dla nich ojczyzna. Dziś — tylu pasożytów żyje kosztem ojczyzny.

DOTACYE I MAJORATY. BANKRUCTWO.

Gdy Napoleon osiągnął najwyższy stopień władzy i uwieńczył skronie swoje koroną cesarską, odczuł potrzebę stworzenia w tej nowej Francji hierarchii, któraby uzupełniła i ugruntowała jego dzieło. Ustanowił tytuły przekazywane dziedzicznie wraz z dobrami, do których były przywiązane. »Instytucja ta — powiada Cesarz — ma na celu nie tylko otoczenie tronu naszego splendorem należnym jego godności, lecz dąży nadto do tego, aby podsycać szlachetną emulację w sercach naszych poddanych przez unieśmiertelnienie chlubnych przykładów, przez utrzymanie wieczystych nagród, jakie wyznacza sprawiedliwy rząd za wielkie usługi oddane państwu«.

Działy tu inne również pobudki. Społeczeństwo konserwatywne istnieć może wówczas tylko, gdy na czele jego stoi klasa rządząca, której byt zapewniają nienaruszalne majątki, poszanowanie zaś — godności i tytuły. Odznaczenia dożywotnie — takie, jak np. Legia honorowa — przywiązywały do Cesarza i rządu jego współczesne tylko pokolenie; niknęły wraz ze śmiercią tych, którzy je nosili. Tymczasem Napoleon pracował nie dla tera-

źniejszości, lecz dla przyszłych stuleci. Żeby zapewnić dynastji swojej przychylność synów tych ludzi, którzy wierni byli sługami Cesarza i ojczyzny, czyni ich zależnymi od siebie aż do najdalszych pokoleń. Tworząc szlachtę, lub też powołując ją ponownie do życia odpowiednio niewyposażoną, niezabezpieczoną przed własną rozrzutnością, przed rozdrobnieniem majątków drogą działów spadkowych, przed ryzykiem wszelkiego rodzaju spekulacji — skazywało się ją odrazu na niezawodny upadek, chybiało się całkowicie zamierzonego celu. A głównym celem było wytworzenie w państwie zastępu wiernych, bezinteresownych i uczciwych obywateli, którzy służąc krajowi — poszukują nietylko materialnych korzyści, poniekąd zbędnych im, ile raczej moralnego zadowolenia, wypływającego ze spełnienia obowiązków, jakie nakłada tradycja i względy rodzinne, ze zużytkowania zdolności swoich w zaszczytnym zawodzie, otwierającym drogę do łaski monarszej.

Przywileje tej nowej szlachty — pod wpływem idei rewolucyjnych — mogły być tylko nominalnemi. Nie uwalniały ani od ciężarów, ani od obowiązków wspólnych wszystkim obywatelom państwa. Stan szlachecki w równej mierze dla wszystkich był dostępny a tem samem nie uważał ani poczucia równości, ani ducha demokratyzmu. Lecz, aby stać się dziedzicznym, musiał być ugruntowany przez dochody, odpowiadające hierarchii tytułów. Do tytułu kawalera (chevalier) przywiązany był dochód 3.000 franków; do tytułu barona dochód 15.000 franków, którego trzecia część do-

dana być musiała do dotacyi danego tytułu i przechodzić wraz z nim na wszystkich spadkobierców; hrabia wykazać musiał dochód 30.000 franków, w trzeciej części unieruchomiony; książę — dochód 200.000 franków całkowicie nienaruszalny.

Dochód ten był warunkiem ustanowienia majoratu. Majorat był dwojaki: dobrowolny — *de propre mouvement* — gdy składał się całkowicie z dotacyi nadanej przez Cesarza; na skutek podania — *sur demande* — gdy składał się całkowicie lub też częściowo z dóbr należących do jednostki utytułowanej.

Nie będę zajmował się tu majoratami, utworzonymi z dóbr prywatnych: znikły już one prawie doszczętnie na skutek rozporządzeń monarchii lipcowej a majątki, jakie wchodziły w ich skład — oprócz dwóch czy trzech majątków — powróciły do masy spadkowej i równomiernie podzielone zostały między spadkobierców ostatniego właściciela.

Innemi są dzieje majoratów dobrowolnych — rządowych — i dotacyi z nimi związanych.

Dotacyi tych dostarczało Dominium nadzwyczajne (*Domaine extraordinaire*), ustanowione najwyższą uchwałą Senatu 30-go stycznia 1810 roku, a »złożone z dóbr ruchomych i nieruchomych, które Cesarz — rozporządzający prawem wojny lub pokoju — zdobył przez zwycięstwa albo traktaty bądź jawne, bądź też tajne«.

W rzeczy samej były to: 1) dobra położone poza granicami Cesarstwa i oddane Cesarzowi mocą traktatów w Presburgu, Tyłży i Wiedniu oraz na

mocy kolejnych konwencji; 2) dobra, położone w obrębie Cesarstwa, posiadłości ziemskie, lasy, zamki, akcye kanałów, akcye Banku francuskiego, pięcioprocentowa renta — powstała z zamiany dóbr zagranicznych, ze zniesienia apanaży, ze zwyżki dochodów dóbr koronnych. W stosunku do pierwszego działu — dział drugi był minimalny z powodu licznych zastrzeżeń, jakie poczynił Cesarz na korzyść Dominium nadzwyczajnego w okresie utworzenia królestwa Westfalii i Neapolu, W. Ks. Bergu i Frankfurtu oraz podczas różnych aneksyi terytorjalnych, rozszerzających granice Cesarstwa i królestwa włoskiego. We Włoszech zastrzeżenia te koncentrowały się w instytucyi zwanej Monte di Milano, której zadaniem był podział dochodów między donataryuszów.

Cesarz rozporządzał Dominium nadzwyczajnem: »1) aby podolać wydatkom armii; 2) aby nagradzać żołnierzy i wielkie usługi cywilne lub też wojskowe oddane państwu; 3) aby wznosić gmachy i pomniki, wykonywać prace publiczne, popierać sztuki piękne i podnosić splendor Cesarstwa«.

Tylko drugi punkt interesuje nas tutaj. Ze spisu donataryuszów — zebranego w roku 1817 — wynika, że Napoleon postępował zawsze w myśl ustawy i myliliśmy się bardzo sądząc, iż zużytkował zdobyczne skarby dla wzbogacenia swoich faworytów. Jeśli wierni słudzy narodu otrzymali od niego dotacje, odpowiadające niebezpieczeństwu, na jakie byli narażeni, odniesionym zwycięstwom i spełnionym obowiązkom — liczba ich była minimalna a zasługi niezmierne.

Opowiadają, że podczas wizyty u marszałka Angereau, ks. Castiglione, posiadacza 196.764 franków rocznego dochodu — jeden z jego dawnych towarzyszy broni nie mógł powstrzymać się od wyrażenia mu swojej zazdrości. »Zejdź do ogrodu — odrzekł na to Angereau — celując z bliska do ciebie — dam tysiąc strzałów a jeśli wyjdiesz cało, wszystko będzie twojem«. — Ile setek tysięcy ran odebrali ci niezmordowani żniwiarze krwawej siejby wojennej, wiele krwi wylali w zamian za te dobra, któremi nagroził ich Cesarz! Były to niewątpliwie znaczne sumy: dotację 288.000 franków dostał Arrighi, ks. Padwy; 1.254.945 franków — Berthier, ks. Neuchâtel'u i Wagram'u; 122.000 — br. Bertrand; 263.000 — Bessiéres ks. Istrii; 450.000 Cambacérés, ks. Parmy; 200.000 — Caulaincourt, ks. Vicenzy; 100.000 — Champagny, ks. Cadore'y; 145.000 — Charke, ks. Filtre; 910.000 — Davout, ks. Auerstadt'u i Eckmühl; 270.000 — Duroc, ks. Frioul; 100.000 — Fouché, ks. Otrante; 125.000 — Gaudin, ks. Gaëta'y; 327.000 — Lannes, ks. Montebello; 155.000 — Lefebvre, ks. Gdański; 100.000 — hr. Lemarois; 118.000 — Maret, ks. Bassano; 120.000 Marmont, ks. Raguzy; 500.000 — Masséna, ks. Rivoli i ks. Essling; 122.000 — hr. Molien; 100.000 — Moncey, ks. Conegliano; 198.000 — Mortier, ks. Trevizy; 170.000 — Mouton, hr. Loban; 728.000 — Ney, ks. Elschingen i ks. Moskwy; 100.000 — hr. Ornano; 185.000 — Qudinot, ks. Reggio; 110.000 — Rapp; 150.000 — Régnier, ks. Massa; 162.000 — Savary, ks. Rovigo; 120.000 — hr. Sebastiani; 305.000 — Soult, ks. Dalmacyi; 200.000 — hr. Tascher; 157.000

Victor, ks. Belluné'y. Lecz obok tych trzydziestu tak hojnie wyposażonych — naczelnych wodzów lub ministrów — cztery tysiące dziewięciuset dwudziestu czterech donataryuszów otrzymało dotacje od 500 do 100 000 franków; byli to żołnierze, oficerowie, generałowie, prefekci, naczelnicy oddziałów administracyjnych, dyrektorowie przeróżnych instytucji; 330-tu z pośród nich otrzymało dotacje poniżej 100.000 a powyżej 12.000; 675-ciu — od 4.000 do 12 000; 774-ch od 2— 4.000; 3.145—od 500 do 2.000 franków.

W ostatniej tej klasie tytuły były rzadkie: najwyżej około dwudziestu. W piątej klasie było ich dużo: 84 kawalerów, 115 baronów, 14 hrabiów. Począwszy od czwartej klasy byli to niemal wyłącznie baronowie i hrabiowie.

O tytuł kawalera niebardzo się ubiegano. Otrzymał go mógł każdy członek Legii honorowej o ile zadośćuczynił żądanym formalnościom i o ile wykazał dochód roczny 3.000 franków łącznie z dotacją. Lecz o tytuł ten mniej się ubiegano, gdyż nie przysługiwał kobietom, za wyjątkiem jednej pani d'Eon. Przeciwnie — tytuły barona i hrabiego były przedmiotem gorliwych zabiegów. Nadawane tym wszystkim, którzy odznaczyli się w służbie cywilnej lub też wojskowej, stawały się dziedzicznymi przez utworzenie majoratu; Cesarz zamierzał nadto rozszerzyć dobrodziejstwo tego rozporządzenia na tych wszystkich, których przodkowie oddali Francji znamienite usługi — nadając ich potomkom tytuły dziedziczne na skutek dotacji cesarskiej — w razie, gdyby osoby utytułowane nie mogły utworzyć majoratu z własnych dóbr.

Przygotował tym sposobem konkordat między dawną a nową Francją; pogodził je; w dziele zjednoczenia, o którym marzył, zspolił chwałę dni minionych z chwałą doby obecnej: potomków zwycięskich rycerzy z pod Ascalon — z żołnierzami z pod Saint-Jean d'Acre.

Według niego, zarówno dotacje jak tytuły były jedynie podwaliną, na której wzrastać miała w chwale i potęgę zjednoczona Francja cesarska.

Źródłem dotacji były dobra, leżące poza granicami kraju. Będąc owocem zwycięstw, składały się bądź to z kontrybucji wojennych, wypłaconych przez kraj zwyciężony, bądź też z daniny, jaką nakładał Napoleon na władców, których osadzał na tronie. Francja zdobyła je kosztem krwi, są więc one zapłatą za tę krew. Uświęcone pochodzeniem swoim, zagwarantowane zostały przez odnośne ustawy. Najwyższa uchwała Senatu (senatus consulte) z 30-go stycznia 1810 roku — opiewa (tytuł II, art. 30): »Wszelkie rozporządzenie, dotyczące Dominium nadzwyczajnego, jakie cesarz wydał lub wyda kiedykolwiek — jest nieodwołalne«. Uchwały tej nie naruszył żaden z rządów, jakie następowały kolejno po sobie w ciągu lat stu a jeśli ścinano głowy w epokach teroru i reakcji — zachowano przynajmniej nietykalność dóbr.

Zapytać należy, jakich dóbr? Czyż wraz z upadkiem Cesarstwa nie upadły również dotacje? Czyż zwycięska Europa nie odebrała terytoriów, ustąpionych niegdyś swemu pogromcy — zarówno jak danych mu obrazów i przedmiotów sztuki?

Oczywiście — że tak. Z ruiny tej wyłączyła

kilku tylko ludzi, których usługi musiała opłacić. Lecz za wyjątkiem kilku dotacyi — we Francyi położonych a składających się z dóbr ruchomych lub nieruchomych, które pochodziły przeważnie ze zniesionych apanaży, a któremi Cesarz dowolnie rozporządzał w myśl Konstytucyi — inne dotacje, oparte na dobrach zagranicznych, zostały prawnie przeniesione do Francyi.

Istotnie, w artykule 54, sekcji I-ej, tytule IV-m statutu z 1-go marca 1808 roku, Cesarz zastrzega sobie prawo »upoważnienia lub nawet nakazania — jeśliby wymagały tego okoliczności — zamiany dóbr, położonych poza granicami Cesarstwa a przywiązanych do dotacyi danego tytułu — na dobra leżące w obrębie Francyi«; art. 12, tytułu III-go dekretu z 3-go marca 1810 roku, zastrzega że »księżęta, hrabiowie, baronowie i kawalerowie, którzy otrzymali od Cesarza dotacje w krajach obcych, obowiązani są sprzedać wymienione powyżej dotacje możliwie najprędzej... tak, aby całość danych dóbr była sprzedana i zamieniona bądź to na rentę państwową, bądź też na posiadłości ziemskie — w obrębie Cesarstwa — w przeciągu lat czterdziestu«.

Poza temi dwoma rodzajami dóbr, donataryusze posiadać mogą obecnie jeszcze trzeci rodzaj. Za przykładem innych mocarstw sprzymierzonych, rząd austriacki zniósł instytucję Monte di Milano; traktat w Villafranca częściowo przynajmniej ją przywrócił. Dnia 10. listopada 1859 roku, artykuły 7, 8 i 14 traktatu między Francją a Austrią, artykuł 2-gi traktatu zawartego tegoż samego dnia

między Francją a Sardynią oraz artykuły: 5, 7 i 14-ty traktatu między Francją, Austrią i Sardynią — uznają prawa donataryuszów do Montelombardo-veneto, poprzednio Monte di Milano. Sardynia przejęła ciężar trzech piątych długu i zobowiązała się wypłacić — częściowo chociaż — dotacje żyjącym spadkobiercom. Dług ten uregulowany został przez szereg uchwał międzynarodowych. Spadkobiercom donataryuszów przyznano papiery renty państwowej, opatrzone klauzulą wypłacalności w wypadkach przewidzianych w ustawie pierwotnej.

Obecnie minister finansów — wespół z komisyą Izby państwa — zamierza podobno skonfiskować te trzy rodzaje dóbr pod pozorem wykupienia ich. Czemże będzie jednak kupno — »w cenie, przenoszącej najwyżej piętnastokrotnie wartość dochodu« — dóbr, których dziedziczne przekazywanie nieograniczone było tak długo, jak długo nie wygaś ród po mieczu?

Konfiskata — jeśli kto woli wykupno — dóbr jest bankructwem. W tych samych warunkach państwo okupić może lub skonfiskować z dnia na dzień każdą pensję, urząd lub rentę, którą stworzyło lub ustanowiło. Państwo zwraca się dziś przeciwko donataryuszom dlatego, że są utytułowani, że są reakcyonistami, że z żołnierskich wywodzą się rodów. Jutro zaś — na tych samych prawach — zaatakuje agentów bankowych, rejentów, dependentów adwokackich i notaryalnych, komorników, pisarzy, urzędników cywilnych i wojskowych, kapitalistów i przemysłowców, dlatego,

że w ich rękach koncentrować się będą kapitały, że państwo potrzebować będzie tych pieniędzy; dlatego również, że istnieją dwa najlepsze sposoby wydostawania pieniędzy: nie płacić tego, co się zapłacić powinno oraz zagrabiać mienie cudze.

Republika — reformując ortografię — pomnaża synonimy. Po »likwidacyi« dóbr kongregacyjnych i »wykupnie dotacyi«, jakichże wyrażen używać będzie dla określenia konfiskaty urzędów i pensyi, zmniejszenia lub też zniesienia renty? — Mniejsza jednak o wyrażenie: »Bankrutujemy! ohydnie bankrutujemy!« — wołał Mirabeau, lecz mimo to bankructwa nie powstrzymał.

NAPOLEON JAKO JEŹDZIEC.

Nie brak wizerunków Napoleona na koniu: niektóre są osobliwe, niektóre dziwaczne, inne jeszcze śmieszne, epiczne lub pełne majestatu, lecz jakżeż niewiele z pośród nich daje nam wierne odbicie natury, służyć może za wskazówkę sposobu, w jaki jeździł konno, w jaki siedział na koniu człowiek, który we wszystkich niemal wędrówkach swoich nie rozstawał się z kulbaką. Począwszy od pierwszych kampanii włoskich i kampanii egipskiej niema w tym kierunku nic godnego uwagi. Ówczesne portrety Napoleona przedstawiają go na koniu — robiącym wrażenie konia drewnianego, który idzie stępą dziwaczными chody, lub też galopuje tak niezwykle, że jedną zaledwie nogą dotyka ziemi.

Chcąc znaleźć podobiznę, zbliżoną do rzeczywistości, trzeba zwrócić się przedewszystkiem do cennej *Revue du Quintidi*, ilustrowanej przez Isabey'a i Carle Vernet'a, gdzie Bonaparte takim jest, jakim musiał być istotnie: zgarbiony, źle osadzony na siodle, z wiszącymi wzdłuż boków konia strzemionami i luźno puszczoneymi cugłami. Pominąć trzeba następnie wszystkie obrazy oficjalne: słynny

obraz David'a, przedstawiający pierwszego Konsula na ognistym rumaku, na szczycie Alp; portrety Vernet'a, Gérard'a, Gros'a, Chabord'a — poszukując w pierwszym rzędzie drobnych rysunków przygodnych artystów, rysunków — mimo naiwności swojej — stokroć wierniejszych i bardziej wyrazistych od wszelkich dzieł poprawnych, które zdradzają wpływ szkoły i wykonane są według pewnych określonych prawideł.

Oficyalnie — nikt nie byłby śmiały przedstawić Napoleona na koniu takim, jakim był w rzeczywistości. Utrzymywała się wówczas zarówno w szkole francuskiej, jak we wszystkich klasycznych szkołach malarskich niczem niezwalczona tradycja malowania koni; usiłowano wiernie odtwarzać konie Fidyasza albo też Rafaela: konie o oczach ludzkich, o rażąco małej, dumnej głowie, nadmiernie rozdętych chrapach, konie — których ani jeden członek ani jeden mięsień — nie odpowiadał rzeczywistemu układowi anatomicznemu. Jeździec również siedzieć musiał na koniu według przyjętego wzoru klasycznego. W pomniku dłuta Canova'y, jego Napoleon jest Pompejuszem, Germanikusem, Trajanem ale nie Napoleonem. Wszystkie pomniki tego rodzaju we Francji wzniesione — nieliczne zresztą — wzorują się na tych samych klasycznych wzorach, o ile nie naśladują Ludwika XIV-go — dłuta Coysevox'a lub Ludwika XV-go — Bouchardon'a. Napróżno również poszukiwalibyśmy wiernej i trafnej wskazówki w wizerunkach, jakie zostawili nam malarze późniejsi względnie, lecz mimo to współcześni Cesarzowi, jak np. Horacy Vernet i Charlet. Marząc

o Napoleonie legendarnym, nie starali się odtworzyć prawdziwej jego postaci. Jeden tylko Meissonier z największym trudem zbliżyć się zdołał do rzeczywistości. Jego Napoleon z obrazu »Rok 1814«, który jest w posiadaniu p. Walters z Baltimore — i Napoleon z drugiego obrazu także pod tytułem »Rok 1814« — własność p. Chauchard — niewątpliwie najwierniejszym jest wizerunkiem Cesarza. Większą jeszcze od obydwóch tych obrazów wartość ma prześliczna statuetka z wosku — dłuta Meissonier'a — którą posługiwał się mistrz, równie wielki rzeźbiarz jak malarz.

Nie należy dziwić się temu, że Cesarz źle jeździł konno: jeździł z przyzwyczajenia, nie zaś według zasad jazdy. W szkole wojskowej, gdzie Napoleon spędził jeden tylko rok — był niezrównany maneż i niezrównany mistrz jazdy, na którym Francja wzorowała się w ciągu lat pięćdziesięciu; lecz p. Dauvergne wymagał od swoich uczniów przynajmniej trzechletniej pilnej nauki a Napoleon nie rozporządzał dwunastu nawet miesiącami. W artylerii La Fère'a, w której służył następnie, nie było wcale koni, gdyż ówczesna artyleria francuska była piesza. Dopiero rewolucja stworzyła konne pułki artylerii. Jeździł wprawdzie konno na Korsyce, w czasie licznych wakacji, jakie tam spędzał: wiadomo jednak czem są konie korsykańskie: małe kuce, żywe i ogniste, o pewnych chodach, nieznające zgrzebla ani szczotki, którym nie obcina się nigdy ogona ani grzywy, które żyją pod gołym niebem nawpół dzikie, jedzą, co znajdują, karmią się

więcej liśćmi niż trawą. Później zaś — kiedy, gdzie i w jaki sposób mógł nauczyć się konnej jazdy?

Jeździł więc źle, bez żadnej szkoły, zgarbiony, ze spuszczoną głową, z kolanami odstającymi na zewnątrz, słabo osadzony w siodle; często też różnym podlegał wypadkom. W Morfontaine wypadek taki o mało nie pozbawił go życia. Podczas spaceru po olbrzymim parku, własności Józefa Bonaparte'go, kazał przyprowadzić sobie na umówione miejsce dwa konie limuzyjskie. Konie podobały mu się; chcąc wypróbować natychmiast jednego z nich, dosiada go, lecz w tej samej chwili koń rzuca się gwałtownie w bok; wysadzony z siodła — Napoleon uderza głową o drzewo i traci przytomność. Siostra jego — Eliza — trzyma na kolanach tę piękną głowę, trupio bladą, na którą kładły się już jakgdyby cienie śmierci; wśród orszaku — mimo popłochu — odbywają się szeptem narady, wychodzą na jaw osobiste ambicje poszczególnych jednostek; wtem nagle Napoleon odzyskuje przytomność, a że słyszał prowadzone dookoła siebie rozmowy, więc do niektórych ludzi żywił podobno od tej pory urazę.

Jest to najbardziej znany wypadek, lecz było ich znacznie więcej. W Boulogne sur mer, jechał jak zwykle galopem, wszędzie zaglądając. Na wąską drożynę — ciekawością wiedzione — wybiega dziecko; żeby nie strącić go, Cesarz osadza konia na miejscu, lecz czyni to tak gwałtownie, że traci równowagę, zlatuje przez łeb koński i pada na ziemię obok przerażonego chłopca. »Przeklęty bęben!« — rzecze, powstając z ziemi. Chłopak, dla

którego Cesarz naraził się na potłuczenie — nazywał się Detaille. Synem jego jest słynny malarz Edward Detaille.

Innym razem, również w Boulogne, konno przejechać chciał port w czasie odpływu. Koń jego potyka się w wyrwie ukrytej wśród szlamu i pada wraz z jeźdźcem. Napoleon podnosi się natychmiast i nie zatrzymując się — zwalany błotem, kończy rozpoczętą inspekcję.

Podczas kampanii, w ciągu długich godzin na koniu spędzanych, w ciągu sześć, siedem i ośmiogodzinnych nieprzerwanych marszów, myśli Cesarza zanadto były zaabsorbowane, aby mógł zwracać uwagę na cugle lub strzemiona. Koń zagalopowany napotykał po drodze przeszkodę i padał. Przyprowadzano wówczas drugiego i Cesarz najspokojniej w dalszą puszczał się drogę.

Konni strzelcy eskorty, z pośród których wielu służyło w saperach Armii Włoskiej, zachowali w stosunku do Cesarza pewną poufalskość koleżeńską. Znaną jest następująca anegdota: Stary wiarus, szaser konny, pada wraz z koniem. »Niezdara« — rzekł Cesarz. Chwilę później, koń Cesarza potyka się i przewraca razem z jeźdźcem. Podczas, kiedy Napoleon dosiada innego konia przy pomocy koniuszego, szaser, który podniósł się tymczasem z ziemi, przelatuje galopem koło Cesarza — dążąc ku avant-gardzie — i odcina się: »Widocznie nie tylko ja jeden jestem dziś niezgrabny«.

Bardzo był nieostrożny i jeździł po waryacku. »Można przypłacić to życiem« — skarży się inspektor urzędu celnego po jednym z jego objazdów.

»Częstokroć« — opowiada pewien Hollandczyk, który odbył z Cesarzem podróż w r. 1811 — »zjeżdżał z bitej drogi i z upodobaniem przeskakiwał rowy i płoty, nieoglądając się na switę«.

W pobliżu fortu w Batz, przesadził na swoim arabczyku rów 18 stóp szeroki, pozostawiwszy na drugim brzegu całą switę w największym kłopotcie.

Niekiedy, w miastach, szalona ta jazda stawała się przyczyną wypadków. Między innemi w Würtzburgu koń Cesarza przewrócił chłopkę, która nie zdążyła dość szybko zejść z drogi. »Cesarz zatrzymuje się — opowiada oficer sztabu, nacowny świadek tej sceny — gestami wyraża swój żal i współczucie, nakazuje podnieść tę kobietę, upewnia się, że żadnego nie poniosła szwanku, za pośrednictwem kogoś ze swity zwraca się do niej z kilku słowami, hojnie ją nagradza i w dalszą puszcza się drogę«.

Prawdziwość tej anegdoty stwierdza następująca wzmianka w registrach prywatnej szkatuły cesarskiej:

»3-go października 1806 r. w Würtzburgu. Zwrócono wielkiemu koniuszemu wypłacone kobiecie — którą przewróciły konie Cesarza w drodze do cytadeli — 600 franków«.

Galopem jeździł Cesarz wówczas, gdy zwiedzał miasta, gdy zaznajamiał się z ich pozycją strategiczną, gdy oglądał po raz pierwszy środki obronne nieznanej sobie dotąd fortecy — wiemy zaś, że nigdy nie omieszkiał tego uczynić — lecz mimo szybkiej jazdy, widział jednak wszystko i wszystko pamiętał, tak dalece, że po upływie

dwóch lat, wskazać mógł — bastyon po bastyonie — liczbę armat i zajmowane przez nie miejsca. Było to zwykłe tempo jazdy, które zwać można spacerowem, jakkolwiek — według Boucher de Perthes'a podczas tych spacerów, znaczna część jego swity podążała za nim tylko z daleka, lub też wcale podążyć nie mogła; lecz niczem to było wobec szalonego biegu, do jakiego przynaglał konie swoje w czasie kampanii, gdy chciał szybko przerzucić się z jednego miejsca na drugie. Wówczas nic nie jest w stanie zatrzymać go. Oto pędzi na drodze z Valladolid do Burgos — 23 mil hiszpańskich — okładając batem zady konia adjutanta Savary'ego który jedzie przodem, bodąc ostrogami własnego wierzchowca. Przebywa tę przestrzeń w przeciągu trzech i pół godzin, co wydaje się niemal nieprawdopodobnem; lecz przebywa ją prawie samotrzeć jakkolwiek bunt wre w kraju, jakkolwiek grasują wszędzie bandy guérilasów, jakkolwiek niebezpieczną była tego rodzaju wyprawa. Mimo największych wysiłków swity, dwaj pierwsi jeźdźcy — wielki marszałek i mameluk — pozostali w tyle o dobrą minutę; minutę po nich nadjeżdżał dopiero pierwszy gwardzista cesarski. Cesarz pędził, nie oglądając się poza siebie.

Czy dlatego wyprzedzał zawsze cały sztab główny, że konie jego z odrębnej pochodziły rasy? Bynajmniej. Konie, przeznaczone dla Cesarza, musiały rzecz prosta szczególne posiadać zalety; chowane były z uwzględnieniem nawyczek Cesarza; podlegały specjalnej tresurze p. Jardin, masztalera stajen wierzchowych, najlepszego podówczas

znawcy koni; powierzano je następnie hr. de Canisy, koniuszemu dworu, który — zanim oddał je do użytku Cesarza — poznawał ich zalety i wady, starając się przedewszystkiem wszelkie wykorzeniec narowy. Tresura była jednak tylko dodatkiem, nie stanowiła o istotnej wartości konia. Rzeczą pewną jest, że gdyby Napoleon posługiwał się był końmi o t. zw. dobrym układzie, to znaczy — końmi, które wykonywują taki lub inny ruch na skutek takiej lub innej wskazówki, to — jeżdżąc nerwowo i bez szkoły — ustawicznie byłby spadał z siodła. Konie jego podlegać więc musiały nie zwykłej tradycją uświęconej tresurze, zgodnej z zasadami jazdy, lecz tresurze, która odpowiadała najlepiej jego sposobowi jeżdżenia; musiały przywyknąć do cugli bądź to zbyt wolno puszczone, bądź też nadmiernie ściągniętych, do nóg jeźdźcy, bądź to lekko opartych o strzemiona, bądź to nerwowo ściskających boki końskie, lecz nie obejmujących ich nigdy, ze stopą zwróconą na zewnątrz dla tej prostej przyczyny, że nogi były krótkie a kolana okrągłe. Gdzie szukać koni takich — łączących niezwykłą ręczność, niezwykłą pewność chodów z zupełną obojętnością na działanie cugli i ostróg?

Gdzie szukać ich? — Wszędzie.

Cesarz używał pod wierzch koni wszelkiej rasy, wszelkiej maści, wszelkiej miary. Miały one jedną tylko wspólną cechę: były to bez wyjątku same ogiery. Jeździł na arabczykach, przywiezionych przez siebie z Egiptu, albo też ofiarowanych mu przez sułtana, przez beja Algieru i cesarza marokańskiego; za kupnem koni arabskich posyłał

masztalerzy do Rosyi, na Wołoszczyznę, nawet do północnej Afryki. W prywatnych stajniach jego dużo było koni rosyjskich, przysyłanych mu w prezencie przez cara Aleksandra lub też kupionych w Rosyi za pośrednictwem masztalerza Laravine; były również konie niemieckie, dar ks. Eugeniusza i króla bawarskiego; lecz Cesarz nie lubił ich, twierdząc — że są zbyt wielkie, zbyt ciężkie, skłonne nadto do zawrotów. Jeden z tych koni, ofiarowany przez króla bawarskiego w r. 1809, zwinął się pod nim bez żadnej widocznej przyczyny, pewnego wieczoru, gdy Cesarz wracał z Wiednia do Schönbrunn; upadek był tak gwałtowny, że Napoleon stracił przytomność. I prześliczny ten rumak, wypróbowany przecież uprzednio przez hr. de Canisy, przewracał się jeszcze kilkakrotnie w czasie jazdy.

Z koni niemieckich Cesarz oddawał pierwszeństwo koniom z dzikich stadnin (Haras Sauvage), nie mających cech rasy niemieckiej a zbliżonych do koni arabskich, z których się wywodzą. Wiadomo, że stadnina ta mieściła się w ks. Bergu, w olbrzymich lasach, w których kłacz żyły w stanie dzikim. W pewnych porach roku, wpuszczano do lasu rasowych ogierów a ze skrzyżowania tego rodziły się konie niezwykłej siły, piękności a zwłaszcza wytrzymałości, szczególnie odpowiadające potrzebom kawaleryi.

Cesarz posiadał również konie limuzyjskie — jak np. Embelli, który stał się przyczyną niejednego kalectwa w ujeżdżalni wersalskiej a dosiadany przez Napoleona między r. 1806 — 1814, usunięty został dopiero w 1827 r. — konie hiszpań-

skie, konie normandzkie, nawet konie z Ameryki południowej.

Przytoczony poniżej przykład powinien dać czytelnikowi przybliżone pojęcie o pochodzeniu i maści koni cesarskich. Wyjeżdżając na wyspę Elbę, Napoleon zabrał z sobą ośm koni wierzchowych, wybranych z pośród tych, na których jeździł zwykle, lecz nie wyróżniających się ani pięknością, ani pochodzeniem lub maścią. Wyliczenie tych koni i krótki ich życiorys da nam jasne pojęcie o składzie stajen cesarskich.

W pierwszym rzędzie idzie Wagram, koń arabski, małej miary, siwej maści, który nosił Cesarza podczas bitwy pod Wagram, odbył z nim kampanię austriacką, rosyjską, saksońską, francuską, był pod Waterloo. Pana swego znał tak dobrze, że kiedy w Porto-Ferrajo Cesarz zwiedzał stajnię — co zdarzało się dwa lub trzy razy tygodniowo — rżał i parskał póty, póki Napoleon nie dał mu kawałka cukru, nie pogłaskał go i nie ucałował.

Tauris, koń perski, siwy-jabłkowity z odcieniem srebrzystym, o białej grzywie i długim białym ogonie; kupiony w Rosji 31-go grudnia 1809 roku przez masztalerza Laravine w cenie 1.260 franków — nosił Cesarza we wszystkich bitwach kampanii rosyjskiej, w dniu wkroczenia do Moskwy, w dniu przejścia Berezyny, podczas kampanii saskiej i francuskiej, podczas podróży z zatoki Juan do Paryża, w ciągu stu dni i podczas ostatniej kampanii 1815 roku. Pod Waterloo, Cesarz zsiadł z niego wówczas dopiero, gdy odnalazł swój

powóz. W Malmaison, powierzył go pieczy jednego ze swoich masztalerzy, p. de Montaran, który troskliwie opiekował się nim i codziennie kazał go przeprowadzać dokoła kolumny Wielkiej Armii.

Trzeci z kolei Roitelet, ognisty kasztan dużej miary, o długim rozwianym ogonie, z angielskiego ogiera i klaczy limuzyjskiej, darowany został Cesarzowi przez ks. Eugeniusza. W roku 1809, podczas rewii, ponosił Cesarza w szeregi pieszych grenadyerów i wielu z nich poturbował. Od tej pory Napoleon nie chciał na nim jeździć. Dopiero w czasie odwrotu w r. 1812, w pobliżu Smoleńska, gdy na skutek gołoledzi żaden koń nie mógł utrzymać się na nogach, przyprowadzono mu świeżo podkutego Roitelet'a; Cesarz dosiadł go żadnej nie czyniąc uwagi, a że koń nie potknął się ani razu, pogodził się z nim zupełnie. Pod Lützen, w chwili, kiedy lustrował szeregi armii swojej, przelatująca kula armatnia o mało nie zabiła konia i jeźdźcę; przerażony świstem kuli Roitelet — przysiadł na zadach a osmalona sierść nigdy mu już nie odrosła. Pod Arcis-sur-Aube, granat pękł z hukiem pod nogami jadącego na Roitelet'cie Cesarza: koń gwałtownie odsadził się w bok, cesarz zleciał na ziemię, lecz podniósł się zaraz i skoczył ponownie na siodło — mówiąc: »No, jeszcze i tym razem skończyło się tylko na strachu«. Odtąd, zwiedzając na Elbie stajnię swoją, nie omieszkwał nigdy obejrzeć osmalonej sierści konia a głaszcząc go — mawiał nieraz: »Udało nam się, mój stary«.

Intendent — przewany przez starych wiarusów Coco — był to koń normandzki, dużej

miary, maści biało-siwawej, o długiej sierści — używany był zwykle w czasie rewii lub uroczystych wjazdów do miast a w roku 1815 mieniał się kolejno z Coquet'em, koniem tej samej miary i tej samej maści.

W roku 1814, znajdujemy jeszcze w stajniach cesarskich konia, który brał ongiś udział w szalonej jeździe z Valladolid do Burgos: jest to Montevideo, piękny i silny koń kary, rodem z południowej Ameryki. Cesarz kupował chętnie konie hiszpańskie. Dwa konie: Kordowa — andaluzyjski gniadosz, nader łagodny — i Gonzalve — złoty kasztan, dużej miary — kolejno chodziły pod Cesarzem w licznych kampaniach, począwszy od r. 1808. Pod Brienne, kula przecięła Gonzalve'owi lejcę koło pyska; chwilę później, druga kula zdruzgotowała ramię masztalerza Jardin starszego. — Wreszcie Emir koń turecki, złoty kasztan z czarną pręgą grzbietową, z czarną grzywą, ogonem i pończoszkami, kupiony w Bukareszcie przez masztalerza Laravine, uzupełniał skład prywatnych stajen cesarskich na wyspie Elbie.

Na ośm więc koni, trzy tylko były białe lub siwe, pięć było kasztanów lub gniadoszów. Trzy tylko były rasy arabskiej lub tureckiej.

Od samego początku jest to stały mniej więcej stosunek. Cena zaś kupna waha się między 735 a 1.400 fr. Przeciętna cena wynosi 1.012 franków. Cesarz myślał również o kupnie koni bretońskich po straszliwej przeprawie przez łańcuch gór Guadarrama, w ciągu której to przeprawy trzykrotnie zmieniać musiał konia, podczas kiedy generał

Lariboisiere odbył całą drogę na małym niezmordowanym koniku bretońskim. »Caulaincourt musi kupić mi kilka takich koni. Są to najwytrzymalsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziałem« — rzekł wówczas do generała. Zaniechał jednak tego zamiaru, bo były to wałachy a Cesarz jeździł tylko na ogierach.

Fakt ten, że Cesarz zarówno w czasie marszu jak w czasie bitwy zmieniał dwa — trzy — i czterokrotnie konia, obala kunsztowną hipotezę niektórych pisarzy, między innymi F. Lawley'a, hipotezę dotyczącą konia rzekomo stale przez Napoleona dosiadanego we wszystkich bitwach. Wychodząc z założenia, że Cesarz miał ulubionego wierzchowca, który był dla niego tem, czem był Bucefał dla Aleksandra, rozwodzą się szeroko o Ali'm, Marengo'u i Austerlitz'u, zwanym wpierw Cyrusem. Te trzy konie figurowały istotnie w spisie stajen cesarskich, przywiązane były do osoby Jego Ces. Mości, t. zn. że Napoleon jeździł na nich, lecz bynajmniej ich nie wyróżniał i wbrew temu co mówi o nim — że takiego lub innego konia w takich tylko lub innych dosiadał okolicznościach — żadnych w tym kierunku nie miał przesądów. Rozwiązanie zagadki znajdujemy w sposobie, w jaki zorganizowane były stajnie cesarskie.

Począwszy od r. XI-go, wierzchowa stajnia pierwszego Konsula składała się z sześciu brygad, po dziesięć koni każda — i z dwunastu koni zapasowych. W każdej brygadzie, dwa konie przeznaczone były do osobistego użytku Konsula i tylko pod nim chodziły; ośm pozostałych — do użytku

masztalerza, adjutantów, mameluka itp. Później liczba brygad wzrosła do dziesięciu a liczba koni w każdej poszczególniej brygadzie — do trzynastu. Na tych trzynaście koni, trzy — dwa konie wojskowe i jeden paradyer — przeznaczone były dla Cesarza; pozostałych dziesięć — dla wielkiego koniuszego, dla koniuszego dyżurnego, dla pазia, chirurga, masztalerza, mameluka i stajennych. Koni nie dawano ani adjutantom, ani oficerom służbowym a wielki koniuszy dworu tak dalece trzymał się przepisów, że kiedy podczas kampanii saskiej, w ciągu bitwy zabito pod Ney'em jego własne konie, Cesarz dwukrotnie powtórzyć musiał ks. Vincenzy rozkaz wydania marszałkowi konia z brygady cesarskiej.

Tym sposobem, w jednej np. kampanii r. 1812 Cesarz miał do dyspozycji trzydzieści koni i jeździł na nich kolejno. Tem również tłumaczy się taka szalona jazda jak z Valladolid do Burgos: znaczna przestrzeń, przebyta w przeciągu kilku godzin, dzięki rozstawnym koniom. Sześć brygad rozstawiono na przestrzeni mil dwudziestu, na każdego więc poszczególnego konia wypadało tylko trzy do czterech mil.

Jeśli dodamy, że skład stajen zmieniany był całkowicie trzy razy, otrzymamy sumę przeszło stu koni, których Cesarz używał pod wierzch, koni wojskowych lub też paradyerów, niemożliwem więc jest ustalenie dokładnego spisu. Co się tyczy koni zaprzęgowych oraz koni, przeznaczonych dla koniuszych i masztalerzy, można rozróżnić przynajmniej, pod jaką datą były kupione, gdyż — w staj-

niach Jego Ces. Mości — panował zwyczaj nadawania koniom imienia, którego litera początkowa odpowiadała liczebnie dacie kupna: wszystkie np. konie kupione w r. 1809 noszą imiona rozpoczynające się od litery H (huit), ósmej litery alfabetu — gdyż rok 1801 był datą organizacyi stajen. Lecz nie trzymano się tej metody w stosunku do koni wierzchowych Cesarza i zdaje się, że nadawane im imiona związane były przeważnie z pochodzeniem i rasą koni, jak np. Kurd, Labrador, Cyrus — zwany później Austerlitz'em ponieważ nosił Cesarza w czasie tej bitwy — Cyd, Kordowa, Saxa, Epikurejczyk, Sagonte, Intendent, l'Embelli, Gassner, Bréant, Würtzburg, Wezyr, Gisors, Łowka, Harbert, Neron, Wagram, Calvados, Tamerlan, Hippogryf itd.

Uprząż nieodłączna jest — rzecz prosta — od konia. A i pod tym względem należy również zachować możliwie największą ostrożność, chcąc twierdzić — że takie lub inne siodło służyło Napoleonowi w takich lub innych okolicznościach. Przy zmianie wierzchowca, koń którego przyprowadzano, był już oczywiście osiodłany i nie mogło być mowy o przekładaniu siodła z jednego konia na drugiego.

Istniały conajmniej trzy różnorodne fasony tych siodel. Zwykle siodła, nader liczne — skoro budżet r. XIII-go obejmuje obstalunek stu ośmiu siodel — są z czerwonego aksamitu, o małym wnęku, opatrzone olstrami, popręgiem, podogoniem, strzemionami, napierśnikiem, uzdeczką i podpinkiem, wszystko złotem i srebrem zdobione, z po-

krowcem i nausznikami o podwójnym złotym galonie. Siodła te, obliczane na 731 franków za sztukę kosztowały w r. 1809 przeciętnie 819 fr. 10 cent. Przeznaczone były do codziennego użytku, jak np. siodło, będące dziś własnością Jego Ces. Wys. ks. Wiktora Napoleona. Lecz Cesarz piękniejszych również używał siodel. Znajdujemy np. w rachunkach siodło z czerwonego aksamitu, którego pokrowiec i nauszniki okryte są złotą torsadą i podwójnym galonem, czaprak haftowany z cyfrą i orłami cesarskimi, uzda i napierśnik — tkane srebrem, siatka złota, strzemiona złocone, munsztuk także złocony, rzeźbionym ozdobiony orłem. Siodło to kosztowało 4.434 fr. 50 cent.

Albo też siodło, na którym sam haft — złożony z liści dębu i wawrzynu okalających wojskowe trofea — kosztował 8.500 franków; lub inne jeszcze kompletne siodło, kupione w r. XIII, w cenie 16.400 franków, podczas gdy najpiękniejsze siodło Pierwszego Konsula kosztowało tylko 2.633 franków.

W olstrach siodła Napoleon miał zawsze pod ręką parę pistoletów, z których niekiedy strzelał dla rozrywki po drodze do wron, a których utrzymywanie powierzzone było staraniom nieodstępного Roustan'a. W dniu wielkiej rewii w Wesel, podczas drugiej podróży Napoleona do Hollandyi, koń Cesarza ponosił, przestraszony natarciwem ujadaniem psa. Napoleon wyciąga pistolet z olstr, strzela do psa, chybia go a rozzłoszczony ciska weń bronią. Prócz dwóch wypadków: kampanii rosyjskiej i bitwy pod Brienne, nie widzimy, aby używał kie-

dykolwiek pistoletów przeciwko nieprzyjacielowi. Chętniej uciekał się do szabli.

Należałoby sprawdzić, czy i o ile wiarygodnem jest opowiadanie O'Meara — jakoby ubito lub zraniono pod Cesarzem ośmnaście koni w ciągu jego karyery wojskowej. Odnosne dokumenty nadzwyczaj są niekompletne i mgliste: pod Arcole, istotnie ubito pod nim konia, który w konwulsjach agonii rzucił Cesarza w bagno i o mało że o śmierć nie przyprowadził. Jest to jednak jedyny prawie wypadek autentyczny, ogólnie znany. Przed wojskiem ukrywano oczywiście starannie niebezpieczeństwa, na jakie Cesarz był narażony: w oczach żołnierzy uchodzić musiał za niedostępnego dla kul nieprzyjacielskich tak jak był niewycieężonym.

K L N

**CESARZOWA MARYA LUDWIKA
W BLOIS 2—9. KWIETNIA 1814 R.**

Coraz to nowe dokumenty pozwalają nam niemal z dniem każdym lepiej poznawać jednostki, które odegrały w historyi pierwszorzędną rolę, pozwalają określić bliżej czyny ich i pobudki, jakie niemi kierowały. Niektóre z tych jednostek zyskują na tem. Lecz liczba ich jest niewielka. Większość traci. Niejeden, słynący niegdyś z wierności, okazuje się zdrajcą, który zaprzedał monarchę swego i ojczyznę; inni zaś — poddani tej próbie — jakkolwiek nie olśniewają blaskiem szczególnych zalet, zarysowują się jaśniej, bardziej stają się zrozumiałymi, wykazują — jeśli nie chwalebne czyny to prawie że chwalebne zamiary i w stosunku do nich — historia, bardziej niegdyś surowa, uwzględnia dziś okoliczności łagodzące, umotywowane warunkami dziedziczności, wychowania i umysłowości — warunkami, które pomijała niegdyś zupełnie.

Czy nie zuchwalstwem jest wszelako mówić o historyi i ferowanych przez nią wyrokach? Czy we wszystkich krajach historia równie jest sprawiedliwą, czy tym samym podlega prawom, czy

zapatruje się na fakta i jednostki z tego samego punktu widzenia? Są czyny, które powszechna potępia a które tłumaczy, rozszerza i uznaje patryotyzm lokalny. Przeniewierstwo — piętnowane w jednym kraju, sławione jest w drugim. Polityka dogadza nie tylko stępionemu sumieniu współczesnych; stwarza nadto wśród potomnych apologetów tem żarliwszych, iż chcą prawdopodobnie być osądzeni kiedyś tak, jak sami sądzą zmarłych. Co się więc tyczy polityki — a związana z nią jest każda niemal jednostka i każdy czyn ludzki — to nie można śmiało argumentować w nadziei, że zrozumiani będziemy jednako wszędzie, gdzie dzieła nasze znajdują czytelników. Istnieją wszakże, na chwałę ludów Zachodu, pewne zasady, przez wszystkich zgodnie uważane za podwalinę cywilizacji współczesnej i społeczeństw przez tę cywilizację wytworzonych. Społeczeństwo — w którym zniesiono poligamię a napiętnowano polyandryę — opiera się w rzeczy samej na nierozzerwalności małżeństwa. Jeśli uznaje ono istnienie wypadków wyjątkowych, jeśli stworzyło szereg przyczyn i powodów do rozwiązywania prawnego — niekiedy nawet religijnego — związków źle dobranych, to jednak, w celu rozvodu lub unieważnienia małżeństwa, nie pozwala nigdy powoływać się na niepowodzenie jednego z małżonków. Przyjęto za zasadę słowa liturgii, świadczące, że związek trwałym ma być zarówno w doli jak i w niedoli, w zdrowiu jak w chorobie. Piętnuje przeniewierstwo; wysławia wierność w nieszczęściu. Jest to nawet jeden z tych truizmów, których zwykle nie wygląda

się; wspominamy o nim dlatego tylko, że rewelacye ostatniej doby wykazują — iż nie wszyscy tego samego są zdania. Istnieje w rzeczy samej różnica zapatrywań między Francją a Austrią co do faktu przeniewierstwa Maryi Ludwiki, porzucającej męża w r. 1814. — Czyżby książęta innym podlegali wymogom etyki aniżeli ich poddani? Czyż mniemać należy, że inne mają sumienie lub też inną tylko umysłowość? W obu wypadkach niemniej trudnem będzie porozumienie się a przyjęte wyniki niemniej będą sprzecznymi.

Mniemać jednak można, że jest tak istotnie i dlatego też, z punktu widzenia psychologicznego, Marya Ludwika należy do typów najbardziej charakterystycznych a tem samem najbardziej zajmujących. W naturze pierwotnej — nie przenoszącej w niczem przeciętnej psychiki kobiecej, o wrodzonych kobietom wadach i zaletach, zdolnej do poświęcenia, przywiązania, czułości, nawet zaparcia się siebie — stanowisko społeczne, dziedziczność, wreszcie wychowanie, wytworzyło specjalne cechy książęce, które pod pewnym tylko kątem widzenia pozwalają spoglądać na ludzi i rzeczy, nadają życiu nadludzkie niemal zabarwienie i stawiają prawo monarchiczne ponad prawem moralności.

Ostatnimi czasy, historycy austriaccy zaprzeczali istnieniu walki tych dwóch różnorodnych żywiołów, ścierających się w duszy cesarzowej, walki — którą uznano we Francji na chwałę Maryi Ludwiki. Twierdzą mianowicie, jakoby Marya Ludwika nie miała nigdy szczerzego zamiaru połączenia się z Cesarzem w Fontainebleau, jakoby nie

przeszkodził jej w tem przyjazd Szuwałowa — który rzekomo chciał jej towarzyszyć — jakoby dla uchylenia się przed tą podróżą wezwała interwencji ojca swego. Zdanie nasze nie tylko wręcz jest przeciwne, lecz opiera się nadto na nowych dokumentach; dyskusya zaś na tyle jest zajmującą że należy podtrzymać ją i wyczerpać wszystkie argumenty, ściśle trzymając się faktów i dat.

* * *

Marya Ludwika przybyła do Blois wieczorem, 2-go kwietnia 1814 roku — i zamieszkała tam na skutek rozkazu wysłanego przez Napoleona z Fontainebleau. Minister spraw wewnętrznych, nie wiedząc dokąd przeniesiony rząd cesarski, nie wiedząc również, czy znajdzie na miejscu drukarnię, zao patrolzył się na wszelki wypadek w proklamacye, w których — pozostawioną in blanco nazwę nowej rezydencji — wypełnić kazał następnie pisemnie. Proklamacye te oznajmiały prefektom i władzom państwowym, że tylko z Blois wychodzić będą prawomocne uchwały i rozkazy. Napoleon, który przebywa w Fontainebleau od 31-go marca, usiłując doprowadzić do skutku pertraktacye z carem Aleksandrem o utrzymanie swojej dynastyi — pisze do cesarzowej — rankiem 3-go kwietnia — i prosi ją, aby raz jeszcze spróbowała ubłagać swego ojca o względy dla syna swego. W tym celu Marya Ludwika, pisząc do cesarza austriackiego list istotnie wymowny, w którym dzwięczy nuta szlachetności i miłości dziecięcej i wręcza go Cham-

pagny'emu z poleceniem oddania go cesarzowi, gdziekolwiekby się znajdował.

Podpisuje równocześnie proklamacyę, której tekst został jej może nadesłany z Fontainebleau, lecz która ze wszech miar staje się wyrazem własnych myśli jej i uczuć, gdyż na każdym egzemplarzu wysyłanym prefektom — widnieje własnoręczny jej podpis; własnoręcznie również — o ile sądzić można z pisma — poprawia najwidoczniejsze błędy drukarskie, nader liczne w proklamacyi tej, w pośpiechu odręcznie drukowanej na papierze, którego nie zechciałby użyć do swoich rachunków najlichszy — najuboższy sklepikarz w Blois. Oto dosłowne brzmienie tej wzgardzonej przez historyę proklamacyi:

»Francuzi!

Wypadki wojenne wydały stolicę w ręce cudzoziemców.

Ku jej obronie Cesarz stanął na czele tylokrotnie zwycięskich wojsk swoich.

Stoją one pod murami Paryża, wobec nieprzyjaciela.

Tylko z wybranej przezemnie rezydencji, z kancelaryi ministrów Cesarza, wychodzić mogą jedyne obowiązujące Was rozkazy.

Miasta, które popadły w moc nieprzyjaciela, tracą wszelką swobodę. Wszelkie płynące z nich rozkazy są głosem wroga lub też odpowiadają rozpowszechnianym przez niego wrogim zamiarom.

Wierni będziecie Waszej przysiędze. Usłucha-

cie głosu księżniczki, która zawierzyła Waszemu słowu, która szczyti się tem, że jest Francuzką, że dzielić będzie niepodzielnie losy Władcy, dobrowolnie przez Was obranego.

Syn mój mniej pewien serc Waszych w dniach świetności.

Prawa jego i osoba pod Waszą są opieką!
Blois, 3. kwietnia 1814 r.

Marya Ludwika«.

Niema innego podpisu. Sekretarz regencji, Champagny, jest w drodze z listem do cesarza austriackiego a kanclerz państwa, któremu pod nieobecność sekretarza — przysługiwało prawo podpisywania, nie czyni tego.

Proklamacya ta jest preliminarjuszem, jest niejako zapowiedzią abdykacyi Napoleona na korzyść syna. Te trzy fakty: misya Caulincourt'a do kwatery cara rosyjskiego, misya Champagny'ego i proklamacya cesarzowej do narodu francuskiego w ścisłym ze sobą pozostają związku. Nikt zaprzeczyć nie może, że w danej chwili Marya Ludwika współdziałała z Napoleonem i przyjmowała ewentualność regencji.

4-go kwietnia, wobec buntu marszałków — odmawiających spełnienia rozkazów, Napoleon zmuszony jest działać, nie oczekując już dłużej na wyniki misyi Caulincourt'a. Układa i podpisuje deklaracyę, oświadczającą »iż gotów jest wyrzec się tronu, opuścić Francję a nawet rozstać się z życiem dla dobra ojczyzny, nieodłącznego od praw jego syna, regencji cesarzowej i ustaw Cesarstwa.

Ney, Macdonald i Caulincourt wiozą tę deklaracyę do Paryża; ma ona być podstawą negocyacyi z carem rosyjskim.

5-go kwietnia, o godz. 2 po północy, ks. Raguzy poddaje się Szwarcenbergowi wraz z dowodzonym przez siebie korpusem. Wszelkie negocyacye są zerwane. Aleksander żąda abdykacyi bez zastrzeżeń.

6-go kwietnia, marszałkowie przemocą niemal wydostają tę abdykacyę. Napoleon, podpisawszy ją, wysłał do Blois pułkownika Galbois z listem do cesarzowej i ustną instrukcyą. Aż do tej chwili — między Blois a Fontainebleau — widzimy ciągłą wymianę wrażeń i nadziei. Lecz nie nadszedł jeszcze moment decydujący, moment przełomu. Przełom rozpoczyna się istotnie dopiero wraz z misyą pułkownika Galbois.

Galbois (patrz Savary, Mémoires VII, 167 i Revue rétrospective, 167) przybywa do Blois 7-go kwietnia nad ranem. Cesarzowa pokazuje mu swoją proklamacyę »dopiero co wydrukowaną«, którą rozesłać chce w znacznej liczbie egzemplarzy, aby tem skuteczniej odwołać się do ogółu Francuzów. Wobec syna swego wyraża nadzieję, że naród go nie opuści. Przeczytawszy następnie listy Cesarza, w ciągu dnia po raz wtóry przyjmuje pułkownika. »Jej Cesarska Mość bardzo była wzruszona — opowiada Galbois — i oświadczyła mi, że pragnie połączyć się z Cesarzem a gdy zwróciłem Jej uwagę że jest to niemożliwe — odpowiedziała mi: »Dla czego niemożliwe — pułkowniku, skoro pan tam jedziesz. Obowiązkiem moim jest być przy boku

Cesarza w dniach niedoli. Chcę pojechać do niego i dobrze mi będzie wszędzie, gdziekolwiek Cesarz będzie się znajdował».

Na skutek usilnych perswazyi Galbois, godzi się jednak na opóźnienie wyjazdu i w myśl otrzymanych prawdopodobnie z Fontainebleau instrukcyi, wysyła do ojca swego ponowny list za pośrednictwem hr. Regnaud de Saint-Jean d'Angély.

Nietylko pułkownik Galbois świadczy, że w ciągu dnia 7-go kwietnia Marya Ludwika objawiała wyraźną chęć natychmiastowego wyjazdu do kwatery cesarskiej. Świadczy o tem pani de Luçay, której pisemne świadectwo streścił zięć jej, generał de Ségur; pani Durand, pierwsza dama dworu, i Meneval, przyboczny sekretarz cesarski. Wszyscy ci naoczni świadkowie zgodnie twierdzą, że Marya Ludwika, przewyciężywszy się, wyjeżdżać już miała do Fontainebleau, gdy powstrzymaną została przez ks. de Montebello, damę dworu, powiernicę swoją, przyjaciółkę, więcej nawet — bo duchową kierowniczkę. Pani de Montebello, oraz nieliczne kółko, którego była duszą (Bausset, Corvisart, Saint-Aignan) — umyśliła oddzielić losy cesarzowej od losów Napoleona, nie chciała dzielić doli wygnanca a wiedząc, co działo się w Paryżu od 3-go kwietnia — pragnęła wyjechać co rychlej z Blois i powrócić »do miłego swego domu przy ulicy d'Enfer«. Obawiając się przewagi »uczuc małżeńskich« w sercu Maryi Ludwiki, wysłała do znanego sobie oddawna Szwarzenberga, do Talleyrand'a oraz do członków Rządu Tymczasowego — barona de Saint-Aignan, koniuszego dworu cesarskiego, byłego ministra

Francyi przy dworze saskim, który utrzymywał stosunki z wszystkimi ministrami potęg sprzymierzonych, gdyż wiozł od nich do Francyi propozycje zwane propozycjami frankfurckimi. Saint-Aignan, szwagier Caulaincourt'a, w blizkich był stosunkach z panią de Montebello.

W intrygach tego rodzaju — poza mało w danym wypadku wartościowymi dokumentami urzędowymi, znać trzeba przede wszystkim wzajemne stosunki osób wchodzących w grę — stosunki rodzinne, stosunki miłości i przyjaźni. Faktem podrzędnym jest — że w d. 7-go kwietnia 1814 roku pewien podróżny jechał z Blois do Paryża; lecz, skoro podróżnym tym jest Saint-Aignan, wszystko innego nabiera znaczenia. Trzeba tylko wiedzieć dlaczego.

Rankiem, 8-go kwietnia rozgrywa się słynna scena między Maryą Ludwiką a szwagrami jej, Józefem i Hieronimem, którzy namawiają cesarzową do przejścia Loary i prowadzenia walki w dalszym ciągu. Marya Ludwika, uprzedzona przez Napoleona przeciwko Józefowi — niedowierza mu; odnosi nadto wrażenie, że w ostatnich czasach zachowanie się Józefa, generał-lejtnanta wojsk cesarskich, było dwuznaczne; dzielić chcąc los Cesarza — nie ma jednak żadnego zamiaru dzielić losu Bonapartów. Skądinąd Napoleon nie nakazywał bynajmniej prowadzenia dalszej walki — skoro abdykował, skoro w tej samej właśnie chwili pertraktował o władzę dla siebie, o niezależne państwo dla żony swojej i syna. Dlaczego miałaby Marya Ludwika podejmować w tych warunkach

walkę, której Napoleon zaniechał? A nietylko, że walki zaniechał, lecz co więcej — radził jej i nakazywał znajdować się w pobliżu ojca i pod jego oddać się opiekę. Przymus, wywierany na nią przez obu Bonapartych — jest jej wstrętnym a wstręt ten motywuje, tłumaczy i usprawiedliwia wezwanie o pomoc, jakie śle do ojca, prosząc go o azylum dla siebie i kilku wiernych sług swoich. — List ten zawiózł cesarzowi austriackiemu Saint-Aulaire.

Jeśli w liście tym nie upiera się już dzielić losu Napoleona, jeśli wytyka mu »wszystkie jego błędy«, jeśli — dla syna arcyksiężniczki — zbyt lichem wydaje się skromne dziedzictwo władcy Elby, to jednak trwa jeszcze niezłomnie w zamiarze wyjazdu do Fontainebleau. »Jadę jutro rano do Fontainebleau« — pisze do ojca.

Tymczasem, w południe, wraz z baronem de Saint-Aignan, przybywa hr. Szuwałow, adjutant cara rosyjskiego — z plenipotencją państw sprzymierzonych. Jaki jest cel misyi Szuwałowa? — Według historyków francuskich, ażeby powstrzymać — choćby nawet przemocą — Maryę Ludwikę od wyjazdu do Fontainebleau; według zaś historyka austriackiego — ażeby zawieźć Maryę Ludwikę do Fontainebleau. Czyż istotnie potrzebną jej była w tem przedsięwzięciu pomoc Szuwałowa lub też Saint-Aignan'a? Jeśli Szuwałow chronić ją miał przed wojskami sprzymierzonymi, które mogła napotkać w drodze do Fontainebleau — to słuchać powinien był jej rozkazów a nie narzucać swoją własną wolę. Tymczasem, oto co pisze dnia 8-go kwietnia prefekt departamentu Loir-et-Cher do mi-

nistra policji w Paryżu: »Okolo południa, przybył tu adjutant cara rosyjskiego; według raportu, jaki otrzymałem, sprawa załatwiona pomyślnie a cesarzowa ze spokojem i rezygnacją przyjęła zapowiedź zmiany miejsca pobytu«.

Tegoż samego dnia prefekt pisze do ministra: »Mam zaszczyt donieść Waszej Ekscelencyi, że przybył tu dziś rano adjutant cara rosyjskiego i oficer Napoleona Bonaparte'go z rozkazem wyjazdu cesarzowej Maryi Ludwiki, całego dworu i wojsk, które towarzyszyły jej do Blois«.

»Ministrowie zdetronizowanej dynastji uwożą z sobą wszystkie dokumenta, skarb itp. pod eskortą 1500 kawalerzystów francuskich«.

»Jutro konwój ten nocować będzie w Orleans«.

Dokumenty — znalezione ostatnimi czasy w Archiwum narodowem — wykazują zatem, że wyjazd Maryi Ludwiki do Orleanu, rankiem 9-go kwietnia, nie był wynikiem naglej decyzji; że nie polecono bynajmniej Szuwałowowi odwiedzić Maryę Ludwikę do Fontainebleau, lecz do Orleanu; że — jak wspomniałem o tem powyżej — Szuwałow przybył do Blois w towarzystwie barona de Saint-Aignan; czyli, że słusznem jest stanowisko zajmowane przez historyków francuskich wobec intrygi w Blois.

Czy należy wnioskować stąd, że Marya Ludwika przemocą zniewolona została do posłuszeństwa? Bynajmniej. Jeśli trwała w zamiarze wyjazdu do Fontainebleau, to jednak decyzja jej nie była na tyle stanowczą, aby trzeba było użyć prze-

mocy. Odruchy duszy słabej, mierną kierowanej inteligencją, różnorodne są i sprzeczne. Marya Ludwika bądź to skłaniała się ku tym, którzy pragnęli zbliżyć ją do męża, w imię przyjętych dobrowolnie obowiązków, bądź też słuchała głosu tych, którzy przemawiali do niej w imieniu ojca i potęg sprzymierzonych, biorąc w rachubę siłę instynktu, dziedziczności i rygoru lat dziecięcych. A wpływ ich wzrastał w miarę jak malały szanse Napoleona, jak zwiększała się obawa przemocy ze strony Józefa i Hieronima; w miarę jak krzewiła się w sercu Maryi Ludwiki nadzieja, że pod wpływem uczuć ojcowskich cesarz austriacki zapewni zarówno jej samej jak i synowi jej stanowisko godne arcyksiężniczki. W każdym jednak razie nie od razu opuściła męża — na pierwszą wieść o abdykacji. Jakkolwiek krótkotrwałą była walka wewnętrzna, istniała jednak. Książęce pochodzenie nie zatarło więc w duszy Maryi Ludwiki tego wszystkiego, co czczonem jest w społeczeństwach Zachodu i zanim popełnionym został nieodwołalny błąd — słabe poczucie obowiązku odezwało się w tem cesarskiem sumieniu. Bardziej jeszcze niżli na nią, wina spada na jej otoczenie, na doradców i kierowników, zarówno w Blois jak i później — w Orleanie i Rambouillet, w Aix-les-Bains, w Wiedniu i Parmie.

WAHANIA SIĘ MARYI LUDWIKI. KWIECIEŃ 1814.

Dr. Fournier, którego wcale nie wymieniłem w artykule poświęconym Maryi Ludwice w Blois, pragnie widocznie wywołać polemikę, mojem zdaniem zbytęzną. Przedstawiam fakty, opierając opowiadanie o tych faktach na autentycznych dokumentach lub wiarogodnych świadectwach. Wolno p. d-rowi Fournier przeczyć rozumowaniu, które według mnie żadnej nie podlega dyskusyi. Publiczność osądzi.

Wskutek dziwnej zamiany ról, Francuz — bonapartysta dni minionych i doby jutrzejszej, przez cześć dla prawdy i poszanowanie dla własnych przekonań historycznych, twierdzi, wbrew Austryakowi, którego trudno byłoby posądzić o miłość dla Napoleona — że arcyksiężniczka austriacka, Marya Ludwika, nie odrazu powzięła myśl porzucenia męża, w pierwszych zaraz dniach klęski. Porównując uważnie dokumenty historyczne, znalazłem w nich niezbity dowód, że we Francyi opinia publiczna zbyt była surową dla tej kobiety; że jednak — przed powzięciem ostatecznej decyzji — Marya Ludwika stawiała opór presyi i namowom, że w duszy jej rozegrała się walka, że jakkolwiek

mało okazała bohaterstwa, zasługuje na to przynajmniej, aby przed wydaniem potępiającego wyroku wziąć pod uwagę dziedziczość, jaka na niej ciążyła, wpływ wychowania i rygoru rodzinnego, wpływ otoczenia, chwiejność jej charakteru oraz okoliczności, w jakich się znajdowała. O tem właśnie mówiłem. Według dra Fournier'a nie było ani walki wewnętrznej, ani presyi, ani oporu.

Stawiam więc tego rodzaju dylemat: albo mam słuszość — opierając zdanie moje na listach Napoleona do Maryi Ludwiki i odpowiedziach Maryi Ludwiki, których jeśli nie dosłowny tekst (Napoleon spalił sam lub też spalić kazał wszystkie osobiste papiery swoje), to przynajmniej treść jest nam znaną, na listach Maryi Ludwiki do ojca, na liście cesarza austriackiego do Napoleona, wreszcie na zeznaniach — absolutnie zgodnych — świadków Francuzów, tych nawet, którzy dążyli do rozdziału i w tym kierunku działali; lub też jestem w błędzie, a w takim razie trzeba mi tego dowieść, poza jednym listem, którego tekst jest wątpliwy — trzeba dostarczyć dowodów pozytywnych, dowodów niezbitych — że Marya Ludwika kłamała, pisząc do ojca, kłamała zwierając się pani de Lucçay, pani Durand i Meneval'owi — którzy kłamstwa te w dobrej wierze powtórzyli, kłamała symulując duchową rozterkę — którą stwierdził Marchand, Haussonville, nawet Bausset; a jeśli tak było istotnie — jakąż ohydłą komedję odgrywała ta kobieta wobec człowieka, z którym dożgonny łączył ją węzeł, z którym zgodziła się dzielić tron i łożę, z którym poczęła syna; jakąż komedję odgrywała

ta monarchini wobec otaczających ją Francuzów i jak dalece zapoznano zarówno inteligencyę jej jak charakter, skoro — w przeciągu tygodnia, nie zdradziwszy się w niczem i wobec nikogo, potrafiła utrzymać się w tej roli: deklamując, gestykulując i płacząc, skoro tak doskonałą była aktorką, że poza i komedya było w niej wszystko: zmizerowanie, ubytek sił, groza śmierci. Jakżeż zręczną musiałaby być, wytrwałą i pomyslową, aby wywoływać w osobach postronnych wrażenia, których sama nie doznawała, aby rozporządzać dowolnie w pewnych chwilach odpowiednią intonacyą głosu, gestami i łzami, aby — powziawszy już nieodwołalną decyzję — wpoić w swoich szambelanów, w prefekta pałacowego i damy dworu przekonanie, że duszą jej targa rozpacz i zwątpienie!

Albo kobieta ta jest szczerą i przysługuje jej wtedy pewne prawo do okoliczności łagodzących; albo najprzewrotniejszą jest z istot ludzkich a wówczas niewiadomo jaką napiętnować ją ohydą, jakim równocześnie otoczyć podziwem!

Dziwniejszem jeszcze jest to, że ani w dzieciństwie i latach młodzieńczych (stwierdzają to jej listy), ani podczas panowania we Francyi, ani też w czasie pobytu w Austrii, lub na tronie Parmy, nigdy — w jej zachowaniu się — nie odnajdujemy śladów inteligencyi, sprytu i zdolności dyplomatycznych, lecz przeciwnie tylko naiwność i płochość. Wówczas więc tylko, w ciągu owych dwóch tygodni, byłaby się ujawniła w Maryi Ludwice wytrawna — natchniona niemal aktorka, aby następnie

spaść zaraz do rzędu najprzeciętniejszego typu kobiety — płytkiej i kapryśnej.

Dylemat jest postawiony. Kto go rozstrzygnie?

* * *

Wykazałem w poprzednim artykule, że cesarzowa Marya Ludwika nie odrazu zdecydowała się wyjechać z Blois do Orleanu, lecz że nagłona była do wyjazdu przez hr. Szuwałowa, przedstawiciela mocarstw sprzymierzonych; zwróciłem uwagę na to, że misya Szuwałowa zdaje się być wynikiem podróży — z Blois do Paryża — barona de Saint-Aignan, koniuszego dworu cesarskiego, szwagra Caulaincourt'a i kochanka pani de Montebello. W każdym bądź razie, nagły wyjazd br. de Saint-Aignan i jego powrót razem z Szuwałowem — potwierdzają to mniemanie. Byłem i jestem przekonany — jak wszyscy zresztą wierni słudzy Cesarza — że z chwilą przybycia Szuwałowa »seperacya stała się faktem dokonany«.

Dr. Fournier przeciwstawia temu — najpierw w »Deutsche Rundschau«, następnie w »Revue historique« — dokument, do którego wielką przywiązuje wagę, który dziś jeszcze stanowi podstawę jego argumentacji: jest to list p. de Stadion do Metternicha, pisany 10-go kwietnia, w Chatillon-sur-Seine, a którego pierwsze zdanie brzmi jak następuje: »Cesarz dowiedział się przed chwilą z raportu hr. Szwarzenberg'a, że generał hr. Szuwałow wysłany został do Blois, do arcyksiężniczki Maryi Ludwiki, aby odwiedzić ją do Fontainebleau«. Cesarz Franci-

szek wyraźny wydaje rozkaz »powrotu córki wraz z dzieckiem w granice państwa austriackiego, gdzie będzie mógł zapewnić tak jej jak i dziecku stanowisko, odpowiadające wysokiemu urodzeniu arcyksiężniczki, aż do czasu, w którym los jej rozstrzygnie się ostatecznie«.

Objawem uczuć ojcowskich jest niewątpliwie pośpiech, z jakim oświadcza, że »arcyksiężniczka rozeszła się z mężem« oraz środki, jakich się ima, aby nie dopuścić do wyjazdu do Fontainebleau; lecz czyż nie nasuwa się tu przypuszczenie, że obawy swoje wziął za rzeczywistość i że niedostatecznie poinformowany był o misyi Szuwałowa, Monarcha, który, wbrew protokołowi, podpisanemu tegoż samego dnia (10 kwietnia) przez Metternicha wbrew art. 2-mu traktatu, układanego od dni czterech a podpisanego nazajutrz 11-go kwietnia, zdejmując koronę cesarską z głowy własnej córki i odbiera jej tytuł, w dalszym ciągu zgodnie przyznawany jej przez całą Europę.

Albo źle jest informowany i złych ma doradców, albo też nienawiść, jaką żywi dla zięcia, zaślepia go do tego stopnia, że zapomina o artykułach traktatu, zawieranego w jego imieniu. Jest to jednak tylko szczegół. Rzeczą najważniejszą jest dowiedzieć się, kto wysłał Szuwałowa. Czy — jak ogólnie dotąd mniemano — wysłał go naczelny wódz, ks. Szwarzenberg, czy też car Aleksander? Jeśli car Aleksander, to wrodzona mu wspaniałość, rycerskość, cześć dla niedoli, stanowisko, jakie zajmie następnie w stosunku do Napoleona, Józefiny, Hortensyi, Eugeniusza, Katarzyny, nawet

w stosunku do Maryi Ludwiki — naprowadzić mogą na myśl, że oddać chciał niezmierną przysługę zarówno Napoleonowi, jak Maryi Ludwice, ułatwiając im połączenie się w dniach niedoli i klęski, w chwili, w której — jego zdaniem — żona nie mogła opuścić męża. W takim razie, zachowanie się jego stanowiłoby rażący kontrast z zachowaniem się rodzzonego ojca Maryi Ludwiki. Jest to wszakże tylko hipoteza, żadnym nie poparta dokumentem. Wprawdzie, 11-go kwietnia, za pośrednictwem cara Aleksandra, Metternich dał Szuwałowowi instrukcje współdziałające z zabiegami emisaryuszów austriackich, lecz był to jedynie objaw kurtuazji, bo oficjalne starania czynić mógł tylko naczelný wódz ks. Szwarzenberg.

Pozostaje nam do wyjaśnienia fakt następujący: że Marya Ludwika opuściła Blois 9-go kwietnia o godz. 10 rano, że przybyła do Orleanu tegoż dnia o godz. 4^{1/2} p. p., że od 9. do 12. kwietnia w południe — Szuwałow dowieźć mógł cesarzową do Fontainebleau i że nie odnajdujemy nawet śladu podobnych zamiarów, wówczas gdy naoczni świadkowie zgodnie twierdzą, iż »ukrywać trzeba było niestety!« — projektowany przez Maryę Ludwikę wyjazd do męża, iż sprowadzonym być miał powóz »aż do tajemnych drzwiczek«, co wskazywałoby nie wyjazd lecz ucieczkę. Jeśli więc misją Szuwałowa było odwiezienie cesarzowej do Fontainebleau, to dlaczego zachowywano się względem niego nieufnie, dlaczego zwlekał aż trzy dni ze spełnieniem swego obowiązku, dlaczego nie wspominał żadnemu z członków dworu cesarskiego o celu

misji swojej, co utrzymała ich w przekonaniu, że podróż wręcz przeciwny odnieść miała skutek?

Trudno jest zaprzeczyć, że dokument ten, sam w sobie, poważny stanowi szkopuł; sądę wszakże, że o ile nie zostanie poparty dokumentami, których dostarczyć jeszcze może Archiwum rosyjskie, nie zdoła obalić moich w tej sprawie poglądów.

Co się zaś tyczy innych argumentów, to mniemam, że nie wytrzymają one analizy.

Powiedzianem było, że Orlean leży na drodze do Fontainebleau i że Szuwałow, odwożąc przez mocą cesarzową do męża, obrał Orlean za pierwszy etap. Czy istotnie Orlean leży po drodze do Fontainebleau? Tak samo jak Paryż położony jest po drodze do Rzymu. W rzeczywistości istniał podówczas jeden tylko trakt pocztowy, prowadzący z Blois na północ przez Mer, Beaugency, Saint-Ay i Orlean.

Z Orleanu trakt nie zbaczał do Fontainebleau, lecz mijał Chevilly, Artenay, Toury, Angerville, Mondésir, Etampes, Etréchy, Arpajon, Longjumeau i Berny. Chcąc dojechać z Orleanu do Fontainebleau, trzeba było zboczyć z traktu w Toury, mijając z kolei Chilleurs-aux-Bois, Pithiviers, Malesherbes i La Chapelle. Droga prowadząca z Toury do Pithiviers była to t. zw. droga departamentalna. Nietylko źle utrzymana, lecz niepewna, jak świadczy o tem wypadek, jaki spotkał w tem miejscu w dziesięć dni później — Katarzynę ks. westfalską, która stwierdza osobiście rozpaczliwy stan dróg. Płonne obawy, rzeczy można. Widocznie nie-
płonne, skoro 12-go kwietnia pułkownik Markiz

d'Espinay-Saint-Denis, napróżno czyni u Rządu Tymczasowego starania o powierzenie mu w tym właśnie kierunku misji, którą dzięki poparciu aliantów, poruczona zostanie 16-go kwietnia p. de Maubreuil.

Orlean leży raczej przy drodze do Rambouillet, skoro, dążąc traktem cesarskim do Arpajon, dojeżdża się do Rambouillet przez Orsay, Versailles i Coignières, pięknymi drogami, okalającymi rezydencje monarsze.

Argument upada zatem i traci wszelkie znaczenie.

Marya Ludwika poddała się rozkazom przywiezionym przez Szuwałowa. Dlaczego? — W pierwszym rzędzie dlatego, że obawia się zamachu ze strony Czerniszewa. »Czerniszew — pisze ona do ojca 8-go kwietnia — znajduje się w pobliżu z 3.000 kozaków; misja jego wielką otoczona jest tajemnicą; przeczuwam, że polecono mu wziąć nas do niewoli. Proszę cię więc, kochany Ojczy, o schronienie w państwach Twoich dla nas i dla kilku sług, które pozostały mi wierne w niedoli... Będę posyłać Ci codziennie wiadomości o sobie i proszę Cię — Ojczy — zawiadamiać mnie również codziennie, gdzie się znajdujesz, abym mogła natychmiast podążyć do Ciebie w razie nieszczęścia...« (Helfert 303).

Następnie dlatego, że obawia się być uwięzioną przemocą do Bourges przez braci męża, do których żadnego nie ma zaufania. »Lęka się nowej zmiany miejsca pobytu i związanej z nią ponownej tułaczki, której kresu trudno przewidzieć«. Nie chce

ani sprzeciwiać się zamiarom i woli Cesarza, który ulega i abdykuje, ani też — z bronią w ręku — rewindykować praw syna swego do korony cesarskiej. Polega całkowicie na opiece cesarza austriackiego. Wzywa więc przeciwko tym, którzy pragną bronić jej tronu — pomocy tych, którzy usiłują obalić go. Np. prefekt departamentu Loir-et-Cher, do którego p. d'Haussonville zwraca się o pomoc, który »zapewnia cesarzową, że nic jej nie grozi, że gwardya narodowa potrafi obronić ją aż do chwili wydania nowych rozporządzeń rządowych« — współdziałał w akcie detronizacji, odbierał i wykonywał rozkazy paryskiego ministra policyi, lekceważąc sobie rozkazy ministrów z Blois.

Epizod ten tłumaczy dostatecznie ustęp z listu, pisanego przez Maryę Ludwikę do ojca, z Orleanu d. 10 kwietnia: »Stanowisko moje z dniem każdym bardziej staje się krytyczne i naglące. Wbrew woli mojej chcą mnie stąd wywieźć. Polegam w tej mierze całkowicie na zdaniu Ojca. Ustnie wszystko lepiej opowiem. Błagam o natychmiastową odpowiedź, gdyż zamieram z trwogi«.

Kogo obawia się tak dalece Marya Ludwika? Nie Napoleona, gdyż tegoż samego dnia Meneval otrzymuje z Fontainebleau list, dyktowany przez Cesarza, którego »największą troską jest myśl o trudnem położeniu, w jakim znajduje się cesarzowa i o ujemnym wpływie, jaki wyrzucić mogą na jej zdrowie kłopoty i zmartwienie«. Meneval otrzyma również niebawem, lub też już otrzymał list z 10. kwietnia, który opiewa, że »Cesarz życzy sobie, abyś pan starał się przeniknąć istotne za-

miary cesarzowej i dowiedział się, czy Jej Ces. Mość podzieli los Cesarza w dniach niedoli, czy też będzie wolą usunąć się wraz z synem bądź to w granice przyznanego sobie państwa, bądź też na dwór austriacki. Tego samego dnia — prośba o wiadomości i o wybadanie lejbsmedyka Corvisart'a; 11-go kwietnia, o czwartej zrana — aprobata projektowanego wyjazdu do cesarza Franciszka II-go.

A zatem Napoleon ani nie wywiera na Maryę Ludwikę żadnej presji, ani tem bardziej nie zamierza wywieźć jej przemocą. Dotychczas żaden historyk nie wypowiedział podobnego poglądu. Lecz obaj bracia Bonaparte, Józef i Hieronim, nie zaniechali może zamiaru walki. Jeśli Szuwałow, będący plenipotentem aliantów, wywiera w Orleanie wpływ moralny, to władza istotna spoczywa w rzeczywistości w rękach Cafarelli'ego. Tysiąc trzystu kawalerzystów Gwardyi — 1.500 według prefekta departamentu Loir-et-Cher, 4.300 według Menevala — eskortowało cesarzową pod jego dowództwem z Blois do Orleanu. W Orleanie stanęli kwaterą w gmachu wielkiego seminarium obok pałacu biskupiego, w którym zamieszkała cesarzowa. Wszyscy ci żołnierze — grenadyerzy, strzelcy, ułani, dragoni — wszechświatowej zażywają sławy, z przyszłowiowego słyną męstwa i wierności. Nikt nie zwolnił ich z przysięgi złożonej orłom cesarskim. Nikt nie zdołał nakłonić do zdrady i dezercyi. Odesłani przez Maryę Ludwikę z Angerville, 13-go kwietnia, podążą nie do Paryża, lecz do Fontainebleau, gdzie oczekiwać będą z niepokojem pamię-

tnego dnia 20-go kwietnia, dnia — w którym Cesarz osobiście zwolni z przysięgi swoich starych wiarusów, dziękując Gwardyi za jej bezgraniczne poświęcenie.

Możliwem jest, iż grasowały po lasach oddziały kozackie, lecz rozpraszał je snadnie błysk pałaszy jednego plutonu grenadyerów. Gdyby w tych dniach pogromu najhartowniejszych jednostek i charakterów, bracia Cesarza — oceniając trafnie zarówno obowiązek swój jak osobisty interes — byli rewindykowali prawa Napoleona II-go, byli podjęli przeciwko Burbonom i ich poplecznikom hasła walki narodowej i rewolucyjnej, gdyby byli skłonili cesarzową do wyjazdu wraz z dzieckiem cesarskiem do prowincyi środkowych, tej naturalnej fortecy Francyi wobec której zachwiała się potęga Juliusza Cezara — kto wie, czyby wznowienie cudów z r. 1792 nie było wreszcie wyparło najeźdźcy i popieranym przezeń monarchów? Lecz tego właśnie obawiała się Marya Ludwika. Lękała się o siebie, zdrowie swoje i dalsze losy. Bynajmniej nie była przygotowana duchowo do takiego heroizmu i w chwili, kiedy Napoleon wyrzeka się walki, czyż można mieć za złe słabej kobiecie, że boi się podejmować ją na nowo?

Z trzech, narzucających się jej ewentualności, Marya Ludwika nigdy o tej trzeciej nie myślała i gdy Bonapartowie przemocą skłonić ją zamierzają do swoich projektów, wzywa pomocy — najpierw szambelanów, prefektów pałacowych, oficera dyżurnego, prefekta departamentu Loir-et-Cher i jego gwardyi narodowej, następnie pomocy ojca

swego i jego sprzymierzeńców; lecz waha się ustawicznie między pozostałymi dwiema ewentualnościami: wyjazdem do Fontainebleau — do męża i wyjazdem do kwatery ojcowskiej. Waha się jeszcze 8-go kwietnia, pisząc do ojca: »Jadę jutro rano do Fontainebleau«. (Helfert, 307). — (Byłby to jedynie słaby punkt argumentacyi, gdyby nie to, że list ten został napisany na kilka godzin przed wyjazdem hr. Szuwałowa). Waha się 9-go kwietnia — w chwili powrotu ks. Cadore'y, który dotarł do cesarza austriackiego w Chateaux, o dziesięć mil od Dijon, i z ust jego słyszał serdeczne li tylko zapewnienie przyjaźni i poświęcenia dla córki i zięcia (Champagny, 153) — skoro według świadectwa Meneval'a »uchyla się przed radami pani de Montebello, nawpół ubrana rzuca się w objęcia pani de Montesquiou a trwając w zamiarze połączenia się z Cesarzem, nakazuje czynić przygotowania do wyjazdu. Czekamy tylko — dodaje on — na powrót p. de Saint-Aulaire i p. de Bausset«.

Oto dwaj nowi świadkowie. Co mówią oni? Świadectwo Saint-Aulaire'a dochodzi nas tylko za pośrednictwem d'Haussonville'a. Składa się z kilku następujących słów: »Cesarzowa zdecydowaną jest dzielić w zupełności dalsze losy Napoleona, wyjechać z nim na wyspę Elbę« (Haussonville, 81). Bausset zaś — markiz de Bausset, który w pierwszych zaraz dniach klęski odrzucił tytuł barona Cesarstwa, niby podarty łachman — świadczy za własnem swoim pośrednictwem. 14-go kwietnia pisze on z Rambouillet do przyjaciela swego i współnika Mounier'a: »Od kilku dni zajęty jestem pod-

sycaniem nadziei w sercu cesarzowej i zwalczaniem powrotu naiwnego sentymentalizmu. Rozmowa, jaką prowadziłem w poniedziałek w Fontainebleau, dała mi do rąk potężną broń do rozwiązania węzłów małżeńskich, według mnie już nieważnych. Zdołałem nawet tu przyjechać, nie oglądając się na rozkazy lub aprobatę Cesarza.«

Szlachetne te zamiary bynajmniej nie przeszkadzają Bausset'owi kursować między Rambouillet a Fontainebleau, ani też przejmować powierzonych mu przez Cesarza listów. (Świadczy o tem list z 20-go kwietnia). Lecz są również i inni, werniejsi wysłańcy. Między nimi Marchand, podówczas szatny cesarski, syn niańki króla Rzymskiego, pokojowy Cesarza na wyspie Elbie i na wyspie św. Heleny, wierny przyjaciel w niedoli, niezmiennie wiarogodny i najlepiej poinformowany świadek. W niewydanych dotąd pamiętnikach swoich, Marchand pisze: »Powtórzyłem Cesarzowi to, co powiedziałem mi zostało przez służbę Jej Ces. Mości: że cesarzowa zamierzała połączyć się z Cesarzem w Fontainebleau, lecz, że gdy tylko zauważono, iż utwierdza się w tym zamiarze — zawiadomiono natychmiast hr. (sic) Szwarcenberga, który przysłał zaraz wojsko, mające nie dopuścić do wyjazdu; że — na ogół — najbliższe otoczenie cesarzowej źle było względem jej projektów usposobione; zapewniono mnie, iż p. Corvisart, lejbn. medyk, oświadczył cesarzowej, że klimat wyspy Elby nieodpowiednim jest dla jej zdrowia, inni zaś, że Cesarz, żywiący urazę do jej ojca, mniej życzliwieby ją powitał; że wreszcie w interesie króla

Rzymskiego, pożądanym jest jej wyjazd do ojca; że cesarzowa, znużona i chora wskutek całej tej szarpaniny, zasięgała rady hr. de Montesquiou, która odpowiedziała jej, iż droga wiodąca do Cesarza była drogą obowiązku, jedyną dobrą; »Taki jest istotny mój zamiar« — rzekła na to cesarzowa; lecz powróciwszy do siebie, Jej Ces. Mość znów dała ucho doradcom; zdecydowano ostatecznie wyjazd do Rambouillet, dokąd przybyła chora i zgnębiona tem, że osoby, na których przyjaźń liczyła najwięcej, dążyły usilnie nawet wobec niej do rozwiązania dramatu, rozwiązania — dozwalającego im powrócić do zwykłego trybu życia.«

Pomijam świadectwa drugorzędne, jak np. świadectwo ks. Vicenzy, przytoczone przez Thiers'a, któremu znane były niewydane pamiętniki wielkiego koniuszego. Pomijam również — bojąc się przedłużyć nadmiernie szkic niniejszy — istniejące dowody trzech czynników, którymi posługiwano się, aby skłonić Maryę Ludwikę do powzięcia ostatecznej decyzji: zdrowie — świadectwo Corvisart'a, brak przywiązania ze strony Cesarza — wezwanie do Rambouillet Constant'a i Roustam'a; przyszłość króla Rzymskiego i pokładanie ostatecznej nadziei w cesarzu austriackim. Pomijam wszystkie listy Napoleona i Maryi Ludwiki. Cytuję jedno tylko zdanie z listu, pisanego przez Maryę Ludwikę do ojca z Rambouillet, d. 13-go kwietnia: »Tylko ta przyczyna (chęć ujrzenia go) skłonić mnie mogła do tej podróży i odwieść od zamiaru natychmiastowego wyjazdu do Cesarza, który oczekuje mnie w Fontainebleau«. (Helfert, 322 i fac-Simile).

A zatem nadzieja uzyskania dla syna czegoś więcej, aniżeli wyspa Elba, aniżeli nawet Parma i Piacenza — pociąga ją do Rambouillet, 12-go kwietnia, na skutek listów Metternicha, z których jeden przywozi Bausset (list cytowany przez Menewała), drugi — ks. Paweł Esterhazy i ks. Wacław Lichtenstein.

W osobach ich przybywają nam dwaj nowi świadkowie, na których paść nie może nawet cień podejrzenia, których zdanie większe ma znaczenie niż świadectwo służby, dam dworu i szambelanów, chętnie roznoszących plotki. Obaj — wrogami są Napoleona, Austryakami i księżętami. Co mówią? — »Ks. Esterhazy i ks. Wacław Lichtenstein — pisze 13-go kwietnia w pamiętniku swoim lady Burghersch (225) — wrócili dziś do Paryża z Fontainebleau (sic), dokąd jeździli do Maryi Ludwiki z ramienia cesarza austriackiego. Byli dziś u nas na obiedzie i opowiadali mi o niej. Płakała bardzo, lecz zgodziła się porzucić Bonaparte'go... Mówiła, iż nie chce widzieć się z nim przed wyjazdem, gdyż wie o tem, że gdyby Bonaparte prosił ją, aby mu towarzyszyła, nie potrafi odmówić jego prośbie, lecz, że chcąc być posłuszną woli ojca i pragnąc dobra swego dziecka — godzi się wyjechać do Wiednia«.

Świadczą więc zgodnie zarówno Austriacy jak i Angielka, z najwyższych sfer towarzyskich, której zjadliwe uwagi rozmyślnie pomijam. Wszyscy zatem dali się wyprowadzić w pole; wszyscy, nawet sama Marya Ludwika, skoro zwierzyła się z tem arcyksięciu Janowi;

wszyscy uwierzyli, że wahała się zanim ostatecznie porzuciła męża — wszyscy, za wyjątkiem światłego mego przeciwnika. Mawiano we Francji: »dowcipniejszym od Voltaire'a jest ogół.« Dr. Fournier nie urazi się chyba, jeśli porównam go w tym względzie do Voltaire'a.

GENERAL HR. DE FLAHAUT¹⁾
CZERWIEC 1815.

¹⁾ Artykuły te ukazały się 27. i 29. listopada 1881 r. w »Le Napoléon«. Oparte są na dokumentach łaskawie mi użyczonych przez markizę de Lavalette z domu Flahaut.

W wydanem ostatnimi czasy dziele historycznem napotykamy zdania i poglądy, rzucające cień na pamięć jednego z najwierniejszych sług Napoleona I-go, generała hr. de Flahaut. Za życia swego generał kilkakrotnie zmuszony był prostować fakta, ponownie dziś omawiane. Liczono może na to, że śmierć p. de Flahaut uniemożliwiła dalszy protest. Daremne rachuby: umierając, generał pozostawił notatki, dotyczące danych faktów, a notatki te w moich znajdują się rękach.

Na czem polega oskarżenie?

Postawiono p. de Flahaut zarzut, że był żołnierzem tylko od parady; że awans swój zawdzięczał jedynie sukcesom towarzyskim; że w r. 1815 dwulicową odegrał rolę; że — po Waterloo — zasłużył sobie na surową naganą marszałka Davout. Łatwo będzie odpowiedzieć pokrótce, przeciwstawiając kilka ważniejszych dat i nieco autentycznych dokumentów poglądom, wypowiedzianym w powyższem dziele przez markizę do Bloqueville, z domu Davout.

August — Karol — Józef de Flahaut de la Billarderie urodził się w Paryżu 21-go kwietnia 1785 roku. Pochodził z rycerskiego rodu. Pra-pradziad jego był pułkownikiem-lejtnantem pułku Saint-Germain-Beaupré; dziadowie, rodzony i cioteczny, generał-lejtnantami z prawem do Wielkiego Krzyża orderu św. Ludwika; z trzech jego stryjów, najstarszy był generał-lejtnantem, dwaj młodsi, marszałkami polowymi; do tej samej rangi doszedł ojciec jego. Z tych czterech braci, wyższych oficerów sztabowych, najstarszy używał tytułu markiza de la Billarderie; drugi z rzędu, kawaler Maltański, kawalera de la Billarderie; trzeci, hr. d'Angeviller, był dyrektorem gmachów królewskich i twórcą muzeum w Luwrze; czwarty wreszcie zwał się hr. de la Billarderie. W roku 1777, ożenił się z pną Filleul, znaną następnie w literaturze pod nazwiskiem pni de Souza — i miał z nią to jedno dziecko. W r. 1788, po śmierci Buffon'a, hr. d'Angeviller uzyskał dla brata swego nominację na urząd dożywotniego intendenta ogrodów królewskich. Lecz p. de la Billarderie niedługo sprawował urząd intendenta. Mimo to oddał ogrodowi królewskiemu znaczne usługi a imię jego dotąd wdzięcznie jest wspominane w Muzeum. Wybuchła Rewolucya. Pni de la Billarderie opuściła Francję; p. de la Billarderie odmówił złożenia przysięgi nowemu rządowi konstytucyjnemu i schronił się do Boulonnais, rodzinnej swojej ziemi. Dwa lata później przypłacił głową swoje uczucia monarchiczne.

Pni de Flahaut, wyemigrowawszy do Anglii, wyczerpała wkrótce wszelkie zasoby pieniądze.

Aby mózdz utrzymać się i opłacić kosztą wykształcenia syna, napisała wówczas pierwszą swoją powieść: »Adèle de Sénanges«. Lecz Anglia była lichym rynkiem zbytu dla książek francuskich: nieszczęśliwa kobieta, spodziewając się odnaleźć na kontynencie nieco dawnych przyjaciół, wyjechała wraz z synem do Niemiec. Nic więc dziwnego, że p. de Flahaut równie biegle mówił trzema językami; nauczył się ich wszakże nie w salonach, lecz wśród wygnańczej tułaczki.

Pod koniec Dyrektoryatu, pni de Flahaut zdołała powrócić do Francji i od tejże chwili syn jej postanowił poświęcić się służbie ojczystej. 23-go września 1799 r. przyjęty został jako nadetatowy inżynier hydrograf do generalnego Dépôt marynarki. Jeśli jednak ten rodzaj zajęcia korzystnym był dla jego studyów, to skądinąd nie odpowiadał bynajmniej wrażliwemu jego usposobieniu i rycerskim instynktom. Gdy generał Bonaparte powrócił z Egiptu, groziło Francji niebezpieczeństwo a rezultat zwycięstw Armii włoskiej był zachwiany; silną dłońią Bonaparte objął wówczas rządy, gotując się do odparcia koalicji. Młody Flahaut zapragnął stanąć w szeregach Armii rezerwowej. Oto list, nadto może śmiały, który napisał do pierwszego Konsula:

»Generale, mam dopiero lat szesnaście, ale zdrów jestem i silny. Władam trzema językami na tyle dobrze, że kilkakrotnie, w odnośnych trzech krajach, nie można było rozróżnić, do jakiej na-

leżę narodowości, czy jestem Anglikiem, Niemcem czy też Francuzem.

»Zbyt młody na żołnierza, ośmielam się prosić Cię, Generała, o rangę przybocznego Pańskiego adjutanta. Może Pan być pewny, że polegnę lub też usprawiedliwię Pański wybór pod koniec kampanii.

»Abyś mógł zaufać — Generale — uczuciom moim, powołam się na przykład, który będzie mi w życiu drogowskazem.

»Ojciec mój skazany został na śmierć podczas Teroru. Po wydaniu wyroku, matka moja — przy pomocy więziennego dozorca — ułatwiła mu ucieczkę z więzienia. Lecz nazajutrz zaraz uwięziono z kolei usłużnego dozorcę, oskarżając go o współudział w ucieczce. Dowiedziawszy się o tem ojciec opuszcza bezpieczne schronienie, udaje się do Komuny mówiąc, że nie chce, aby ktokolwiek cierpiał niewinnie za niego — i ginie w dwie godziny później. Czy wobec tego sądzisz — Generale, że wiernym będę Tobie i czci rycerskiej?

»Cześć i pozdrowienie.

Karol Flahaut.«

Jakkolwiek pierwszy Konsul nie przychylił się do prośby dziecka (Flahaut miał wówczas tylko lat piętnaście i w liście tym dodawał sobie rok), lecz odesłał list generałowi Dumas; 24-go marca 1800 roku dozwolono młodemu Flahaut zaciągnąć się do ochotniczego korpusu huzarów. Był to korpus doborowy, który towarzyszyć miał generałowi Bonaparte'mu podczas kampanii w charakterze eskorty.

Szwadron huzarów Bonaparte'go — zwanych Kanarkami od żółtych dolmanów — nie przeżył kampanii Marengo'a; wszedł następnie w skład 12-go pułku huzarów; lecz młody Flahaut przeszedł już był wówczas do 5-go pułku dragonów. Pułk ten należał do t. zw. Korpusu obserwacyjnego Żyrondy czyli korpusu Franko-hiszpańskiego, który miał być skierowany przeciwko Portugalii. W 5-tym pułku dragonów, Flahaut został brygadyerem, następnie podporucznikiem; 21-go października 1802 r. — przybocznym adjutantem generała Murat'a. Murat nie zażywał do tej pory sławy salonowca. Łacniej wyobrażamy go sobie na czele szwadronów, aniżeli w buduarze kobiecym. Nie oszczędzał ani siebie, ani swoich adjutantów. Dowodem tego kampania r. 1805; dziesiąty Biuletyn Wielkiej Armii, datowany w Augsburgu, 30-go vendémiaire a r. XIV, wymienia adjutanta Flahaut za waleczność, okazaną w bitwach, które poprzedziły wzięcie miasta Ulm. 1-go listopada r. 1805, w bitwie pod Lambach, porucznik Flahaut ciężkie odniósł rany; kapitanem został w roku następnym (10 lutego 1806); oddał znamienite usługi podczas kampanii pruskiej, w ciągu której kawaleria francuska, dowodzona przez Murat'a, odegrała taką doniosłą i niezwykłą rolę; otrzymał w nagrodę stopień szefa szwadronu; porzucił wówczas służbę adjutancką i objął dowództwo szwadronu w 13. pułku szaserów.

Pod Friedlandem wstąpił się szarżą kawalerii, szarżą — z której, oprócz niego, wyszło cało piętnastu tylko ludzi. Otrzymuje w nagrodę krzyż Legii honorowej. W r. 1808, jako adjutant mar-

szałka Berthier przechodzi do Hiszpanii; ranny podczas kampanii niemieckiej, w bitwie pod Ens, mianowany zostaje 13-go maja pułkownikiem.

W raporcie do Cesarza 2-sierpnia 1812 roku, król neapolitański wyróżnia go za waleczność, okazaną w bitwie pod Ostrownem i pod Mohyłowem. Podczas odwrotu należy do liczby tych, którzy oparli się zniechęceniu, którzy — wśród klęsk pogromu — zachowali coś więcej, aniżeli instynkt samoobrony. Nietylko spełnił swój obowiązek względem Cesarza, lecz nie zapomniał nadto o węzłach, łączących go z przyjaciółmi; w bitwie pod Berezyną, przepłynąwszy dwukrotnie wpływ rzekę, z rozkazami ks. de Neuchâtel, przepłynął ją poraz trzeci, aby odszukać i rozpoznać zwłoki przyjaciela swego, Alfreda de Noailles, adjutanta generała-majora, który padł od kuli w chwili, kiedy zagrzewał swoim przykładem tyralierów korpusu Dudinot'a. Odnalazł go istotnie, lecz nagiego, odartego, zeszpeconego i tylko po bliźnie, którą p. de Noailles miał na ramieniu, a o której wiedział jeden tylko Flahaut, rozpoznał identyczność zwłok.

4-go grudnia 1812 r. zostaje generałem brygady, a w miesiąc później 26-go stycznia 1813 r. — przybocznym adjutantem Cesarza.

Oto streszczenie kariery p. de Flahaut: żołnierz w roku 1800 — generał w 1813. Niewątpliwie świetna to karyera, lecz czyż oszczędzał się? Czyż wystrzegał się nieprzyjacielskich kul i pałaszów? Czyż liczne rany, jakie otrzymał — nie są dowodem wyjątkowego męstwa? — Jeśli obecnie ktokolwiek zwie go generałem salonowcem, to innej zupełnie za-

żywał opinii w szeregach Wielkiej Armii. Pod Berezyną, p. de la Riboisière — junior, podówczas porucznik artylerii, zmuszony był ustąpić wraz ze swoją baterią przed morderczym ogniem dział nieprzyjacielskich. W tej samej chwili nadjeżdża oficer w świetnym mundurze adjutantów generała-majora. Był to p. de Flahaut. Elegancja, piękność, wdzięk p. de Flahaut — drażniły p. de la Riboisière, który niedorównywał mu pod względem powierzchowności. »Dokąd dążycie?« — zapytał Flahaut — »nieprzyjacieli nie jest tutaj, lecz tam«. Stary jakiś oficer odparł na to z gniewem: »Dobrze panu tak mówić, skoro nie pana posyłają w ogień.« — »Przepraszam bardzo — rzekł Flahaut — właśnie was tam poprowadzę« — i, zebrawszy cugle, stanął najspokojniej na czele kanonierów; z nieopuszczającą go nigdy zimną krwią, dotarł z nimi do wskazanej pozycji i opuścił baterię wówczas dopiero, gdy zamilkły rozbite działa nieprzyjacielskie.

»Od tej pory — mawiał La Riboisière — nie ścierpiałem, aby ktokolwiek ośmielił się krytykować wobec mnie p. de Flahaut.«

Do sztabu głównego Napoleon dobierał oficerów, którzy równie dobrze nadawali się do misji dyplomatycznych jak wojskowych. Oficerami takimi byli: Narbonne, Segur, Andréosy, Sebastiani — ludzie towarzyscy, wykształceni, wykwiłtnego obyczajności, obeznani z polityką, ludzie tacy — jakich wielu było w dawniejszych czasach, uzdolnieni zarówno do jednej jak do drugiej kariery, równie spokojni przy spisywaniu protokołów jak i wśród

wrzawy wojennej. Obecnie ten typ ludzi zanikł niemal zupełnie. Brak jest odpowiedniego wychowania; intryga żadną miarą zastąpić nie może życia się ze sprawami politycznymi, łatwości stylu i ogłady towarzyskiej.

Zalety te p. de Flahaut w wysokim posiadał stopniu. Miał sposobność wykazać je w maju 1813 r., gdy wysłany został do granicy czeskiej, aby powitać tam króla saskiego i towarzyszyć mu aż do Drezna. Odznaczył się następnie jako oficer w bitwie pod Dreznem i w rozmaitych misjach, jakie spełniał z polecenia Cesarza przy marszałku ks. Raguzy. W czerwcu wyznaczony został wraz z generałem Dumoustier do zawarcia w Neumarkt zawieszenia broni z wojskami rosyjskimi i pruskimi. Korespondencya jego, ogłoszona w »Monitorze« równocześnie z dokumentami, odnoszącymi się do zerwania z Austrią, zasługuje na uwagę. Mianowany generałem dywizyi po bitwie pod Lipskiem, podczas której wielokrotnie narażał życie swoje i osobę, bierze — sześć dni później — chlubny udział w zwycięstwie pod Hanau. 23-go lutego 1814 r., podczas kampanii francuskiej, w ciągu której nie odstępował Cesarza, wysłano go do Lusigny dla zawarcia armistycjum. Negocjacje zawiodły. Hr. de Flahaut (Cesarz nadał mu tytuł barona 15-go sierpnia 1809 r. a tytuł hrabiego — 24-go października 1813 roku) znajdował się przy boku pana swego w Fontainebleau, w chwili — gdy zdrada Marmont'a uniemożliwiła wszelki opór.

W liście do jednego ze swoich starych przyjaciół, pisanym wkrótce po wydaniu pamiętników

Marmont'a, p. de Flahaut opowiada o wrażeniu, jakie wywarła na Cesarzu zdrada ks. Raguzy. »Byłem na służbie w Fontainebleau — pisze on — nazajutrz po wyjeździe marszałków, wysłanych przez Cesarza dla przeprowadzenia negocjacji, dotyczących jego abdykacji na korzyść króla Rzymskiego. Była godzina ósma rano. Cesarz, który leżał jeszcze w łóżku, kazał mnie przywołać. »Proszę, sprowadził tu Pailhou'a (był to jeden z jego oficerów służbowych, który towarzyszył marszałkom aż do forpoczt) — rzekł do mnie: — zdał mi wprowadzić przed chwilą sprawę ze swojej misji, ale tak byłem zaspany, że nie zrozumiałem dobrze tego, co mówił.«

»Przywołany Pailhou opowiedział mi, że marszałek Marmont, po krótkiej rozmowie z marszałkami plenipotentami, wszedł do ich powozu i towarzyszył im aż do głównej kwatery sprzymierzeńców, że czekał tam ukryty w powozie, lecz że następnie wysiadł, udał się do ks. Szwarzenberga i pojechał potem wraz z marszałkami do Paryża.«

»Powróciłem do Cesarza, aby zdać mu sprawę z tego, com usłyszał. Wysłuchawszy mnie, spojrzał na mnie tym przenikliwym wzrokiem, którego siły nie można opisać — i rzekł: »Co myślisz pan o tem?« Nie odpowiedziałem nic. »Sądzisz Generale — ciągnął dalej — że Marmont mnie zdradza.« »O Sire, straszne to słowo i okropne oskarżenie.« »Nie — rzekł Cesarz — masz rację. Marmont nie mógłby mnie zdradzić! Wszystko mi zawdzięczał! Od najwcześniejszej młodości począw-

szy, uczyniłem zeń to, czem jest, wbrew wszystkim. Nie może myśleć o zdradzie. Niel! Lecz jest najpróżniejszym z ludzi i pojechał pewno do Paryża, aby usłużyć mi i wspierać marszałków swemi radami.«

»Słowa te, dodaje p. de Flahaut, przypomniały mi ten piękny wiersz:

..... la défiance

Est toujours d'un grand coeur la dernière science.

»Mówiąc o kapitulacji Paryża, pisze dalej p. de Flahaut, Marmont wspomina wprawdzie, że byłem do niego wysłany, lecz pomija milczeniem to, iż celem misji mojej było zerwanie wszelkich negocjacji z nieprzyjacielem oraz nawoływanie do dalszej obrony stolicy, której Cesarz zdecydowany był bronić do ostatniego tchu. Kapitulacja była już wszakże faktem dokonany.«

P. de Flahaut nie atakuje bynajmniej Marmont'a z powodu poddania Paryża; sądził bowiem, że pod tym względem marszałek nie zasługiwał na wymówki; jemu natomiast głównie przypisuje powrót Burbonów i upadek dynastii cesarskiej w osobie króla Rzymskiego. Według niego rzeczą jest niewątpliwą, że Caulaincourt i obaj jego koledzy zdołali już wzruszyć cesarza Aleksandra, gdy wiadomość o przejściu do nieprzyjaciela korpusu Marmont'a wpoila w cara przeświadczenie, iż armia nie była znów tak dalece wierną Napoleonowi.

Abdykacja, podpisana została 11-go kwietnia. 16-go kwietnia Flahaut poddał się rządowi Tymczasowemu, lecz, mimo wspomnień, jakie mogły łączyć go z Burbonami, trzymał się na uboczu.

Wzmianka w »Monitorze« mogłaby naprowadzić na myśl, że otrzymał od Ludwika XVIII. krzyż komandora Legii honorowej. Otrzymał go w rzeczy samej, na skutek rozporządzenia królewskiego z d. 23. sierpnia 1814. roku, lecz, jak świadczą o tem oficjalne dokumenta służbowe, mianowany był komendantem Legii jeszcze przez Cesarza, 23-go marca roku poprzedniego. Rząd królewski obdarzył go — zarówno jak wszystkich wyższych oficerów — tylko krzyżem orderu św. Ludwika. Najlepszym dowodem tego, że Flahaut nie ubiegał się o względy Burbonów, było podanie się jego do dymisji 1-go września 1814. roku.

* * *

W marcu 1815. roku, Flahaut powrócił do służby w charakterze przybocznego adjutanta cesarskiego a w kilka dni po powrocie Napoleona do Tuileries, wysłany został do Wiednia, aby przeprowadzić z p. de Talleyrand, który znał go od dziecka — negocjacje, dotyczące w pierwszym rzędzie powrotu Maryi Ludwiki, następnie traktatu pokojowego z Europą. Misja jego nie doszła do skutku. Zatrzymany w Stuttgardzie przez króla wirtemberskiego, Flahaut powrócił do Paryża i obarczony został wówczas misją, której nie omieszkało przeistoczyć, a którą sam generał objaśnia w sposób następujący w liście, pisanym do Thiers'a 1-go października 1861 r.:

»Cesarz nikomu w zupełności nie mógł zaufać a nieufność tę motywował wybór ludzi, któ-

rymi ministeryum wojny zamierzało wypełnić kadry armii cesarskiej, wybór tak dalece nieraz nie-
trafny, że zdarzyło mi się odrzucić kandydaturę
człowieka, usuniętego poprzednio z szeregów za
podłość i tchórzostwo. Wreszcie, Cesarz — chcąc
mieć pewną gwarancję, odnośnie do wyboru ofice-
rów, powierzył mi misję, poruczoną przedtem hr.
de Lobau a polegającą na przeglądaniu wszystkich
propozycji ministeryum wojny. Oto tekst odnoś-
nego listu cesarskiego:

»Panie hrabio Flahaut, zamierzam obarczyć
pana nadzorem nad personelem wojskowym. Pro-
szę więc zbierać możliwie najbardziej wyczerpu-
jące referencje o generałach i oficerach, gdyż,
w razie gdyby wybór okazał się złym, odpowie-
dzialność spadnie na pana.

Paryż, 18. kwietnia 1815 r.

Napoleon.«

Zrozumiałem jest, że w tych warunkach p.
de Flahaut narazić mógł sobie marszałka Davout.
Nadzór prawie zawsze jest rzeczą niedogodną
i niemiłą, lecz czyż odpowiadać ma za to osoba
nadzorcy? P. de Flahaut spełniał w ministeryum
wojny swój obowiązek; był tam na skutek roz-
kazu Cesarza, z oficjalnem rozporządzeniem służ-
bowem a cokolwiek zarzucićby można systemowi
kontroli, Napoleon I-szy mocen był ustanowić
urzędowego kontrolora w swoim ministeryum
wojny.

2-go czerwca, p. de Flahaut mianowany zo-

stał członkiem Izby Panów, lecz wybuch wojny
nie dozwolił mu brać udziału w obradach.

Zostawił kilka notatek, dotyczących ostatniej
kampanii i bitwy pod Waterloo. Pisał niechętnie,
lecz widząc jak przeistaczano nieraz fakty, których
naocznym był świadkiem, imał się pióra w obro-
nie prawdy. Listy jego, napisane bezpośrednio po
wydaniu bądź to pamiętników Marmont'a, bądź
dzieła p. Villemain o p. de Narbonne, bądź też
XIX-go tomu Historji Konsulatu i Cesarstwa, do-
zwalały nam podążyć za nim wśród wielkich wy-
padków dziejowych, w których taki żywy brał
udział. W opowiadaniu swoim, generał nie pod-
kreśla bynajmniej własnej działalności. Jedynem
jego usiłowaniem jest oddanie należnej czci Temu,
któremu poświęcił się całkowicie.

Szczególne znaczenie ma pierwsza notatka,
pod adresem Thiers'a, zwalczająca wywody p.
Quinet odnośnie do marszałka Ney'a.

»Nikt lepiej odemnie wiedzieć nie może o tem,
co działo się w Quatre-Bras i nazajutrz rano
w Fleurus, ponieważ obecny byłem w obu miejscowo-
ściach. Nie odstępowałem marszałka Ney'a przez
cały ten czas. Wykazał on zwykłą sobie odwagę
i stanowczość, lecz działał bez planu; wszystkie
nadchodzące mu posiłki prowadził odrazu w ogień,
biorąc — jak mówi przysłowie — byka za rogi
w niezwykle obronnej pozycji, wówczas gdy sam
nie rozporządzał dostatecznymi siłami. Wreszcie
o zmierzchu — kiedy nieprzyjaciół bronił już tylko
drogi z Quatre-Bras do Fleurus, walka zobopólnie
ustała.

»Wieczерzę jadłem z marszałkiem a o godz. 1-ej po północy wyruszyłem do Fleurus, dokąd przybyłem wczesnym rankiem. Cesarz nie był jeszcze ubrany. Zdając mu sprawę z przebiegu walki, jakkolwiek szczerze przywiązany byłem do marszałka Ney'a, sądziłem, iż obowiązkiem moim było powiedzieć Cesarzowi, że marszałek, prawdopodobnie pod ujemnem wrażeniem ostatnich wypadków, wydał mi się innym niż był dotychczas. Po śniadaniu, które spożyłem u stołu J. Ces. Mości, Cesarz dosiadł konia i zwiedzał pole bitwy; następnie skierowaliśmy się w stronę marszałka Grouchy, dążącego traktem na czele swoich oddziałów. Po krótkiej rozmowie z marszałkiem Cesarz pożegnał go mówiąc: »Naprzód — Grouchy; nacieraj na tyły Prusaków, nie trać ich z oczu i zawsze znoś się ze mną przez twoje lewe skrzydło«.

»Honorem ręczę za prawdziwość mego opowiadania. Ostatnie te słowa Cesarza wyrwały się w mojej pamięci. To też, wielkiem było zdziwienie nasze, gdy zamiast korpusu Grouchy'ego — wojska pruskie ukazały się na polu bitwy pod Waterloo.«

Co się zaś tyczy d. 18-go czerwca, p. de Flahaut odparł również pisemnie odnośny ustęp z pamiętników Marmont'a (tom VII, str. 121). Oto co pisze Marmont:

»W ciągu dnia, Napoleon tak daleko znajdował się od pola bitwy, że nie mógł wpłynąć na modyfikację niektórych planów swoich, w szczególności nie mógł poprzeć w odpowiedniej chwili swego słynnego ataku kawalerii, który powinien

był zdecydować o losach bitwy; przedwczesny niedostatecznie poparty, stał się zbędnym a jednak byłby niewątpliwie przechylił szalę zwycięstwa, gdyby za kawalerią poszła była Gwardya. Gdy wszczął się popłoch, trwoga opanowała umysł Napoleona. Cofnął się czempredzej o kilka mil wstecz; co chwila (było to w nocy) przywidywała mu się jazda nieprzyjacielska bądź to w poprzek drogi, bądź też na flankach; co chwila wysyłał rekonanse.«

Oto odpowiedź p. de Flahaut, ogłoszona w »Monitorze« 9. kwietnia 1857. roku:

»Trudno pominąć milczeniem nienawiść, jaką przeziiera z tego opowiadania marszałka, usłyszanego rzekomo od generała Bernard'a; co jest wykluczone, gdyż generał Bernard, jako dzielny i uczciwy człowiek, nie byłby chciał obarczać swego sumienia takim brzemieniem kłamstw.

»Cesarz zajmował podczas bitwy pagórek, leżący w środku jego pozycji, skąd mógł obejmować wzrokiem całokształt operacji wojennych, skąd też dostrzegł atak, kawalerii, spowodowany rozkazem Ney'a, atak który wydał mu się istotnie przedwczesnym i niestosownym. Zawołał wówczas: »Oto Ney z pewnej wygranej czyni niepewną, lecz skoro atak już rozpoczęty, nie pozostaje mi nic innego jak poprzeć go«. I posłał mnie z rozkazem wysyłającym całą jazdę na pomoc tym oddziałom kawalerii, które przebyły już wąwóz, dzielący je od pozycji nieprzyjacielskiej. Tak się też i stało. Na nieszczęście, chwila była nieodpowiednia i Cesarz dobrze o tem wiedział; lecz nie można już

było powstrzymać ani też odwołać wysłanych pułków a podczas wojny tylko wytrwałością naprawić można popełnione błędy.

»Co się zaś tyczy trwogi, jaka — według marszałka — zawładnęła wśród popłochu umysłem Cesarza, najlepiej odeprzeć zdołam ten kłamliwy zarzut, przedstawiając w rzeczywistym świetle fakta, których naocznym byłem świadkiem, które nikomu przeto bliżej nie mogą być znane.

»Obecny byłem przy ataku kawalerii i ataku Gwardii a gdy rozpoczął się odwrót — powróciłem do Cesarza.

»Zapadł już zmierzch. Znalazłem go w środku czworoboku i nie odstępowałem więcej. Po upływie jakiegoś czasu, widząc że bitwa nieodwołalnie jest przegrana, Cesarz opuścił czworobok i skierował się ku Charleroi.

»Dążyliśmy w tym kierunku — nie galopem, jak twierdzi beczelny autor tych pamiętników lecz stępą, i żadna pogoń nieprzyjacielska nie była w stanie wzbudzić w sercu Cesarza trwogi, jaką marszałek — w nienawiści swojej — chciałby mu przypisać. Jakkolwiek sytuacja uzasadniona budzić mogła niepokój, Cesarz nie żywił żadnych obaw osobistych a tak był wyczerpany trudami i pracą poprzednich dni, że kilkakrotnie ulegał ogarniającej go senności i byłby spadł z konia, gdybym go nie był podtrzymał.

»Nazajutrz rano dotarliśmy do Charleroi a stamtąd pocztą do Laon. W Laon Cesarz zatrzymał się, aby ułożyć biuletyn o przebiegu bitwy

i rozmiarach klęski a następnie podążył do Paryża«.

* * *

W Paryżu, p. de Flahaut obarczony był trojakiego rodzaju czynnościami: był parem Francji, przybocznym adjutantem Cesarza i generałem dywizji. Jak spełniał swoje obowiązki?

Jako par Francji, przedewszystkiem — po powrocie z Waterloo, na posiedzeniu Izby d. 22. czerwca, ten rzekomy wróg marszałka Davout bronił raportu ministra wojny, atakowanego przez marszałka Ney'a; przedstawił szczegółowo operacje wojenne marszałka Grouchy, pod rozkazami którego pozostawało 40.000 ludzi; oświadczył wreszcie, że nie jest stracone, jeśli tylko Francja tego zechce. Następnie, ponieważ podniesioną została w Izbie kwestya abdykacyi, poparł wraz z Labédoyère'm wniosek ks. Lucyana: »Gdyby Napoleon zginął, wszak syn jego wstąpiłby na tron. Napoleon abdykował; umarły jest dla polityki. Dlatego syn Napoleona nie miałby być jego następcą?«

Labédoyère! przyjaciel jego od serca, krewny i towarzysz broni. P. de Flahaut nie mógł dopuścić, aby wrogie, lub co najmniej szorstkie dłonie tykać miały nieskalaną pamięć człowieka wielkiego serca i niewzruszonych zasad. Kiedy w r. 1855, w II tomie »Souvenirs contemporains«, Villemain przedstawił wypadki r. 1815, p. de Flahaut bolał głęboko, widząc, w jaki sposób odtworzoną została

polityczna rola jego przyjaciela. Napisał wówczas do p. Villemain co następuje:

»W rozdziale, poświęconym posiedzeniu Izby Panów, podczas którego szlachetny i nieszczęśliwy przyjaciel mój Labédoyère z takim zapałem i odwagą bronił sprawy Napoleona II-go, pisze pan między innemi, że »młody par, młody generał, osobiście narażony, nie mógł nad sobą zapanować« — i tym sposobem obniża pan do rządu troski o własne bezpieczeństwo wzniosły poryw wielkiego i szlachetnego serca. Znając go, cofnąłby pan niewątpliwie te słowa. W chwili, w której rozstrzygały się losy Cesarza i Francji, człowiek tej miary nie potrafiłby myśleć o sobie. Gdyby chciał istotnie siebie uchronić, byłby przyjął propozycję Cesarza — uczynioną mu za mojem pośrednictwem — towarzyszenia Jego Ces. Mości na wygnanie, lub też, jak wielu innych, byłby starał się o uzyskanie amnestyi, zamiast pogarszać dobrowolnie swoją pozycję. Lecz Labédoyère należał do rzędu tych niepospolitych charakterów, których odwaga wzrasta w miarę jak wzmaga się niebezpieczeństwo. Dusze takie mało są przez ogół rozumiane.«

Oddając temi słowy sprawiedliwość pamięci Labédoyère'a, p. de Flahaut własne swoje wypowiada uczucia. Jeśli nie był mu danym — tak jak jego przyjacielowi — niezmierny zaszczyt przypieczętowania krwią własną aktu intronizacji Napoleona II-go, aktu — który Labédoyère przypłacił życiem, niemniej stwierdzić należy, że z takim samem zgoła był dla sprawy poświęceniem, że równie odważnie stawiał czoło niebezpieczeństwu.

Ojciec jego — umierając na szafocie Józefa Lebon — dał mu przykład niezachwianej niczem wierności.

Taką była działalność p. de Flahaut jako para Francji.

Jako przyboczny adjutant Cesarza, spełnić musiał nader przykrą misję, co do której dwa listy jego — jeden pisany do p. Villemain, 5-go grudnia 1855 r., na skutek wymienionego powyżej dzieła, drugi do p. Larabit, 2-go sierpnia 1867 r., na skutek mowy, wypowiedzianej w Auxerre podczas odsłonięcia pomnika marszałka Davout — dokładnych dostarczają nam szczegółów, pozostających w skrajnej sprzeczności ze szczegółami, jakie napotykamy w książce pni de Bloqueville.

Misja ta została przeistoczona, utożsamiona z inną zupełnie misją, którą Cesarz powierzył generałowi Becker.

Za pośrednictwem generała Becker, Cesarz zaproponował Rządowi Tymczasowemu, aby, mimo abdykacyi, powierzono mu naczelne dowództwo wojsk aż do chwili, w której nieprzyjaciel wyparty zostanie z granic państwa.

Generał de Flahaut wysłany został z Malmaison, aby domagać się u Rządu Tymczasowego wydania komendantom dwóch znajdujących się w Cherbourg'u fregat — rozkazu oddającego okręty te do dyspozycji Cesarza. Napoleon polecił p. de Flahaut oświadczyć rządowi, iż nie opuści okolic Paryża przed otrzymaniem tego rozkazu.

Oto pierwszy punkt i punkt ważny.

Powiedziano również, że generał Flahaut za-

komunikował marszałkowi Davout cel misji swojej w prywatnym gabinecie Cesarza i że rozmowa ta odbyła się bez świadków. Jest to wersja, przyjęta przez p. Fleury de Chaboulon i kilkakrotnie powtarzana. Owóż, w rzeczywistości, rozmowa odbyła się w gabinecie Rządu Tymczasowego, w obecności wszystkich jego członków, kilku ministrów, ks. Vicenzy i pewnej liczby polityków, ogółem około dwudziestu osób.

Flahaut przedstawił Fouché'mu zamiary Cesarza, kładąc nacisk na jego postanowienie. Marszałek Davout, oparty o gzems kominka, przerwał mu — mówiąc: »Generale, wracaj do Cesarza i powiedz mu, że musi wyjechać, że obecność jego przeszkadza nam i zaporą jest do wszelkiego rodzaju układów, że wreszcie ocalenie ojczyzny zależy od jego wyjazdu. Jeśli nie zechce wyjechać, zmuszeni będziemy aresztować go. Ja sam go za-aresztuję.«

»Słowa te przeraziły mnie — opowiada p. de Flahaut — lecz natychmiast głośno odpowiedziałem: »Panie marszałku, tylko ten, kto daje podobne zlecenia może je sam spełniać; co do mnie, nie podejmuję się tego, a jeśli nieposłuszeństwo przypłacić trzeba dymisją, zgłaszam niniejszem swoją dymisję.«

»Do głębi wstrząśnięty tą sceną, dodaje p. de Flahaut, nie mogłem uspokoić się przez kilka minut, w ciągu których ks. Vicenzy i kilka innych osób wyraziło mi swoją sympatię i oburzenie.

»Udałem się wówczas do Malmaison. Cesarz leżał w łóżku. Kazał mnie przywołać. Postanowi-

łem nie wspominać mu wcale o zajściu, którego byłem świadkiem, nie chcąc zwiększać jego bóleści. Lecz z właściwą sobie przenikliwością dostrzegł, że coś przed nim zatailem. Nalegał więc o powiedzenie mu szczerzej prawdy, starając się równocześnie dowieść mi jak dalece zależało mu na tem. Opowiedziałem wówczas o całym zajściu a Cesarz ujął się dłonią za gardło ze słowami: »Niechaj spróbuje.«

Oto sposób, w jaki p. de Flahaut spełnił swój obowiązek przybocznego adjutanta. Chciał towarzyszyć Cesarzowi na wygnanie — sądzono podówczas, że było to tylko wygnanie — lecz Rząd Tymczasowy mianował go 1-go lipca komendantem 9-ej dywizji kawalerii. Nominacji tej nie, mógł odrzucić. Nie było mu danem zmierzyć się z nieprzyjacielem. Armia cofnęła się do linii Loary; podążył za nią. Bezpiecznym był tylko w cieniu sztandarów, wśród wiernych towarzyszy broni. Lecz wkrótce i to zawiodło. Zmuszony opuścić Francję jako wygnaniec, połączył się z tymi, którzy tak jak on pozostali wierni Wielkiemu Wodzowi i nie powrócił do kraju tak długo — jak długo powiewał nad Francją biały sztandar Burbonów. Wiernym był do końca.

Nie piszemy bynajmniej biografii. Poprzestajemy na zebraniu kilku dokładnych notatek, dotyczących kariery wojskowej żołnierza, który nienawidził frazesów i nadewszystko miłował prawdę.

Prostując punkta sporne, odszukując — w zapomnianych już dziś korespondencyach — uwagi i poglądy p. de Flahaut, nie mamy wcale zamiaru

umniejszać w czemkolwiek sławy marszałka Davout. »Tak jak wszyscy zresztą — pisze p. de Flahaut — uchylam czoła przed odwagą i bezinteresownością marszałka Davout. Nikt większej odemnie nie przywiązuje wagi do chwały Cesarstwa, którą uważam za skarbnicę narodową«. Pisze nadto do p. Larabit: »Nie możnaby godniej i sprawiedliwiej uczcić pamięci człowieka, który oddał Cesarstwu i krajowi takie znamienite usługi, który w czasie wojen Rewolucyi i Cesarstwa wykazał tyle zdolności, męstwa i nieposzlakowanej uczciwości«.

Zamieszczając więc w tem niezbędnem sprostowaniu coś, co mogłoby uwłaczać w czemkolwiek marszałkowi Davout, sprzeciwiłobyśmy się całkowicie najistotniejszym zamiarom i poglądom generała. Sprostowanie to ma na celu tylko ustalenie pewnych faktów, które niepodzielnie są związane z nazwiskiem i pamięcią generała Flahaut.

WIERNE PODOBIZNY NAPOLEONA.

Niczyja podobizna bardziej nie była rozpowszechnioną, nikt częściej od Napoleona nie był malowany, rysowany, lub rzeźbiony. Fizyognomia jego znana jest wszystkim ludom, tym nawet, które, żyjąc w odosobnieniu na krańcach świata, bronią się wszelkimi sposobami przed najściem i wpływami barbarzyńców. Jakkolwiek niedostępnem było Państwo Wschodzącego Słońca, zwycięski wizerunek dotarł i tam również, i wkrótce po śmierci Cesarza charakterystyczny jego profil pojawił się na okładkach książek, w których — na tle nielicznych podań, przejętych od wędrownego Hollendra — miejscowi poeci puścili wodze swojej wyobraźni. Podobni poetom, malarze japońscy — na tle powiewnej i błyszczącej gazy — odtwarzają kształt i barwy precudnych kwiatów, rozkwitłych w czarodziejskiej krainie snów ich i marzeń.

Lecz wśród tysiącznych tych wizerunków, wśród portretów, mnożących się w nieskończoność dzięki ciekawości, uwielbieniu, pochlebstwu lub nienawiści, odtwarzanych wszelkimi sposobami, ze-

szpeconych przez nadmiar reprodukcji, przez manię upiększania — jakże rozróżnić te portrety, które oddają najwierniej wrażenie, jakiego doznawali współcześni w obecności Napoleona — Napoleona generała, konsula, cesarza?

Odnaleźć trzeba w tym celu wizerunki, robione z natury, jedyne wierne, nieupiększone. Śledząc je kolejno, można wyrobić sobie pewne pojęcie o fizyognomii Napoleona w różnych okresach jego życia.

Przed kampanią włoską niema ani jednego portretu Bonaparte'go. Portret, malowany rzekomo przez Greuze'a w roku 1789, własność hr. de Las-Cases, jest oszustwem, które nie powinno było zwać nikogo. Krótko ostrzyżone i nienapudrowane włosy dostatecznym byłyby tego oszustwa dowodem, zarówno, jak dziwaczność munduru, wówczas nawet, gdyby się nie wiedziało, że w roku 1789, przy skromnej gaży porucznika, Bonaparte pilniejsze miał potrzeby niż obstalowanie portretu u Greuze'a. Za Konsulatu, Greuze — który dostał już kilka obstalunków na portrety Konsula, a otrzymawszy na nie zaliczkę, starał się uzyskać nową (list do Champagny'ego z 19. ventôse roku XII) — umyślił sobie prawdopodobnie, że pozyska sobie łaskę u dworu, jeśli dowiedzie, iż znał Napoleona w jego latach młodzieńczych, i że malował go, oczywiście gratis. Wymalował wówczas ten portret, rażąco sztuczny, równie mało wartościowy jako dokument historyczny i jako dzieło sztuki.

Poza Greuze'm, conajmniej trzech innych artystów malowało lub rysowało Bonaparte'go przed rokiem 1796. Zachowany jest podobno, nieopodal

Paryża, przez rodzinę jednego ze szkolnych kolegów Bonaparte'go — rysunek, przedstawiający go, a wykonany z natury przez profesora szkoły w Brienne, którego uderzyła energia i niepospoliczość fizyognomii Napoleona. O ile jest autentycznym, nieznany dotychczas rysunek ten stanowi pierwszy dokument graficzny, dotyczący Bonaparte'go.

W muzeum wersalskiem widnieje rysunek, który pochodzi jakoby z dawnego »Musée de Souvenirs« i opatrzony jest dedykacją: *Al caro amico Buonaparto, Pontornini del. 1785, Tournon*. Rysowany z profilu, według wszelkich prawideł Akademii, bez żadnego natomiast podobieństwa — z zaokrąglonym nosem i zbyt wielkimi oczyma — mimo wszystkie wady, stanowi drugi z rzędu portret.

Trzeci z kolei, którego istnienie stwierdza sam Bonaparte w liście do brata Józefa (25. czerwca 1795 r.), jest to prawdopodobnie miniatura. »*Désirée* — pisze Bonaparte (*Désirée*, późniejsza pani Bernadotte, ówczesny ideał Napoleona) — prosiła mnie o mój portret; każę go zrobić; wręczysz go jej, jeśli będzie to nadal jej życzeniem; w przeciwnym razie zachowaj portret dla siebie«. — Czy portret istotnie został wysłany? Czy należy poszukiwać go w Szwecyi, u potomków Bernadotte'a, czy też we Włoszech — u potomków Józefa? Czy słusznem jest mniemanie, że naczelny wódz Armii wewnętrznej zmienił potem decyzję i że podarował go wicehrabinie de Beauharnais? W takim razie czy nie możnaby odnaleźć go w zbiorach rodziny Farnborough?

* * *

Pominać więc trzeba lata dziecinne i pierwszą młodość, przerzucając się odrazu do portretów z czasu kampanii włoskiej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, oprócz malarzy włoskich, względnie dość pokaźna liczba utalentowanych artystów francuskich znajdowała się w r. 1796 i 1967 we Florencyi, Genui i Medyolanie. Na skutek zamachu na Bassville'a, większość stypendystów Akademii francuskiej schroniła się do Toskanii pod opiekuncze skrzydła ministra Cacault; byli to malarze: Garnier, Meynier, Béattu, Laffitte, Girodet, Gounod; oraz rzeźbiarze: Dumond, Girard, Lemet, Bridau i Gois. Dość znaczna liczba artystów — niekępowanych warunkami stypendyów — poszła w ich ślady, a od r. 1793 inni jeszcze przybyli z Francyi. Między nimi Gros, który był i jest najślawniejszym z nich. Wszyscy ci artyści starali się prawdopodobnie odtworzyć rysy bohatera. Do chwili obecnej odnaleziono już wiele z tych dzieł; z czasem znajdują się wszystkie; dlatego też koniecznem było wymienienie nazwisk artystów.

Kto malował najpierw generała? Czy Gros, czy Appiani, czy też Cossa? W każdym bądź razie, portret Appiani'ego, wysokiej wartości artystycznej, znany nam jest tylko z kolorowanej ryciny Allix'a; portret Cossa'y — tylko ze szpetnego sztychu Sciavonetti'ego, podczas kiedy Gros, poza oryginałem, znajdującym się w Luwrze a odtworzonym znakomicie przez Longhi'ego — pozostawił nam pierwociny dzieła tego, szkic ołówkowy i piórkowy z natury robiony. Jeśli wiadomem jest, że Bonaparte pozował Appiani'emu do obrazu

przedstawiającego go w mundurze naczelnego wodza, z pałaszem w dłoni, w chwili, kiedy wdziera się na most w Lodi; jeśli trafnem jest przypuszczenie, że studyum do tego obrazu posłużyło za wzór do ryciny Allix'a, twierdzić można natomiast z zupełną pewnością, że w Medyolanie Józefina wyrobiła Gros'owi kilka seansów i że portret, znajdujący się w Luwrze, istotnie malowany był z natury. Z relacyi Lavallette'a i innych — wiadomem jest, iż w pałacu Serbelloni pani Bonaparte — po śniadaniu — zabierała męża do salonu, w którym Gros czekał z paletą i pendzlami; sadzała generała na swoich kolanach, obowiązując się utrzymać go w żądanej pozie; ażeby zaś nikt nie mógł przeszkadzać artyście, dyżurny adjutant trzymał straż przy drzwiach salonu.

Bohaterski ten portret przedstawia Bonaparte'go na polu bitwy pod Arcole (Gros widział go na miejscu). Z szablą w prawej dłoni, ze sztandarem w lewej szybko bieży naprzód, a wiatr rozwiewa długie jego włosy dookoła szczupłej, ściągłej twarzy. Nawpół przysłonięte lekko upudrowanym, gęstym włosem — czoło zwęża się, a cała jego siła skupia się w ściągnięciu brwi i powstałych stąd zmarszczkach. Oczy stalowo-szare, głęboko osadzone; nos orli, wązki i wydatny; usta prześlicznie zarysowane, o kątach nieco opuszczonych i niezwykle dumnym wyrazie — oto co w pierwszej chwili uderza w tej twarzy, a przy dłuższem wpatrywaniu się — hypnotyzuje. Jest to niewątpliwie dzieło wielkiego artysty, lecz jeśli porównamy ten portret z innymi portretami z tej

samej epoki, pendzla artystów mniej uzdolnionych, wszędzie odnajdujemy jednak natychmiast te same charakterystyczne cechy. W portrecie Laffitte'a, wielkości naturalnej, przedstawiającym Bonaparte'go de face (1796), w świetnym mundurze naczelnego wodza — taką samą jest linia nosa, taki sam przeczysty rysunek ust, wysunięta nieco ku przodowi broda, forma brwi i głęboka osada oczu; słabnie tylko wyrazistość. Laffitte usiłuje naśladować wzory klasyczne, jak przystało na ucznia p. Regnault — a naśladownictwo to widnieje już w zbyt pełnych policzkach, w nadmiernie wielkich oczach — tracących przez to właściwą im przejrzystość, blask i przenikliwość, której siły nikt nie mógł przetrzymać. Oczywiście, nie zawsze jednakową była siła tego wzroku. W chwilach spoczynku, oczy te były niebieskie, o wyraźnej niebieskiej barwie, lecz pod wpływem wzruszenia zamiast ciemnieć — jak to zwykle bywa — jaśniały, przechodząc w jasny odcień szary, stalowo-szary, o tak silnym blasku, że zdawały się być roztopionym metalem. Wówczas rysy zaostrzały się, jak gdyby pod dłutem rzeźbiarza, obnażając niejako kościec twarzy, podkreślając szerokość kości policzkowych i wydatność szczęki, która stanowi jedną z najbardziej znamiennych, najbardziej charakterystycznych cech rasy, która dodaje fizyognomii Napoleona największej wyrazistości.

Istnieją prawdopodobnie inne również portrety z tej samej epoki. Każdy rysujący Włoch lub Francuz starał się uwiecznić postać wielkiego wodza, lecz przy obecnym stanie odnośnych wia-

domości, brak jeszcze wielu dokumentów i dlatego tylko napomknąć można, że portrety takie prawdopodobnie istnieją.

Chcąc odnaleźć następnie zajmujący wizerunek Bonaparte'go, opuścić trzeba Włochy, i — przez Szwajcaryę — podążyć za generałem do Francji. Z 24. grudnia 1797 r. pochodzi profil odbity w pracowni Chr. de Méchel, a który służyć mógł za wzór zarówno do rysunku Guérin'a, znanego ze sztychu Tapisnois, jak do ryciny Urlmann'a — odbitej w Dreźnie i do conajmniej trzech innych rycin anonimowych. Profil ten na szczególną zasługuje uwagę, gdyż rzadkiej jest wierności. Rysy zarysowują się z niezwykłą wyrazistością, lecz zaciera się jeszcze forma czaszki, przykrytej aż po haftowany kołnierz gęstymi, bardzo długimi włosami, których część tylko zebrana jest w harcopf.

Z Włoch również, z lat 1797 i 1798, pochodzi według wszelkiego prawdopodobieństwa kilka popiersi i jedna statuetka, lecz i tu włosy długie są, a forma czaszki ukryta. To samo widzimy w pięknym portrecie pendzla Guérina, reprodukowanym w sztychach Fiessinger'a i Herhan'a oraz w popiersiu i medalionie, rzeźbionym przez Boizot'a po powrocie Bonaparte'go z Paryża. Jeżeli Boizot nie mógł wykonać z natury popiersia i medalionu, co wszelako jest kwestią sporną, nie ulega natomiast wątpliwości, że w ciągu kilku seansów odrysował nader starannie głowę Napoleona w sześciu odmiennych pozach.

W braku podpisu, autentyczności owych sześciu — względnie wykończonych szkiców — dowo-

dzą pominięte przez rzeźbiarza szczegóły ubrania, dowodzi siła wzroku, dowodzi wreszcie porównanie ich z popiersiem i medalionem, które wyszły jednocześnie z pod dłuta jednego artysty. W jednym z tych szkiców — pochodzących bez wyjątku z epoki, w której Bonaparte nosił długie włosy — uczesanie rozmyślnie jest zaniedbane, a włosy odrzucone w tył dla uwydatnienia formy czaszki; głowa przypomina tu wiernie głowę popiersia, wykonanego przez tegoż Boizot'a podczas Konsulatu, blisko trzy lata później. Jest to ta sama forma czaszki, ten sam wyraz twarzy. To drugie popiersie posłużyło za wzór większości portretów, musiało więc odtwarzać wiernie rysy modelu. Głowa zachowała zatem swój kształt, tylko włosy zmieniły zewnętrzny jej wygląd.

W rysunkach Boizot'a, twarz — jakkolwiek ściągła — nie uderza już wszakże ostrością rysów portretu, a zwłaszcza szkicu Gros'a. Jest li to złudzenie? Czy też wypoczynek w Monbello, w Passeriano i w Paryżu wpłynął istotnie na pewien przyrost tuszy? Zdaje się utwierdzać nas w tem mniemaniu świetny szkic Dawid'a, pochodzący z tego właśnie okresu, własność ks. Bassano. Na nieszczęście szkic ten nie jest pierwszym odruchem artysty, jest raczej wykończonym obrazem, który traci na ekspresji to, co zyskuje jako kompozycja. Jakąż niezmierną wartość miałby każdy z owych zaginionych prawdopodobnie szkiców Dawida, szkiców — na wierności których bezwzględnie można by polegać! Jakkolwiek jednak artysta złagodził zwykły surowy wyraz twarzy, kładąc na niej

ciężką smutnej zadumy, tak niezgodnej z usposobieniem Bonaparte'go, jakkolwiek zaokrąglił niewątpliwie linie, mimo to, w porównaniu z portretami Gros'a i Appiani'ego, rysy wykazują tak znaczny nabytek tuszy, że wykluczonym jest tu dowolny kaprys malarza. Tuszę tę stwierdza nadto miniatura, wykonana przez Dutertre'a na pokładzie okrętu l'Orient, oraz niewielki rysunek, najciekawszy z całej seryi podobizn uczonych i generałów Armii egipskiej. Z seryi tej zasługują na uwagę tylko akwaforty. Na miniaturze, na rysunku i akwafortcie, Bonaparte — jeśli tak rzec można — poważniejszym się wydaje, niż we Włoszech. Twarz okrąglejsza jest, policzki — mniej zapadnięte, broda — pełniejsza. Profil ten robi wrażenie takiego spokoju, pewności siebie i niezłomnej woli, jakiej nie odnajdujemy w żadnym z dotychczasowych portretów. Młody, częstokroć zuchwały, wszystko na jedną kartę stawiający generał — ustąpił przed zrównoważonym prawodawcą, którego rysy cechuje spokojna powaga ludzi Wschodu.

Nie mamy prawie nic z czasu kampanii egipskiej. Miniatura Dutertre'a malowana była podczas podróży; szkic — rysowany w początkach kampanii. Włosy nosi jeszcze generał długie, puszczone na ramiona. Portrety robione w Egipcie a przedstawiające Bonaparte'go z ostrzyżonymi włosami, żadnej nie mają wartości, za wyjątkiem słabo odbitej akwaforty Denon'a i kilku zabawnych sylwetek, naszkicowanych przez rysowników wyprawy na tle ruin lub monotonnego krajobrazu. Chcąc śledzić zmiany, jakie zaszły w twarzy Bonaparte'go,

trzeba zwrócić się do portretów, robionych w Paryżu, po zamachu 18-go brumaire'a. Krótko ostrzyżone z przodu włosy odsłaniają całkowicie skronie, uszy i szyję, i lepiej uwydatniają układ za barczystych nieco ramion, widoczny zwłaszcza w wizerunkach z okresu Konsulatu, kiedy artyści — odtwarzając postać Konsula — szczerzy byli i mniej oficjalni. Z tyłu włosy są jeszcze długie, spadające na kołnierz; widzimy to w niezwykle pięknym małym popiersiu, którego forma zachowana jest w odlewni manufaktury sewrskiej, w ciekawym portreciku Chataignier'a, w pięknym obrazie Appiani'ego, w rysunku Bouillon'a, nawet w kolorowanej rycinie Levachez'a według Boilly'ego. Włosy te nadają głowie — z profilu widzianej — szczególny charakter, który słabnie i zaciera się w miarę jak włosy, coraz rzadsze, krócej są strzyżone i odsłaniają bardziej czoło i kark.

W tych pierwszych portretach Konsula — chudość zarysowuje jeszcze wyraźnie linię nosa, podkreśla wydatność szczęki, zachowuje płaszczyzny policzkowe; cera — tak jak dawniej — biała jest, z odcieniem żółtawym, bez śladu rumieńca; pochylenie ramion uwydatnia się wskutek złego przyzwyczajenia, nabytego w ciągłej pracy biurowej. Tylko zmiana uczesania stanowi jedyną niemal widoczną różnicę między fizygnomią generała en chef a pierwszego Konsula. Praca myśli, wewnętrzne skupienie — pogłębiło jeszcze niewątpliwie głęboką osadę oczu, tak nieraz podkrążonych, iż są jak gdyby podpuchnięte, przedewszystkiem jednak rozwiane dokoła głowy pukle, ta aureola lekko

przypudrowanych włosów, odróżnia najbardziej jedną głowę od drugiej.

Bonaparte nosił również początkowo faworyty, dość krótko wprawdzie przyszczyżone, lecz zarastające mimo to trzy czwarte policzków. Można skonstatować to w seryi oficjalnych popiersi i medalionów, których formy zachowane są dotychczas w odlewni sewrskiej. Faworyty nikną z chwilą, gdy Konsul zaczyna czesać się à la Titus; zmieniały one fizygnomię tak dalece, że słynny malarz współczesny, który ze szczególnem zamiłowaniem studyował głowę Bonaparte'go, nie poznał go na jednym z tych medalionów.

Twarz Napoleona najpiękniejszą może była w epoce, w której wykonane zostały przez Isabey'a dwa rysunki uderzające prawdą i wyrazistością. W pierwszym rzedzie rysunek w »La Revue du décadi«, następnie medalion, dzieło Aleksandra Tardieu, opatrzone dwuwierszem poety Théveneau:

Qui prêterait jamais pour tracer son histoire
Une plume à Clio? — L'aile de la victoire.

Portret ten nader rozpowszechniony — profil z lewej lub prawej strony — najlepszym jest wizerunkiem Bonaparte'go w trzydziestym roku życia. Faworyty znikły. Włosy, dość jeszcze długie i obfite, niestaranie uczesane, przysłaniają uszy, które — w tej przepięknej i przepotężnej twarzy — stanowią stronę ujemną, wspólną niektórym Napoleonidom. Tusza nie zmienia jeszcze w niczem czystej linii głowy (56—57 cm. obwodu), o twarzy ściągłej, szczupłych, prawie że zapadniętych po-

liczkach. Żadnego niema upiększenia w ówczesnych portretach. W »Revue du décadi« — Isabey od-
twarza wiernie układ ramion a jeśli podkreślił
w ten sposób tę wadę budowy, to czyż nie pod-
kreśliłby innych usterek, gdyby je istotnie zau-
ważył?

Postawa w portrecie Isabey'a niepodobała się
Bonaparte'emu, który nie omieszczał zganić artysty
i od tej pory we wszystkich, mniej lub więcej
oficyalnych portretach, ramiona zniżają się aż do-
chodzą do spadzistości ramion starożytnych posą-
gów. Lecz kiedy w czasie kampanii, za granicą,
Cesarz napotkał gdzie po drodze niezmanierowa-
nego rysownika; kiedy, na wyspie św. Heleny, ofi-
cerowie angielscy szkicować będą charakterysty-
czną jego sylwetkę — zawsze uwidocznią się te
barczyste ramiona, tak wiernie oddane przez Isa-
bey'a, tak znamienne u niektórych członków rodu
cesarskiego, np. u króla Hieronima i ks. Napoleona.
Z punktu widzenia piękna klasycznego, podlegają,
być może słusznej, krytyce; w rzeczy samej jednak
potęgują wrażenie mocy i siły i nadają całej po-
staci niezwykłą powagę.

Pod koniec Konsulatu włosy rzędną nad czo-
łem, tusza wzmaga się. W postaci Roberta Lefèvre
znanego ogólnie ze wspaniałego sztychu Aug. Des-
noyers, zwłaszcza w portrecie Gérard'a, znanego
ze sztychu Richomme'a i Bazin'a, którego oryginał
znajduje się w zbiorach ks. d'Aumale a którego
szkic był własnością br. Gérard — uwydatniają się
te zmiany, będące wynikiem wieku i chorób. Por-
tret Gérard'a, w porównaniu do wcześniejszych

wizerunków, oczywiście jest do pewnego stopnia
oficyalny; trudno doszukać się w nim owej cha-
rakterystycznej barczystości ramion, widocznej
zwłaszcza z profilu a bardziej jeszcze z t. zw.
profilu perdu; lecz w twarzy samej, najdrobniejszy
nawet szczegół nie jest zmieniony ani upiękuszony.
Trudno byłoby zmienić czysty rysunek ust lub linię
nosa; jeśli wydatność chrząstki nosowej mniej jest
widoczną, to tylko dlatego, że Napoleon malowany
jest de face; pewne upiększenie polega więc jedy-
nie na upozowaniu głowy. W ołówkowym portre-
cie Isabey'a — Bonaparte à Malmaison — w któ-
rym głowa traci na wyrazistości dlatego, że czoło
jest przysłonięte, że kapelusz zwraca uwagę, że
całość postaci przykuwa wzrok — odnajdujemy
identycznie te same rysy a chęć upiększenia —
widoczna już w rysunku postaci, żadnego nie ma
znaczenia w stosunku do twarzy dla tej prostej
przyczyny, że byłaby zbyt czystą.

Z matematyczną niejako ścisłością można
więc śledzić fizyognomię Napoleona, począwszy od
pierwszej kampanii włoskiej aż do końca Konsu-
latu; lecz z chwilą proklamacji Cesarstwa, ani
w portretach, ani w popiersiach nie odnajdujemy
już szczerości, zdolnej zaspokoić ciekawość histo-
ryka; dzieła oryginalne, o wyraźnym charakterze
osobistym, tak liczne kilka miesięcy przedtem, tak
niezmiennie wartościowe jako dokumenta history-
czne — stają się teraz nader rzadkimi. Ustalony
jest od tej pory urzędowy typ oficyalnej podobi-
zny Cesarza, jedyny dopuszczalny w pałacach, pre-
fekturach i merostwach. Jeśli widnieją jeszcze ślady

osobistej twórczości w popiersiu, w którym Canova przedstawia nam Cesarza dość jeszcze szczupłego, z głową pochyloną i zwróconą nieco ku prawej stronie, to niebawem, w nowych pracach swoich artysta nagnie się do wymaganego typu. Chaudet dzieli wraz z Canovą przywilej dostarczania podobizny urzędowej. To też dwa popiersia Houdon'a, jedno dość co prawda nieudolne, jakkolwiek trafnych dostarczające wskazówek, drugie — cudownie piękne, największego godne uwielbienia, żadnem nie cieszą się uznaniem. Naturalna to konsekwencja: Houdon wiernie odtworzył naturę a jako wielki artysta — sądził, iż nie należy jej korygować. Dookoła ściągłej jeszcze twarzy, którą dokładnie wystudyował, modelując poprzednie popiersie pierwszego Konsula — to popiersie zaginione bez śladu a znane nam tylko z obrazu Boilly'ego — dookoła tej głowy o silnie zaznaczonych kościach twarzowych, koncentrujących w sobie całą męską piękność Cesarza, całą energię jego rasy, z pominięciem formuł i prawideł rzeźby starożytnej — oplótl delikatnie nikłą i leciuchną gałązkę wawrzynu, nie przypominającą w niczem szerokiego wieńca z liści dębowych i laurowych, jakim Chaudet uwieńczył głowę Cesarza, ograbiwszy chyba w tym celu wszystkie bory i lasy. Dzieło Houdon'a poza wysoką wartością artystyczną i widocznem umiłowaniem sztuki — umiłowaniem godnem jego młodości — uderza bezsprzecznem podobieństwem lecz przez to samo nie mogło wywołać wrażenia, o jakie przedewszystkiem chodziło Cesarzowi: wrażenia potęgi, niezmienności, nieśmiertelności. Od-

najdujemy natomiast nieodzowny ten — według Napoleona — warunek zarówno w popiersiach Chaudet'a i Canovy, zupełnie drugorzędnych jako dzieła sztuki, rozmyślnie oddalających się od pierwowzoru, jak i w portretach Gérard'a i David'a, w których nie należy już odtąd dopatrywać się podobieństwa.

Błędnem byłoby mniemanie, że kierowała Cesarzem zarozumiałość lub też chęć wydania się piękniejszym. Nie troszcząc się o zmiany, jakim fizyognomia jego podlegać mogła z biegiem czasu, utrwalić chciał w oczach ludu typ, według jakiego narody winny wyobrażać sobie monarchę. Rzeczą więc ważną było, aby ten monarcha, założyciel Czwartej Dynastji, wyróżniał się pięknoscią, spokojem i majestatem, aby pięknym był nadludzką prawie urodą, podobny deifikowanym Cezarom lub bogom starożytnym, których Cezarowie byli obrazem. Nie przywiązywał żadnej wagi do podobieństwa, poprzestając na tem, że oficjalne popiersia i portrety przypominały zasadnicze rysy jego twarzy. Tym sposobem, w oczach ludów wznosił się ponad zwykłe koleje życia ludzkiego, niedostępny był starości i związanym z nią zmianom fizycznym, niedostępny wszelkim wnioskom, jakie możnaby wysnuwać o stanie jego zdrowia z takiego lub innego portretu; zakazując skądinąd rozpowszechniania wiernych wizerunków swego oblicza, zapewnił mu nieśmiertelność, dzięki jednemu tylko, oficjalnie uznanemu typowi.

W rozporządzeniu tem przebija polityczna przezorność założyciela dynastji. Każda dynastia —

np. Burboni i Habsburgowie — wyróżniać się powinna oficjalnym typem, szczególnymi cechami powierzchowności. Uogólniając zatem typ, łagodząc najbardziej indywidualne cechy własnego oblicza, Napoleon torował w tym kierunku drogę swoim potomkom i siostrzeńcom. W rzeczy samej, wszyscy Napoleonidzi odznaczają się niewątpliwą wspólnością rysów, które zawsze przypominają w pewnej mierze idealną piękność, w jaką głowa rodu przyoblekła urzędowy swój wizerunek.

W stosunku do polityki i oficjalnego przedstawicielstwa monarchy, myśl to wielka i głęboko pojęta. Napoleon rozwijał ją do ostatecznych granic. Nie troszczył się wcale o podobieństwo miniaturowych nawet portrecików, mających zdobić pamiątkowe tabakierki. Znamienne są pod tym względem listy Duroc'a, wielkiego marszałka pałacowego: »Polećcie artystom — pisze Duroc 15-go września 1807 r. — aby malowali ładne raczej twarze«. 1-go października pisze: »Zwrócić proszę uwagę malarzy na to, iż wierne podobieństwo mniejsze ma znaczenie, aniżeli idealne piękno i że zachowując pewne charakterystyczne rysy twarzy, uwzględniać powinni przede wszystkim estetyczną stronę portretu«. 22-go października: »Odsyłam panu portret Jego Ces. Mości; twarz niedość jest szlachetna; zarówno w tym portrecie jak i we wszystkich innych, malarz w pierwszym rzędzie stara się uchwycić podobieństwo, którego uchwycić nie może i to właśnie staje się przyczyną innych błędów«. Liczbę przytoczonych przykładów można by zwiększyć w nieskończoność; sądę wszakże

że dostatecznymi są te trzy przykłady, zebrane w ciągu dwóch niespełna miesięcy.

Nie można więc dopatrzeć się prawdziwego oblicza Cesarza ani w obrazach David'a, Gros'a, Gérard'a, Roberta Lefèvre, Appiani'ego, Muneret'a, ani w miniaturach Isabey'a, jego współpracowników i uczniów. Gdzieindziej należy szukać go. Tylko za pośrednictwem drobnych rysunków, ukradkiem niemal naszkicowanych przez malarzy francuskich lub obcych, śledzić możemy stopniowe przeobrażanie się tej twarzy pod wpływem ubiegłych lat i choroby.

Tak jak jeden z jego siostrzeńców, współczesny nam, najbardziej pokrewny mu organizacją fizyczną, Cesarz przeżył około czterdziestki fazę gwałtownego życia, dotychczas niczem nie zapowiadającą się. Skłonność ta niewątpliwie wcześniej ujawniła się w ks. Napoleonie. Cesarz zawdzięcza ją chorobie, trapiącej go od czasu pobytu w Tulonie aż do końca Konsulatu, gorączkowemu życiu, jakie prowadził we Włoszech i w Egipcie, nadmiernej pracy umysłowej w okresie Konsulatu, zwłaszcza zaś i wyłącznie własnemu organizmowi. Skutek opóźnił się, lecz przyczyna była identyczna i począwszy od r. 1807, t. zn. od chwili, w której ustatkował się zapalny jego temperament, Napoleon zaczął tyć niepomierne. Ustalić można tę datę gdyż jeszcze w r. 1806 i początkach roku 1807, zarówno niepospolicie piękny olejny portret Cesarza, malowany w Berlinie przez Dähling'a, jak i dzieła innych artystów, wykonane w Poczdamie

i Warszawie, ukazują nam dobrze li tylko rozwinętą postać męską, nieszespeconą jeszcze nadmiarem tuszy. Niewątpliwie, twarz jest już szersza, policzki bardziej zaokrąglone, nic jednak jeszcze rażącego. Od czasu zaś traktatu tylżyckiego, pod wpływem wzmagającej się tuszy, twarz zmienia charakter i odtąd — aż po r. 1812, za wyjątkiem może tych okresów, w ciągu których Cesarz używa nadmiernego ruchu fizycznego, tusza ta wzmaga się ustawicznie, niczem niepowstrzymana; Cesarz tyje; zwłaszcza twarz jego zaokrągla się.

Zmiany te zauważyć już można w rycinach — na ogół dość nieudolnych — przeważnie anonimowych, wydawanych głównie za granicą, odnajdujemy je potrosze nawet w portretach oficjalnych, jak np. w portrecie Isabey'a, przedstawiającym Cesarza en pied, w pełnej gali dworskiej; lecz malarz był jednocześnie dworakiem i uwydatnił tuszę o tyle tylko, żeby wywołać wrażenie powagi i majestatu; portret David'a, również upiękuszony, przywraca postaci Cesarza utraconą smukłość a twarzy dawną ściągłość i w r. 1812 odtwarza Napoleona z r. 1807, o poważniejszym tylko wyrazie twarzy. Nic jednak nie dorównywa w tym kierunku wartości rysunku, robionego z natury, którego nie dotknęła korygująca dłoń malarza ani rytownika, który staje się w tych warunkach wyrazem prawdy osobiście przez rysownika ujętej i stwierdzonej. Jakkolwiek jest to tylko rycina, wymienić trzeba w pierwszym rzędzie niezwykle piękny sztych, wykonany przez nieznanego artystę holenderskiego w r. 1811, podczas podróży cesarskiej po Zjedno-

czonych Departamentach. W braku podpisu autora stwierdzić można przynajmniej pochodzenie sztychu i datę, gdyż pierś Cesarza — oprócz Wielkiej Gwiazdy Legii honorowej i Żelaznej Korony — zdobią z lewej strony insygnia ustanowione w tym czasie orderu »La Réunion«, który Napoleon nosił tylko podczas tej podróży, a który odnajdujemy jedynie w dziełach artystów holenderskich. (Świadczy o tem obraz Van Spaëndock'a, ciekawy jako akcesorya, lecz mało podobny i mniejszej znacznie wartości, niż wymieniony poprzednio sztych). W sztychu tym twarz Napoleona zupełnie prawie jest okrągła, tak dalece okrągła, że można by posądzić autora o przesadę, gdyby nie widniejąca w innych szczegółach rysunku chęć upiększenia, gdyby nie to zwłaszcza, że graficzny dokument ten potwierdzają trzy rysunki oryginalne, z których jeden jest dziełem Couder'a, dwa pozostałe — Girodet'a. Couder, liczący w r. 1811 dwadzieścia jeden lat, naszkicował portret pastelami w kaplicy w Tuileries, podczas nabożeństwa. Włosy nie czarne, lecz zaledwie ciemne, oczy niebieskie, o wyraźnej niebieskiej barwie, twarz prawie okrągła, ale niepospolicie piękna, o niezwykle regularnych rysach, głowa na krótkiej osadzone szyi, barczyste ramiona — oto najbardziej charakterystyczne cechy tego pastelu, wyróżniające go z pomiędzy wielu innych dzieł. Porównywując go z późniejszymi o rok rysunkami Girodet'a, które odtwarzają głowę Cesarza w pięciu odmiennych pozach, skonstatować można, że od r. 1811 do r. 1812 — tusza

wzmogła się: twarz okrąglejsza jest, policzki pełniejsze, włosy bardziej przerzedzone nad czołem. Jeden z tych rysunków znany jest co prawda tylko ze sztychu Maile'a, odbitego w Anglii przez Jones'a; lecz drugi — własność hr. Antoniego Hunolstein — mógł być dokładnie wystudyowany i stanowi nader wierny i nader zajmujący wizerunek Cesarza.

Oba rysunki Girodet'a z jednego pochodzą roku, z jednego niemal miesiąca. Pierwszy z nich znany z wymienionej powyżej ryciny angielskiej, wykonany został w kaplicy w Tuileries, 8. marca 1812 r.; drugi — należący do p. Hunolstein — podczas przedstawienia w Saint-Cloud, 13-go kwietnia 1812 r. Nadworni aktorzy Jego Ces. Mości: Fleury, Armand, Michot, panie Volnais i Mars grali trzyaktową wierszowaną komedię Monvel'a, L'Amant Bourru, którą Napoleon widział już poprzednio w Saint-Cloud, 3-go sierpnia 1806 r. i w Fontainebleau — 17-go października 1810 r. Za trzeciem przedstawieniem sztuka nie zajęła go: usnął a Girodet z tego skorzystał. Jest to pierwszy autentyczny portret Napoleona śpiącego, pierwsze odbicie jego twarzy w stanie całkowitego spoczynku. Budzi się nagle i rozgląda dookoła siebie, czy przypadkiem nie zauważył kto tej drzemki — oto drugi szkic. Usiłując następnie uśmiechnąć się, zwraca oczy ku scenie — oto trzeci rysunek. Widzimy więc po raz pierwszy uśmiech Napoleona, ten uśmiech o nieprzepartym uroku, który rozjaśnia i zdobi całą twarz, którego dotąd nie pokusił się odtworzyć żaden malarz, żaden rzeźbiarz. Nikt nie zdołałby opisać go słowami. Blask głęboko osa-

dzonych oczu, czar i wdzięk tego uśmiechu, uchwycone zostały i uwiecznione przez artystę, który — przynajmniej tym razem — okazał się wielkim. Rysunki Girodet'a niezmierną mają wartość i pod innym jeszcze względem: mają znaczenie rewelacyi; co do zmian, jakie zaszły w zarysach twarzy, potwierdzają najzupełniej oba rysunki z r. 1811; twarz Cesarza jest okrągła, podobna do twarzy króla Rzymskiego z rozmaitych portretów Isabey'a i Gérard'a. Zrozumiałym staje się wówczas cel, do którego — za wyjątkiem jednego Proudhon'a — dążyli nadworni malarze, ustalając oficjalny typ Napoleonida. W twarzy syna należy dopatrywać się twarzy ojca.

Dwa lata później, z czasu pobytu na wyspie Elbie, wyróżnić trzeba szkic, robiony z natury przez Huber'a, jednego z pokojowców cesarskich. Profilowy rysunek ten, nader miernej wartości, świadczy jednak o tem jak bardzo wychudł Cesarz po kampanii francuskiej. Niewątpliwie profil najmniej zmienił się pod wpływem tuszy; dowodem tego rysunek Girodet'a z 8-go marca 1812 r.; rysy zachowały swoją wyrazistość — czoło, nos, usta, czystość rysunku; lecz tłusty podbródek i puciołowatość policzka łączy się z nosem brzydką linią, wyraźnie złagodzoną w rysunku Huber'a.

Po wyjeździe z Rochefort, nieudolne tylko karykatury, pozbawione wszelkiego talentu — odtwarzają postać Napoleona. W każdym bądź razie jakkolwiek rysowane przez wrogów, którzy za wszelką cenę usiłowali skarykaturować i ośmie-

szyć rysy Cesarza, dostarczyć wszakże mogą pewnych wskazówek umiejętnemu badaczowi. W jednym z tych szkiców — oryginał podpisany jest inicjałami L. B. — trudno byłoby nie rozpoznać natychmiast rysów i postaci Napoleona. Wykonano go w roku 1817, t. zn. wówczas, kiedy dostojny więzień zachował był jeszcze pozory zdrowia. Trzy lata później, pod koniec roku 1820, przygodny jakiś rysownik w innym szkicu odtworza głowę Cesarza, dziwnie przypominającą karykatury, jakimi starano się w ostatnich kilku latach ośmieszyć ks. Napoleona. Silniej występuje teraz orla linia nosa i wydatność wysuniętej ku przodowi brody; wskutek przymusowej bezczynności i dobrowolnego odosobnienia — tusza wzmożła się jeszcze, brzuch zwiększył, nogi zeszczuplały. Zbliża się wreszcie kres, zbliża wyzwolenie: I oto, według nader wiernego sztychu au pointillé — rysunek, wykonany przez William'a Crockatt, w czternaście godzin po śmierci. Nieudolną jest dłoń rysownika, lecz mimo nieudolności — marta ta głowa silniej może do nas przemawia, aniżeli świetna maska pośmiertna, zdjęta przez Antommarchi'ego. Zanim śmierć dokonała swego dzieła — opowiada Marchand — Cesarz, wynędzniały przez długą mękę, uderzająco podobny był do Konsula i przez czas jakiś twarz jego nadludzko niemal piękna, ściągłejsza, jakgdyby bardziej subtelna, o wyrazie raczej nadziei i zapalu niż władzy — identycznie taką samą była, jak ta, która przewodziła niegdyś Francji po błogosławionym dniu 18-go brumaire'a, w epoce kiedy

Bonaparte, sławą rycerską opromieniony, uosabiał nadzieję i przyszłość ojczyzny. Owe najistotniejsze cechy twarzy Napoleona uchwycił i uwiecznił rysunek wroga — rysunek oficera angielskiego ¹⁾.

¹⁾ Prześliczne popiersie Cesarza, dłuta Houdon'a, o którym wspomniałem powyżej, znajduje się w muzeum w Dijon. Tylko kilka osób uprzywilejowanych otrzymało odlewy tego popiersia, odlewy niedostępne dla ogółu zwykłych śmiertelników.

STO LAT TEMU. — CESARSTWO.

Czy Cesarstwo — ustanowione sto lat temu przez Napoleona Bonaparte'go — przypadkiem było lub kaprysem, czy też przeciwnie wyrozumowanym wynikiem i konkluzją? Czy dożywotni Konsulat nie był dostatecznym zadośćuczynieniem doznawanym przez naród potrzebom normalnego życia, zorganizowanej administracji, spokoju religijnego, wskrzeszenia urzędów społecznych? Czy właściwem było i koniecznem dodawać do instytucji konsularnych, zastrzeżonych ponowną konstytucją z r. X-go blask i urok korony, tronu i dworu monarszego? Czy Bonaparte mógł obejść się bez tej korony?

Wydawaćby się tak mogło z dzisiejszego punktu widzenia. Po upływie stulecia, wobec doświadczenia, nabytego w ciągu trzydziestoletnich już rządów republikańskich, dziwić się można, że Bonaparte nie poprzestał na uzyskanej znacznej władzy na rozgłosnej sławie swojej, na rezultatach owoonej działalności. W czem godność cesarska zwiększała władzę pierwszego Konsula, ustanowioną już nie przez konstytucję r. VIII-go, lecz przez najwyższe uchwały senatu (Senatus Consultes), mo-

dyfikujące konstytucję, oraz przez upadek niektórych artykułów prawnych, nigdy nie wykonywanych, jakkolwiek istniejących nominalnie?

Skoro użytek, jaki zrobiono z tejże konstytucji w walce z pierwszym Konsulem, udowodnił Bonaparte'mu, że w dziele zjednoczenia starej i młodej Francji nie może polegać na obieralnych ciałach prawodawczych, w których nie wygasło jeszcze buntownicze zarzewie dawnych zgromadzeń rewolucyjnych; skoro natknął się na nieprzejednaną ich opozycję we wszelkich uchwałach, dążących do uśmierzenia wzburzonych umysłów, do przywrócenia władzy i obrony porządku społecznego; skoro słuszne żywić mógł obawy, że z łona Instytutu — który rozważał i rozpatrywał, Trybunału — który wnioskował i Ciała prawodawczego — które uchwalało, rozprzeżenie przejdzie w szeregi armii, podburzanej od 18-go brumaire'a począwszy przez niezliczone spiski, armii — w której co chwila jakiś generał, urażony osobiście przewagą Konsula, groził buntom — czyż przez ponowny wybór członków Instytutu, przez wykluczenie opozycji z Trybunału i Ciała prawodawczego nie zaprowadziłby nowego systemu nominacji senatorów, systemu — pozwalającego jemu panować a Francji żyć i rozwijać się?

Nie! Gdyż mimo tego nawet, Francją targają ciągle burze, mimo tego w ustawicznej żyła trwoda o dzień jutrzejszy, żyła pod grozą porozumienia się malkontentów armii z malkontentami z poza granic kraju, pod grozą zjednoczenia się czynnych żywiołów wojskowej opozycji z czynnymi żywio-

łami szuanery i emigracyi, pod grozą upadku Konsulatu wraz z Konsulem.

*KL**

A przyszłość ciemną była i nieznana. Kto byłby zwycięzcą: Burboni czy też dyktatura wojskowa, królobójcy, czy stronnicy Kondeusza, Fouché czy Cadoudal? Stronnictwa chwilowo sprzymierzone, zwalczałyby się wzajemnie po zwycięstwie; wybuchłaby wojna — i jaka wojna! nie walka doktryn i przekonań, lecz zażarty bój na śmierć i życie: z jednej strony — nabywcy dóbr narodowych, oficerowie, którzy wybili się na widownię w czasie wojen Rewolucyi, nieprzeliczony zastęp nowych urzędników państwowych; z drugiej — prawni właściciele tych samych dóbr, oficerowie, których usunięto lub skazano na banicję, uczestnicy wszystkich buntów i powstań, Wandeja, Bretania, Normandia, Lyon, Tulon, całe południe Francji, ci wszyscy — których ograbiono, których gnębiono i prześladowano, czyli dwie trzecie narodu francuskiego. Byłoby to wznowieniem tej nieubłaganej walki, z której znane są tylko poszczególne epizody, której historyi nikt dotychczas nie skreślił, która zamieniała Francję całą w olbrzymie pobojuwisko tak długo — jak długo prądomocną była Konstytucya r. III-go.

Konsulat dożyłotni przeobrazić się musiał w Konsulat wieczysty; zapewnić trzeba było nie tylko bezpieczeństwo dnia dzisiejszego lub jutrzejszego, lecz i bezpieczeństwo późniejszych pokoleń;

na wypadek śmierci Napoleona, inny Napoleon z góry powinien być wskazany i zatwierdzony, aby kontynuować rozpoczęte dzieło. Niewątpliwie, nikt nie byłby w stanie dorównać Napoleonowi, lecz, w braku genialnego twórcy, który stworzył i zorganizował skomplikowaną maszynę państwową i puścił ją w ruch, człowiek średniej inteligencji podjąć mógł następnie zadanie.

Chcąc ustanowić tę wieczystość i położyć jednocześnie tamę wszelkim możliwym zamachom, głowa państwa świętą być musiała i nietykalną, wznoszącą się — zarówno przez pochodzenie swoje jak i przez religijną konsekrację — ponad zawiść, spiski i zamachy wrogów Konsulatu, którzy zwalczając w ten sposób Napoleona jako Konsula, stokroć gorzej jeszcze szkodzić mogli jego następcy. Chcąc pozyskać dla rządu klasy przodujące niegdyś w dawnym ustroju państwowym, stanowiące dotychczas wykwił kultury umysłowej i ogłady towarzyskiej, jedyne, które dostarczyć mogły odpowiednio uzdolnionych dyplomatów i administratorów — czyż nie należało pociągnąć je urokiem sprawowanych niegdyś przez nie urzędów i godności a wytwarzając dobrobyt w sferach robotniczych i kupieckich, czyż nie należało wskrzesić społeczeństwa, któremu upodobania, potrzeby oraz środki materialne dozwalałyby zbytłowne prowadzić życie? Chcąc wreszcie, w czasie spokoju, przywrócić przewagę Francji nad innymi ludami Europy, przewagę — której ugruntować nie mogły same tylko zwycięstwa, czy nie należało upodobnić rząd jej do rządu innych narodów?

Działy te czynniki i wiele innych. Przede wszystkim jednak względy użyteczności, mus i zasady państwowości, jedne zmienne i czasowe, drugie definitywne i wieczyste. Niewątpliwie, duma i pragnienie władzy, tkwiące w duszy Napoleona, zaważyły również na szali. Lecz czy istotnie stosownem jest to określenie? Czy uczucie dumy jako takie — wznieść może aż do wyżyn tronu? Tylko szczególny zbieg okoliczności sprzyjających, tylko nieprzerwany szereg nadludzkiej wprost miary wypadków — urzeczywistnić mógł to szalone marzenie. Niepozorny Korsykanin, bez nazwiska, bez stosunków, bez majątku — wylądowuje we Francji, kończy szkoły jako ubogi stypendysta i w ciągu lat dwudziestu, zawsze zwycięski, wznosi się nieustannie — faworyzowany przez los, aż wreszcie sława jego rozbrzmiewa wszędzie, wypełnia Francję i świat cały; sprzyjało mu wszystko, nawet klęski na jego obracały się korzyść a tak niezmiennem było powodzenie, iż uwierzyć musiał, że jest ono wynikiem wyższej woli, że on sam narzędziem jest w rękę Boga. Wobec własnego tak świetnego losu, nie mógł być sceptykiem. Wierzyć musi, że jest wybranym bożym, że spełnić powinien swoje posłannictwo, że przeznaczone mu są najwyższe godności, że potężną swoją dłońią sięgnąć może nawet po koronę Francji i berło świata całego.

W ciągu ubiegłego stulecia, sześciokrotne zaburzenia rewolucyjne rzuciły we Francyi cień na urok monarchizmu. Dziwaczem wydaje się dziś przekonanie, że monarchizm był czemś innem i czemś lepszem od prawnego urzędowania magistratury, pochodzącej z ramienia obieralnych organów rządowych; że we wszystkim zgola różnią się one całkowicie i że przypuszczając nawet równomierność prerogatyw — samo pochodzenie uszlachetnia jedną formę rządu — poniżej — drugą. Lecz wątpliwość ta nie istniała za czasów Bonaparte'go.

Od roku 1791, przyjęty został system rządzenia, z kontrolą lub bez kontroli, sprawowany — na skutek nieobliczalnej w swoich wynikach elekcji — przez najzręczniejszych, najgłupszych lub najbardziej zbrodniczych członków zgromadzenia, zwykle przez najbierniejszych i najpodlejszych, którzy kierowali się zawsze zasadą gnębienia słabszej mniejszości, a ustępowania przed przemocą. W czyjekolwiek dłonie dostała się władza wykonawcza — prawnie czy też przez użycie gwałtu — bez względu na to, czy sprawował ją przewodniczący Konstytuanty, mer lub Komuna paryska, Tymczasowa Rada Wykonawcza, komitety Konwencji lub Dyrektoryatu — zawsze przywłaszczyciele tej władzy byli tylko emanacją podporządkowaną zgromadzeniu, które niekiedy prawnie było zwołane, najczęściej jednak było owocem rewolucyjnych zamieszek. Władza wykonawcza podlegała więc bądź to zwierzchnictwu zgromadzenia, bądź też zaburzeniom, które powołały ją do

życia: nigdy nie była niezależną. Jeden tylko Konsulat skądinąd się wywodzi i szlachetniejszy przez to ma charakter.

Był wyrazem woli całego narodu. Dzięki temu niewątpliwie rządy Bonaparte'go cechuje samodzielność, celowość i stanowczość, nie pozwalająca porównać ich z rządami lat poprzednich. Jaka wszakże niezgłębiona przepaść między Konsulatem a Monarchizmem — takim, jakim pojmowano go do r. 1788!

Monarchizm tajemnicą był formacji narodowej, był streszczeniem historii dziesięciu stuleci, przez uwiecznienie dynastji był ścisłym zespołem kraju z rodem, który stworzył państwo, który rozszerzył jego terytorjum, kęs po kęsie, prowincya po prowincyi; wskutek wreszcie konsekracji kościelnej, jakiej użyczała mu religia wspólna wszystkim Francuzom, przez wszystkich wyznawana, był instytucją nie ludzką już, lecz boską.

Zakładając nową dynastję, Bonaparte rościć nie może pretensji o to, że będzie ona kontynuacją lub nawet naśladownictwem dawnej dynastji. Oprzeć ją może na dwóch tylko podstawach: w pierwszym rządzie na aprobachie narodu — a naród, który przyjął Konstytucję konsularną z r. VIII 3.011.007 głosami przeciwko 1.562, który mianował Bonaparte'go Konsulem dożywotnim 3.568.885 głosami przeciwko 8.374, uznaje dziedziczność korony cesarskiej w rodzie Napoleona 3.521.660 głosami przeciwko 2.579; następnie na konsekracji religijnej, wprawdzie już nie państwowej religii,

wspólnej wszystkim Francuzom, lecz religii przywróconej przez Konkordat, która wniosła spokój w łono narodu i w dusze jednostek.

Według Napoleona, religia ta jest »tajemnicą porządku społecznego«, przez niezwykle uduchowienie swojej doktryny, jest »religią narodów cywilizowanych«. »Społeczeństwo bez religii, wiecznie wzburzone, szarpane ustawicznie najgwałtowniejszymi namiętnościami, odczuwa we własnym łonie wszystkie okropności wojny domowej, która strąca je w przepaść niedoli i cierpienia i prędzej lub później staje się przyczyną nieodwołalnej zguby«.

Cesarz zwróci się tedy z prośbą o konsekrację kościelną, nie do jednego z przedstawicieli kleru, lecz do Najwyższego Kapłana tej religii.

Wznosząc się tym sposobem ponad wszelką zawiść, ponad wszelką rywalizację, jako pomazaniec boży legalnym staje się władcą. Żaden katolik nie będzie mógł oskarżyć go o uzurpowanie korony, którą uwieńczył jego skronie namiestnik Chrystusowy. Pod takimi więc auspicjami zawrze z jednogłośnie powołującym go do władzy narodem — związek, którego nie będą mogły rozluźnić ani bunt wojaskowe, ani cywilne zamieszki, związek — dzięki któremu, wolny od wszelkiej troski o dobę dzisiejszą, ujarzmi przyszłość.

* * *

Jakkolwiek kolosalny, szalony niemal — projekt ten odpowiadał wymogom chwili a urzeczy-

wistnienie jego było koniecznością dziejową. Do ugruntowania jednak Cesarstwa i świeżo założonej dynastji, potrzebna była wiara — wiara niezachwiana — a wiary tej w niczym niestety! nie było sercu, nawet w sercu Napoleona, skoro, dzieścię lat później, zrzeka się tronu w imieniu swoim i swoich potomków. Ci, którzy wierzą — nie abdykują. Dowiódł tego Ludwik XVIII-ty.

BONAPARTE A LUIZYANA.

»Niema marynarki bez kolonii!« — woła Decrès, minister marynarki, powołany przez pierwszego Konsula do wzięcia udziału w obradach dotyczących cesyi Luizyany Stanom Zjednoczonym. »Niema kolonii bez marynarki« — odpowiada Bonaparte. Oba pojęcia nierozłączne i Napoleon wie o tem lepiej niż ktokolwiek inny.

Od czasu zawarcia traktatu pokojowego w Amiens, pierwszy Konsul dokładał wszelkich starań, aby rozstrzygnąć oba te zagadnienia; aby zatrzeć z jednej strony ślady klęsk, jakie poniosła marynarka narodowa, nietyle na skutek wojen obcych, jak wojny domowej; aby wrócić skądinąd Francyi jej dawne kolonie, dalekie krainy — w których używany powszechnie język francuski utrzymywał tradycye narodowe i ścisły związek z ziemią-macierzą.

Stracony jest Egipt, utracone Indye i Kochinchina, lecz pozostają jeszcze kolonie amerykańskie. Terytoryum ich rozszerza się po traktacie w Bazylei przez cesyę — na korzyść Francyi — hiszpańskiej części wyspy San-Domingo, oraz po traktacie w San-Ildefonse przez cesyę Luizyany, odstą-

pionej poprzednio Hiszpanii w r. 1763. Obejmuje więc teraz całą wyspę San-Domingo, liczącą 753 kwad. miriametrów; obejmuje Martynikę, Gwadelupę, Deziradę, Marie-Galante, wyspy Święte, część wyspy św. Marcina, wyspę św. Lucy, Tabago i Luizyanę.

Lecz czem są w r. 1802 nasze dawne kolonie, jaką przedstawiają wartość, jaką przywiązywano do nich wagę? — Odpowiedziała na to pytanie Konstytuanta podczas dyskusji nad zniesieniem niewolnictwa: »Niechaj giną raczej kolonie, niżby upaść miała jedna choćby tylko zasada Rewolucyi«. — Tryumf zasady całkowity był, brutalny, okrutny, lecz wraz ze śmiercią wymordowanych kolonistów, zginęły również kolonie.

Czy znana jest wielkość straty? W r. 1787, kolonie na wyspach Antylskich importowały do Francji, na 686 okrętach francuskich — pojemności 219.122 ton, towarów kolonialnych za 218.511.000 franków; Francya zaś, na jedną tylko wyspę San-Domingo, importowała towaru za 122.000.000 franków. Prócz ceny wynajmu okrętów przewozowych reeksportacji produktów, wzajemnej wymiany i wynikających stąd korzyści, Francji przypadała w udziale przeważna część czterdziestu milionów, które stanowiły dochód właścicieli kolonialnych posiadłości ziemskich. Cyfry te, pomnożone pięciokrotnie w celu otrzymania dzisiejszej wartości pieniędzy, dają sumę dwumiliardowego obrotu; w tem miliard zysków. Z kolonii więc przechodził do Francji zbytek, moda i potrzeba wykwintu. Kreolowie nadają ton zarówno w mieście jak i na

dworze królewskim; bez nich, bez ich wpływu, bogactwa, rozrzutności — niezrozumiałymi stają się obyczaje u schyłku XVIII-go stulecia.

* * *

W ciągu ilu lat powstawała ta olbrzymia fortuna, dzięki której kwitną i rozwijają się miasta — Bordeaux, Nantes, le Havre, la Rochelle, Dunkierka, Bayonne, nawet i Marsylia, która utrzymuje i uzbraja flotę liczącą w r. 1791 — 135.000 wykwalifikowanych marynarzy, zdolnych w razie potrzeby do służby państwowej? W ciągu niespełna lat trzydziestu. Gdyż, jeśli eksploatacja wyspy San-Domingo datuje już z r. 1722, epoki zniesienia Compagnies exclusives, to dobrobyt powstaje znacznie później, począwszy dopiero od roku 1764, w okresie piętnastoletniego pokoju z Anglią, zawartego bezpośrednio po wojnie siedmioletniej. Dobrobyt ten był wszakże w zupełnej zależności od niewolnictwa, nierozdzielnie z niem związany; wzrastał w miarę, jak wzrastała czarna ludność wyspy a jeśli tak znacznym był w roku 1788, to dlatego, że w tym czasie liczba niewolników doszła do 405.504, podczas kiedy w roku 1779 było ich tylko 249.000.

Od traktatu wersalskiego, odkąd Anglia zrzekła się najważniejszych niewolniczych swoich kolonii, filantropowie angielscy usilnie agitowali w celu zniesienia niewolnictwa i oczywiście nie omieszkali znaleźć we Francji łatwowiernych jednostek, które przejęły się rzekomą ich zasadą. Zasadę tę

opłacała Francya nietylko stratą dwudziestu tysięcy okrutnie wymordowanych Francuzów i zniweczeniem marynarki handlowej, lecz nadto stratą miliarda rocznych zysków, gdyż w r. XIII-ym całkowity import kolonii francuskich, zarówno amerykańskich jak afrykańskich i azyatyckich, spadł do półtora miliona rocznego obrotu a eksport — z Francyi do kolonii — do 282.000 franków.

Pierwszy Konsul postanowił przywrócić Francyi to niewyczerpane źródło dochodów i wskrzęsić jednocześnie marynarkę; żądanie jego nie polega więc tylko na odebraniu francuskiej części San-Dominga, z rąk wyzwolonej i zbuntowanej ludności murzyńskiej i kolorowej, która proklamowała w rzeczy samej swoją niezależność; nie polega na zajęciu Luizyany i hiszpańskiej części wyspy San-Domingo, lecz przedewszystkiem polega na wskrzeszeniu zdolności wytwórczych wszystkich kolonii francuskich na wyspach Antylskich, t. zn. na przywróceniu niewolnictwa. Kultura nie mogła istnieć bez niewolnictwa, handel — bez kultury, marynarka — bez handlu.

Mając przed sobą taki rozległy cel, działać trzeba zupełnie inaczej, niż w koloniach odstąpionych Francyi przez Hiszpanię, gdzie istniało dotychczas niewolnictwo, gdzie rząd znaleźć mógł zawsze punkt oparcia, ułatwione zaprowadzenie a w razie nieprawdopodobnej porażki — bezpieczne schronienie. Mniejsza z tem, że Luizyana kosztuje blisko dwa miliony rocznie: wydatek ten nie dorówna jednak nigdy dochodom, jakie daje San-Domingo. Zresztą, Luizyana rozwija się nie-

przerwanie: w przeciągu dwudziestu czterech lat, ludność z 12.000 wzrosła do 50.000 a jeśli w Saint-Louis jest tylko 900 mieszkańców, to Nowy Orlean liczy już 9.000 dusz. Luizyana dorówna wkrótce wyspie San-Domingo, a wówczas Francya posiadać będzie rozleglejsze i bogatsze kolonie, aniżeli wszelkie inne państwa.

Takiem było marzenie. Urzeczywistnienie tego marzenia zależało od trzech czynników: od trwałości pokoju z Anglią — a chwiejny ten pokój nie przetrwa jednego nawet roku; od całkowitej neutralności Stanów Zjednoczonych — tymczasem Stany Zjednoczone nietylko że dostarczają, za pośrednictwem sprytnych spekulantów — broni i amunicji zbuntowanym negrom z San-Domingo, lecz nadto, ponieważ urzędnicy hiszpańscy z Luizyany ujawnili traktat, na mocy którego Amerykanie mieli prawo założenia składów handlowych w Saint-Louis, mieszkańcy Kentucky i Tennessee przygotowują inwazyę; w Senacie rozbrzmiewają brutalne groźby, skierowane przeciwko »Tyranowi Niemiec«; wycieczki piratów w górnej części Mississipi żadnej nie napotykają przeszkody; w Luizyanie niema jeszcze ani jednego żołnierza francuskiego, ekspedycja zaś, przygotowywana w Helvoet-Sluis dla objęcia jej w posiadanie, opóźniona wskutek braku pieniędzy, wskutek zimy i burz, wskutek nieodzownej konieczności zaopatrzenia się w prezenta dla Indian, wskutek zmiany wodzstwa i chorób grasujących w załogach — nie wypłynęła jeszcze na morze, gdy już wojna z Anglią stała się nieuchronna.

Trzecim wreszcie czynnikiem jest zdrowotność klimatu wyspy San-Domingo, wpływ jego na wojska przybyłe z Europy. Za zdrowotność tę ręką wszyscy kreolowie, wszyscy dawni urzędnicy wyspy; Moreau de Saint-Méry, autor olbrzymich dwóch tomów o San-Domingo i Barbé-Marbois, ostatni intendent rządu, udowadniają zdanie swoje faktami, cyframi, statystyką. Tymczasem żółta febra wybuchła nader prędko wśród wojska, szerząc się z zatrważającą szybkością; kilka tygodni, kilka miesięcy później »armia wymarła lub jest na wymarcu«.

We Francyi, opinia — niegdyś tak przyjazna kolonialnej polityce Bonaparte'go, że generałowie uważali sobie za ujmę i niełaskę nie być dopuszczonymi do ekspedycji, że we wszystkich portach francuskich zbrojono okręty, że opiewano wszędzie ową ziemię obiecaną, mlekiem i miodem płynącą — opinia obecnie wrogo usposobiona, przysłowiowem niemal uczyniła pojęcie, że ekspedycja ta, której kierownictwo powierzył pierwszy Konsul swemu szwagrowi, w której do wzięcia udziału nakłonić chciał własną siostrę, miała na celu jedynie zdziesiątkowanie Armii Renu na korzyść Armii włoskiej. Gdyby nie żółta febra, zwycięstwo byłoby zupełne, prawie bez walki. We wszystkich potyczkach, walcząc jeden przeciwko dziesięciu, Francuzi zwyciężali a generał Ferrand utrzymał się w hiszpańskiej części San-Domingo aż do roku 1808, nie mając ani broni, ani amunicji, ani żadnej styczności z krajem ojczystym: 500 żołnierzy białych stawiało dzielny opór 20.000 negrów.

Plany pierwszego Konsula ostać się nie mogły wobec żółtej febry, wojny z Anglią i wrogiego stanowiska Ameryki. Skoro jednak wyrzec się musi urzeczywistnienia snów i marzeń swoich pragnie uchronić przynajmniej Luizyanę od zwierzchnictwa Anglii, spoglądającej łakomie na Nowy Orlean. Sprzedaje ją Stanom Zjednoczonym a pochodzące ze sprzedaży pieniądze użyte zostaną na budowę okrętów i ekwipowanie pułków, które — zwycięskim dążąc szlakiem — w sercu Anglii, w Londynie, podyktują rządowi wielko-brytańskiemu warunki pokojowe.

Wbrew temu, co mówiono kiedykolwiek, decyzya ta nie jest gniewnym odruchem, lecz wynikiem umotywowanego namysłu, czynem istotnie mądrym. Wchodząc w skład Stanów Wielkiej Republiki, Luizyana przestaje być przedmiotem sporu Ameryki z Anglią; natomiast staje się odtąd przedmiotem sporu z Anglią, która pożądała zawsze tej kolonii, który okrąża ją zewsząd, zajmuje półwysep Florydy aż po wschodnie krańce Stanu Mississipi od roku 1763 do roku 1783, ustawicznie stara się znaleźć punkt oparcia w zatoce meksykańskiej.

Dalsza walka byłaby zresztą niemożliwą, jest to więc jedyne w danym wypadku rozwiązanie kwestyi, jeśli weźmiemy pod uwagę ówczesny stan floty francuskiej. Straconą jest każda placówka, każda obleżona twierdza, której nie można nadesłać posiłków. Kolonie francuskie w Ameryce, oblegane przez przeważającą liczbą i uzbrojeniem okręty angielskie, z góry skazane są na zagładę.

Lepiej zatem odrazu wyrzec się ich. »Jeśli Anglicy zostawią nam niektóre nasze kolonie — rzeczy pierwszy Konsul — to tylko dlatego, żeby narazić nas na próżne wydatki w celu zachowania ich, żeby — z obawy ich utraty — usposobić nas pokojowo, wbrew naszej woli«.

* * *

Takie to okoliczności spowodowały przyłączenie Luizyany do Stanów Zjednoczonych; taką jest stuletnia rocznica, obchodzona uroczyście w r. 1903 przez miasto Saint-Luis, liczące 900 mieszkańców w r. 1803, 900.000 — sto lat później.

Z wypadków tych, opisanych przez p. Barbé-Marbois w roku 1829, opracowanych powtórnie we Francji z zajmującymi szczegółami przez p. de Villiers du Terrage — *Les derniers jours de la Louisiane française* — oraz przez p. Alecé Fortier, we wspólnym dziele, drukowanym w Nowym Yorku — *A history of Louisiana* — wysnuć można morał i wniosek, mianowicie, że kolonialna ekspansja każdego narodu odpowiadać powinna jego potęgde morskiej, że nabywanie lub tworzenie kolonii wówczas, kiedy nie posiada się dostatecznych środków obrony, jest brakiem zmysłu politycznego, że tym sposobem przygotowuje się tylko łup dla nieprzyjaciela i składa mu się w ofierze zarówno wydane pieniądze jak i ludzi, którzy ziemie te zaludnili.

NAPOLEON A FINANSIŚCI.

Zadna może epoka nie przypomina tak żywo doby współczesnej jak ostatnie lata Dyrektoryatu: jest ona tryumfem, apoteozą giełdziarzy i wszelkiego rodzaju spekulantów. Dzięki żonom swoim i metresom, dzięki przepychowi urządzanych przyjęć i festynów, oraz własnemu zepsuciu, opanowali oni wszechwładnie ówczesny sprzedajny rząd i zgangrenowane społeczeństwo. »Dostawcy i spekulanci — mówi Napoleon — byli klęską, byli trądem narodu. Francya cała nie byłaby w stanie zaspokoić ich namiętności i pożądań. Stanowili oni prawdziwą potęgę i zagrażali bezpieczeństwu państwa, hamując działalność sprężyn państwowych i szerząc zepsucie przez własne intrygi, intrygi agentów swoich i licznej ich klienteli. Zajmowali wówczas w społeczeństwie stanowisko dominujące, w pierwszym kroczyli szeregu. Owóż zrównałem zwodniczy ten blichtr z szarym tłumem. Nie sprawowali odtąd nigdy żadnego urzędu ni godności: z wszelkiego rodzaju arystokracji — arystokracja pieniędzy wydaje mi się najlichszą«.

Cesarz odróżniał wszakże bankierów od aferyzistów: »Zgadza się na to — mawiał do Józe-

finy w pierwszych dniach Konsulatu — abyś bywała u bankierów, gdyż oni handlują tylko pieniędzmi, lecz nie chcę widywać cię w domach dostawców, gdyż to złodzieje, którzy kradną pieniądze». Jeśli, w myśl wymienionych poprzednio słów Cesarza, godności państwowe niedostępne były dla dostawców i aferzystów, dostępnymi stały się natomiast dla niektórych bankierów.

Co Napoleon nazywał godnością? Prawdopodobnie senat, przedewszystkiem jednak Legię honorową, następnie szlacheckie tytuły cesarskie, urzędy dworskie, wreszcie order »la Réunion«.

W senacie, na dworze cesarskim, w łonie szlachty — cudzoziemcy byli wykluczeni, lecz jakież był stosunek obcych bankierów do Legii honorowej? Jak wiadomo, cudzoziemcy dopuszczani byli do Legii, lecz nie przyjmowani; nosić mogli Wielki Krzyż Legii — Grand Aigle, krzyż oficerski — l'Aigle d'or, lub krzyż kawalera Legii — l'Aigle d'argent, ale nie przysługiwał im ani tytuł komendanta, ani oficera, ani też kawalera.

Pomijam Wielki Krzyż Legii — Grand Aigle — przeznaczony li tylko dla książąt panujących, dla nielicznych generałów lub premierów; absolutnie niedostępny dla finansisty. L'aigle d'or, krzyż oficerski, przyznano dwudziestu niespełna Włochom, piętnastu mniej więcej Polakom, kilku Austryakom i bardzo nielicznym ministrom lub szambelanom mocarstw sprzymierzonych z Francją. Aleksy Łazarow, grenadyr rosyjskiej gwardyi cesarskiej, otrzymał w Tylży z rąk Napoleona zdobiący pierś cesarską krzyż Legii — l'Aigle d'or — w nagrodę

za męstwo, jednomyślnie uznane przez wszystkich jego towarzyszy broni. Lecz ani jedno nazwisko bankierskie nie figuruje obok kardynała Caprera'y i grenadyera Łazarowa. Krzyż kawalera Legii — l'Aigle d'argent — Napoleon oględniej jeszcze rozdaje niż krzyż oficerski. Otrzymują go zwykle oficerowie cudzoziemcy, którzy walczyli w szeregach francuskich i nieliczni cywile, wysocy urzędnicy administracyjni lub dygnitarze kościelni.

Ani jeden zatem finansista nie dostał tego zaszczytu.

* * *

W senacie zasiada jeden tylko bankier — Perregaux. Lecouteulx — Canteleu posiada wprawdzie dom bankowy, lecz, począwszy od r. 1789, w którym obrany został posłem Stanu Trzeciego miasta Rouen do Stanów Generalnych — jakże rozliczne sprawuje czynności! Dupont jest senatorem jako mer Paryża. Inni członkowie senatu brali może poprzednio udział w spekulacjach pieniężnych, lecz wybór ich niezależnym był od posiadanego majątku i tychże spekulacji. Jeden Perregaux stanowi wyjątek, tem dziwniejszy, że narodowość jego jest conajmniej sporną. Perregaux urodził się w Neuchâtel, 4. września 1744 r., z ojca Franciszka Fryderyka Perregaux, pułkownika milicyi departamentu Vallangin i z matki Barbary Zuzanny de Brun. W Neuchâtel powstał jego dom bankowy, był więc w owym czasie poddany króla pruskiego. Do Neuchâtel również schronił się pod-

czas terroru i tamże doczekał dnia 9-go thermidor'a. Był zatem jeszcze obywatelem miasta Neuchâtel w r. 1794. Dzięki czemu i kiedy naturalizował się? Niewiadomo. Lecz Perregaux jest potęgą: jest jednym z nielicznych bankierów ówczesnych, którzy — mimo Rewolucyi — utrzymali normalny kontakt z Europą, jedyny — którego firma wydawała czeki płatne we wszystkich bankach europejskich, którego podpis wzbudzał jeszcze pewne zaufanie. Perregaux był bankierem Józefiny. Do niego zwraca się o pieniądze Bonaparte, nazajutrz po zamachu 18-go brumaire'a, jeśli nie dniem wcześniej, gdyż kasa państwowa była próżna i nie mogła zadośćuczynić najpilniejszym wydatkom; jest to tem naturalniejsze, że jeszcze przed wyprawą do Egiptu, Bonaparte pozostawał w stosunkach z Perregaux; 12-go kwietnia 1798 r., panna Perregaux poślubiła Marmont'a, ulubionego adjutanta generała Bonaparte'go; Bonaparte wyposażył nawet Marmont'a. Mimo to, nie można przypisywać całkowicie pierwszemu Konsulowi nominacyi Perregaux na senatora. Pierwsze wybory, jakie odbyły się w myśl konstytucyi r. VIII (art. 24) są dziełem Siéyès'a i Rogera Ducos, ustępujących konsulów, oraz Cambacérès'a i Lebrun'a, konsulów czynnych. Jeśli Lebrun, znany z niezwyklej surowości w stosunku do finansistów, zgodził się na nominacyę Perregaux, widocznie bankier zasługiwał na zaufanie. Zresztą, Napoleon zaznaczył następnie stanowisko swoje w tej sprawie: porучzył Perregaux organizacyę Banku francuskiego i mianował go komendantem Legii 14-go czerwca 1804 r. Syn jego

został audytorem Rady Państwa a po śmierci ojca, który zmarł w r. 1808, otrzymał (21-go grudnia 1808 r.) tytuł hrabiego Cesarstwa, w r. 1809 tytuł i rangę szambelana. Tenże Perregaux, hrabia i szambelan, objął naczelne kierownictwo domu bankowego pod firmą Perregaux, którego dyrektorem był podówczas Laffitte, słynny Jakób Laffitte.

Oprócz Perregaux, skład rady nadzorczej Banku francuskiego dostarczył Cesarstwu najwybitniejszych finansistów, najbardziej wyróżnianych przez Napoleona. W Radzie Regencyi — poza Perregaux — jeden tylko regent otrzymał krzyż Legii równocześnie z ustanowieniem tego orderu: jest to p. Ludwik Wiktor Moreau, przemysłowiec, zamieszkały przy ulicy św. Antoniego l. 216. Jest on merem V-go okręgu Paryża i w tym charakterze bierze udział w uroczystej nominacyi d. 14-go czerwca 1804 roku. Z trzech Cenzorów, jeden tylko otrzymał krzyż Legii i stopień komendanta. Jest to p. Journu Aubert, były przemysłowiec miasta Bordeaux, następnie poseł do Zgromadzenia prawodawczego (Assemblée Législative) i członek senatu. (Tenże Journu Aubert, jako hr. de Tustal, był założycielem muzeum w Bordeaux).

Od r. 1804 do 1808, sytuacja nie zmienia się; 11-go stycznia 1808 r., jeden z regentów dostaje krzyż Legii; tym razem nie jest to finansista, lecz przemysłowiec, p. Vital Roux, który od roku 1802 wchodzi w skład komisyi, opracowującej kodeks handlowy; nominacya jego jest nagrodą za czynny współudział w tem wielkiem dziele. 4-go stycznia

1810 r. zostaje oficerem Legii p. Jamo, niewiadomo jednak czy zawdzięcza tę godność tytułowi regenta czy też tytułowi generalnego poborcy administracji Zjednoczonej procedury (Droits réunis). Wreszcie 7-go stycznia 1812 r., dostaje krzyż Legii p. Benjamin Dellessert, na skutek wizyty cesarskiej w pierwszej fabryce cukru z buraków, założonej w Passy przez p. Delessert. Oto wszystko. W roku 1813, na piętnastu regentów czterej tylko są członkami Legii; po ustąpieniu Journu Aubert'a — nie dostał orderu ani jeden z czterech cenzorów, ani jeden z członków Rady Eskontowej, ani też żaden z dwóch wice-gubernatorów.

Napoleon również ogłędnie rozdawał order »la Réunion«. Otrzymał go tylko pierwszy wice-gubernator, p. Thibon i jeden z regentów — p. Mallet. Przeciwnie tytuły szlacheckie hojną były rozdawane dłonią. Zarząd Banku francuskiego siedmiu liczył baronów: Davillier, Delessert, Hottinguer, Mallet, Rodier, Robillard i Thibon. Lecz czy figurować będą jako finansiści w pośród tej szlachty i arystokracji cesarskiej, w łonie której pieniądz — jako tarcza herbowa — piętnować ma po wsze czasy zawód lub też urząd głowy rodziny przez Cesarza utytułowanej? Bynajmniej. Nowa hierarchia szlachecka niedostępną jest dla finansistów i bankierów; dopuszczani są tylko właściciele ziemscy pod warunkiem — że z dóbr swoich utworzą majorat, który zespoli ich z rządem cesarskim aż do najdalszych pokoleń, lecz, dopuszczając do udziału w zyskach, nałoży na nich równocześnie

brzemień tem cięższe, im bliższymi będą osoby panującego. Jako baron, właściciel ziemski, p. Hottinguer pieczętuje się herbem o dwupolowej srebrno-czerwonej tarczy: na czerwonym polu widnieje wieloramienny krzyż; u góry krzyża halabarda, w poprzek trzy miecze; na srebrnym polu — sześć złotych i błękitnych pasów; p. Rodier — herbem o dwu-polowej srebrno-błękitnej tarczy: na błękitnym polu — złota głownia i trzy wieże ozdobione u szczytu trzema gwiazdami; na srebrnym polu — pas koloru piaskowego z trzema głowami Maurów tejże barwy. P. Davillier więcej okazał prostoty i na tyle był rozsądnym, że w herbie swoim zaznaczył źródło swego szlactwa: na błękitnym polu — ułożył szeregiem ośm złotych monet bizantyjskich. W herbarzu, moneta taka oznacza wprawdzie zazwyczaj uczestnictwo w wojnach krzyżowych, lecz w danym wypadku wskazuje tylko, jakim był rodowód osoby utytułowanej.

Po bankierach najważniejszą rolę odgrywają wśród finansistów właściciele kantorów wymiany. Dwaj z nich należeli do Legii: p. Le Cordier, zastępcą mera, następnie mer I-go okręgu, zwykły członek Legii w grudniu 1809 roku, mianowany oficerem w czerwcu r. 1811, z okazji chrztu króla Rzymskiego; p. Péan de Saint-Gilles, mer V-go okręgu mianowany 4-go grudnia 1809 roku. W obu tych nominacjach, pieniądz żadnej nie odegrał roli. Państwo potrzebowało usług tych ludzi, usług, z których korzystał zarówno naród jak rząd, usług jawnych — które rząd nagradzać mógł bez ujmy

dla siebie a nagroda, uroczyście wobec wszystkich przyznawana, najzupełniej była usprawiedliwioną w oczach narodu; niektóre jednak usługi tylko pieniężne mogły być nagradzane. »Tylko pieniądze ujarzmić można finansistów« — mawiał Napoleon.

SYN KSIĘCIA REICHSTADT'U.

Tylokrotnie powtarzana, niezwykle popularna legenda o ks. Reichstadt'u — niczem jest dla historyi. Począwszy od dnia, w którym — po pani de Montesquiou, po pani Soufflot — wypędzona została z Wiednia ostatnia towarzysząca mu Francuzka, pani Marchand, nie mamy żadnych wiadomości o dziecku, noszącem niegdyś tytuł króla Rzymskiego.

Od 15-go listopada 1815 r., do 22-go lipca 1832 r., jeden tylko Francuz — Marmont — miał wolny dostęp do księcia. A jakimi słowy każe mu przemawiać tenże Marmont? »Jeśli są na świecie ludzie honoru i ludzie nieskazitelnej prawości, to pan — panie marszałku — zjednoczyłeś w swojej osobie nieskazitelną prawość i poczucie honoru«. Niewątpliwie, syn Napoleona rozmyślnie słabo obznajomiony był z historyą, skoro, w nieświadomości swojej, tak śmiało zaprzecza wyrokowi, jaki wydała na Marmont'a proklamacya, ogłoszona w zatoce Juan, wyrokowi — najzupełniej potwierdzonemu przez potomność, której znane są pobudki, kierujące ks. Raguzy, znane są sumy, jakie wypłacił mu Ludwik XVIII. za podróż do Gandawy,

Karol X — za rzekomą obronę Tuileries, Austria — za kapitulację w Essonnes.

Jeśli słowa te wyszły istotnie z ust księcia, jakie uczucia względem ojca starali się wzbudzić w nim jego austriaccy preceptorzy? Jeśli ks. Reichstadt'u zwrócić się mógł ze słowami: »Byłeś pan zawsze zarówno człowiekiem honoru jak nieskazitelnej prawości« — do nikczemnego zdrajcy, do Francuza — który zaprzedał ojczyznę i cesarza, do marszałka — który wydał nieprzyjacielowi armię swoją za gotówkę, do człowieka — którego Napoleon haniebnie napiętnował, to dlatego, że jednostki, kierujące jego wykształceniem odgrodziły go od rzeczywistości możliwie najgrubszym i najwyższym murem, tak, aby nie dochodził z zewnątrz żaden odgłos, ani światło, żeby przedostać się nie mógł ożywczy powiew prawdy. Słowa te grobem są wszystkich legend. Wypowiedziane być mogły z dwojakich tylko pobudek: bądź to przez nieświadomość, która pozwoliła Marmont'owi fałsz za prawdę bezkarnie podawać — a wówczas jaką rolę odgrywają profesorowie? bądź też wskutek rozmyślnego sfalszowania historii, oczerniającej ojca wobec syna — a wówczas czy można ufać wersjom tychże profesorów, opowiadających o wielkiem przywiązaniu ks. Reichstadt'u do Napoleona? Rzeczą stwierdzoną jest, że — zależnie od odegranej roli — każdy naród inaczej zapatruje się na wypadki dziejowe; według Austriaków, kapitulacja w Essonnes była zwycięstwem dzięki świetnemu atakowi kawalerii św. Jerzego; zachodzi może jednak pewna różnica między złudnym chociażby

poglądem na bitwę a nadawaniem miana szlachetnego i honorowego — zdrajcy, który pobiera za zdradę 50.000 franków rocznej pensyi. Miejmy więc nadzieję, że ks. Raguzy skłamał i w tym również wypadku, lecz w takim razie wszelką tracą wartość zeznania jedyne go świadka Francuza, który — od listopada 1815 r. — przebywać mógł w obecności ks. Reichstadt'u.

* * *

W rzeczy samej, szczerze, bez obłonek, dziecię cesarskie ukazuje się nam po raz ostatni w chwili odjazdu pani Soufflot. Pani Soufflot, była dozorczyni sypialni króla Rzymskiego w Tuileries, towarzyszyła mu do Wiednia razem z córką swoją Fanny. W miarę, jak usuwane były inne Francuzki, czynności jej bardziej stały się poufne, więcej zbliżyły ją do księcia. Fanny była jedyną towarzyszką jego gier i zabaw, jedyną przyjaciółką. Przywiązał się do niej całą duszą; w uczucie to przelał wszystką tkliwość swego dziecięcego serduszka. W chwili rozstania, znosi jej wszystko co tylko posiada, wszystkie swoje skarby: fuzyjkę, kordelas, torbę myśliwską, grzechotkę ze złota i koralu, wszystkie zabawki swoje i cacka, które dźwiga z trudem w drobnych rączkach, wszystko to, co Fanny lubiła, czem bawił się z nią; niechaj bierze wszystko! gdyż nigdy już bawić się z nikim nie będzie, nigdy już nie potrafi weselić się i śmiać. I jedyny jasny promień tej duszyczki dziecięcej — gaśnie wśród łez, w bolesnem łkaniu.

W pałacach Wiednia i Schönbrunn'u — czyż Temple nie był również pałacem? — Przebywa odtąd samotne dziecko-więzień, którego pozbawiono ojczyzny, którego ograbiono z nazwiska, któremu wzbroniono użycia języka ojczystego, dziecko bez ojca, bękart polityczny — »syn — opiewają pisma odręczne Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości w roku 1818 — naszej ukochanej córki Maryi Ludwiki, arcyksiężniczki austriackiej, księżnej Parmy, Piacenzy i Guastallę; dziecko bez matki, gdyż arcyksiężniczka ta zaprzedała swego syna za tron, jaki jej przyznano oraz za bezkarność miłostek swoich z ukochanym Neipperg'em. Żyje, gdyż zamordowanie go zbyt wielkiej narobiłoby wrzawy. Lecz hodowaną będzie w myśl tradycyi Kancelaryi cesarskiej ta dzika płonka, wyrosła na łonie Domu lotaryńskiego; odpowiednio tresowanym — ten niepożądany świadek, którego istnienie stwierdza upokarzający mezalians r. 1810. Tępione będą w tej małej dziecięcej główce wszelkie ślady umysłowości francuskiej; tępiona — w tem małym serduszku pamięć o ojcu; tępione — wspomnienie języka ojczystego; wpajane będą natomiast pojęcia i umysłowość austriacka, miłość dla dziadka Franciszka, język Niemiec i Włoch. Uczynią z niego — według zasad i prawideł — na poły niemieckie książętko, *Altesse Sérénissime*, ustępujące wszakże kroku książętom i arcyksiążętom. Tytuły małą widocznie przedstawiają wartość, skoro nieprawie dziecko Maryi Ludwiki i hr. Neipperg'a zostanie również *Altesse Sérénissime* i ks. Montenuovo.

Między Temple'm a Schönbrunn'em, między

wychowawcą Ludwika XVII-go a wychowawcami Napoleona II-go, jaka zachodzi różnica? czy godniejszym pożałowania jest los małego Capet'a, czy też ks. Reichstadt'u? Z dwóch tych braci ciotecznych, czyż mały Capet nie był szczęśliwszym, umierając w zaraniu życia? Niewątpliwie, Jego Ekscelencya hr. Dietrichstein, guwerner jednego z nich, wykwinniejszy jest i lepiej odziany od szewca Simon, opiekuna drugiego. Świetność rodu, szarfy i krzyże orderowe, urząd tajnego radcy, intendenta kaplicy dworskiej, dyrektora teatrów, kustosa biblioteki cesarskiej — oczywiście zdobią i przystrajają; przyglądając się jednak jego portretowi, pogardliwej dumie i arogancji tej fizynomii, gdy znana jest nadto powszechnie niewykła surowość i lodowaty chłód człowieka o podwójnym charakterze guwenera i dozorca więziennego — czyż odosobnienie fizyczne, na jakie skazany był syn Ludwika XVI-go, nie jest mniej okrutnem i zbrodniczem, aniżeli odosobnienie duchowe i tresura austriacka, na jaką skazany został syn Napoleona?

* * *

Zaznaczyliśmy już powyżej, że życie, myśli, aspiracje, sny i marzenia młodzieńcze ks. Reichstadt'u, obce są nam i nieznane. Wszystkie światła austriackie podejrzaną są wartości; wszelkie ponowne opisy zmyślonych faktów — stwierdzają tylko ich nieprawdziwość. Istnieją w tym kierunku dwa źródła austriackie: dzieło, w którym

Montbel, były minister Karola X-go, nagromadził w dobrej wierze kłamliwe wersje łaskawie udzielane mu przez gubernatorów księcia — i broszura p. Prokesch-Osten, bardziej jeszcze podejrzaney wartości. W rzeczy samej, potrzeba dużo dobrej woli, aby mózdz dać wiarę jednej lub drugiej z tych dwóch książek.

Anegdota, dotyczące Fanny Essler, która zeznała sama, że nigdy nie widziała księcia, równie są prawdziwe jak anegdota o hr. Cameracie, która jeśli usiłowała istotnie dotrzeć do swego kuzyna, zadenuncyowaną została przezeń przed jego wychowawcami. Oglądać można po dziś dzień kołyskę — niegdyś króla Rzymskiego, przesłiczną jakgdyby kapliczkę z mahoniem, dar miasta Paryża, według rysunku Prudhon'a, zachowaną przez Austryę jako trofeum zwycięskie; oglądać można w kościele Kapucynów w Wiedniu — grób, kamienną płytę o licznych napisach; lecz między początkiem a kresem, między pierwszym krzykiem niemowlęcia a przedśmiertnem rżeniem konającego — głucha cisza i pustka! Oba te fakta żadnej wprawdzie nie podlegają wątpliwości: śmierć równie uroczyście była skonstatowana jak narodziny. Agonia urzędową była; sekcyja — niemal publiczną. Podpisy sześciu lekarzy stwierdzają zgon. Trzeba było dowieść przedewszystkiem, iż nie dopuszczono się zbrodni w celu pozbycia się nieszczęśliwej tej istoty. Czyż nie jawnem, nie publicznem było oskarżenie? Czy w poemacie »Fils de l'Homme« — Barthélemy nie wspomina o »raku politycznym«, czy alluzyja do znanej ogólnie broszury »Deux Cancers«

dotyczącej Napoleona i śmierci ks. Karoliny — nie została podchwycona i powtarzana?

W oczach Europy dokonywuje się więc sekcyja tych chorych płuc, z których jedno całkowicie stoczone jest przez tuberkuły, drugie — w pierwszym stadium rozkładu — wykazuje »istnienie kawerny w górnej części«. Przyczyną więc śmierci ks. Reichstadt'u nie jest trucizna, lecz skażona krew, płynąca w jego żyłach, krew — którą wnieśli do dynastyi austriackiej Barboni neapolitańscy. Zmarł tak, jak zmarła macierzysta babka jego, cesarzowa Marya Teresa. Z siedemnaściorga dzieci prababki jego, Maryi Karoliny, księżniczki lotaryńskiej, królowej obojga Sycylii, dziesięcioro zmarło w dzieciństwie. W. ks. Toskanii zmarła na suchoty w dwudziestym dziewiątym roku życia; księżna Asturyi — w dwudziestym drugim; na suchoty również zemrą w szesnastym i siedemnastym roku życia obaj synowie ks. d'Aumale, wnukowie ks. Salerny, tak po mieczu jak i po kądzieli potomkowie Maryi Karoliny, kuzyni ks. Reichstadt'u.

Metternich nie troszczy się bynajmniej o to, że stwierdza tym sposobem wobec świata, dziedziczną chorobę rodu władców swoich, chorobę przenoszącą się z pokolenia na pokolenie, którą, za naszych czasów, do dramatu odgrywającego się w Schönbrunn w trzydziestych latach ubiegłego stulecia, dodaje jako pendant inny dramat, bardziej jeszcze tajemniczy. Cały system polityczny Metternicha oparty jest na dziedziczności monarchicznej, lecz słynny minister zdaje się skądinąd ignorować, lub też istotnie może nieświadomym

jest, że obok dziedziczności praw boskich, istnieje dziedziczność praw fizycznych, dziedziczność chorób, których usunąć — których lekceważyć nie można, które przekazywane są potomności nawet przez pozornie zdrowe jednostki. Zbyteczną była trucizna do zgładzenia ze świata ks. Reichstadt'u: śmierć zadała mu odziedziczona po matce — zatruta krew włoskich Burbonów.

* * *

Co innego ma na celu Metternich; mianowicie udowodnić chce nieodwołalnie, że wraz ze śmiercią Napoleona II-go, jedyne go potomka Wielkiego Cesarza w prostej linii, zgasła jednocześnie gwiazda cesarstwa. Podczas sekcyi, ostrze skalpela zatapia się nie w wynędniałych przez chorobę członkach ks. Reichstadt'u — mniejsza o niego! — lecz w członkach Napoleona. Póki nie wygaśł ród jego, Cesarz żył ciągle. Jakkolwiek szczelnie zamknięte były złożone wrota więzienia — dziecię cesarskie mogło ujsć z niego, powrócić do Francyi, wznowić bohaterską, tym razem napewno zwycięską walkę z oligarchią Europy. Napoleona więc zwłoki nie ks. Reichstadt'u, spoczywają na stole sekcyjnym; Napoleona to kładą następnie do trumny, którą spuszcza ją w podziemia kościoła Kapucynów, od której klucz starannie przechowywany jest w skarbcu cesarskim. Księga życia już zamknięta i nikt nie jest mocen jej otworzyć!

Na tem polegało trzecie zadanie Kancelaryi Jego Ces. Apost. Mości. Rzeczą wiadomą jest, że

po śmierci człowieka, którego życie równie nieprzeniknioną okryte było tajemnicą jak życie ks. Reichstadt'u, zjawia się zazwyczaj jakiś szalbierz, roszcący sobie prawa do godności jego i majątku. Dzieje się to wszędzie, w każdym państwie. Wszakże niedawno widzieliśmy we Francyi cały zastęp »fałszywych delfinów«? Poprzedzali oni wprowadzić na wykorzystaniu łatwowierności oszukanych przez siebie jednostek; nie dochodzili nigdy praw swoich za pomocą oręża, nie starali się wszczynać wojen domowych. Lecz czyż innych nie imali się sposobów? Ktokolwiek pokusi się o napisanie ich biografii, znajdzie w tysiącnych egzemplarzach wydawane przez nich dzienniki, książki i broszury. Wydawnictw tych podejmowały się wszystkie niemal drukarnie prowincjonalne. Po upływie stulecia istnieją jeszcze odnośne sekty — na poły religijne, na poły polityczne; rewelacye — wyśmiewane przez ogół, są przedmiotem ich czci, przedmiotem wiary gorącej, bojującej, która skłaniać umiała do milionowych nawet ofiar.

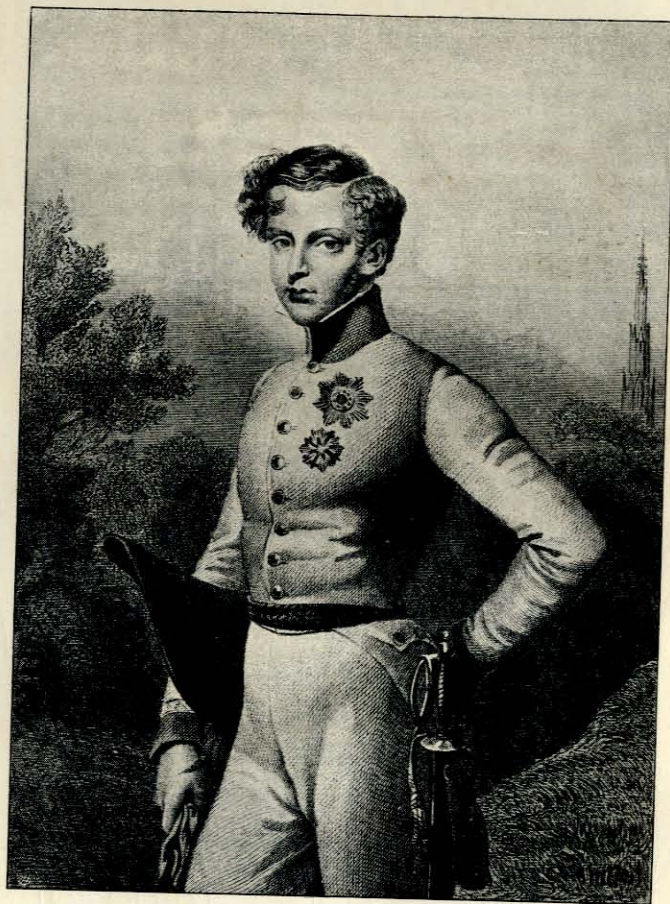
Przed rokiem 1848, gdyby był się znalazł człowiek odpowiednio inteligentny i wykształcony, przywłaszczający sobie w szlachetniejszym celu sposoby używane przez samozwańcych Ludwików XVII, człowiek — który byłby zgromadził dookoła siebie wierne serca starych wiarusów napoleońskich, który byłby objął kierownictwo tajnych stowarzyszeń, obalił w Paryżu tron Ludwika Filipa, stanął na rubieży kraju jako uosobienie odwetu ludów przeciwko królom — kto wie? trochę geniuszu,

dużo odwagi i śmiałości, dużo szczęścia — a ziścić by się mogło szalone na pozór przedsięwzięcie.

Lecz Metternich zadośćuczynił wszelkim wymagom ostrożności i nie jest znanem ani jedno zdarzenie tego rodzaju. Jeśli odnajdujemy po szpitalach dla obłąkanych pewną liczbę biedaków, podających się za synów Cesarza, to urojona ta godność była jedynym ich sukcesem. Nawet powieściopisarze historyczni, których nęca zawsze wszelkie tajemnice i hipotezy, nie starali się — jak to uczynił p. Geoffroy w swoim »Napoléon apocryphe« wyimaginować, jakim mogło być życie i losy Napoleona II-go, gdyby nie był zmarł przedwcześnie. Wyobraźnię nielicznych autorów podniecił jedynie domniemany syn ks. Reichstadt'u; lecz i w tym kierunku literatura jest ubogą i streszcza się — na razie przynajmniej — do jednej powieści i jednego samozwańca.

* * *

Powieść, wydana w Clermont Ferrand w roku 1870, w dwóch małych tomikach, jest dziełem p. J. B. X. Bardona, byłego profesora gimnazjalnego, oficera gwardii narodowej z czasów wojny francusko-pruskiej, który napisał w tymże czasie kilka broszur a w r. 1884 »Epizod z powstania Kabylów w Algierze« (Episode de l'insurrection des Kabyles en Algérie). Prawdopodobnie, żyje on dotychczas, gdyż liczyłby obecnie dopiero sześćdziesiąt lat. »Palmyre, syn ks. Reichstadt'u« — (Palmyre, fils du duc de Reichstadt) — »zwraca się do tych mło-



NAPOLÉON II.

dych pokoleń, które za lat kilka — marzyć zaczęły o przyszłości i dąży do tego, aby wpoić w nie »tę niewzruszoną zasadę, że chcąc kierować tłumami, trzeba mieć w duszy zasób talentu i cnót«. Lecz fabuła powieści bardziej jest skomplikowana. Napoleon Jan Leopold hr. de Palmyre dowiaduje się o tajemnem pochodzeniu swoim po ciężkich przejściach i niezwykłych przygodach; jako pielgrzym liczne odbywa wędrówki a następnie, przy pomocy dziwacznych osobistości, postanawia wypędzić Austryaków z Włoch, oswobodzić ludy włoskie i ustanowić związek federacyjny, którego papież byłby nominalnym przywódcą, on sam zaś — dyktatorem. Sprzeciwia się to przyjętemu ogólnie pojęciu o przyczynach wojny r. 1859, o polityce Cavour'a, o zdobyciu Sycylii i Neapolu przez Garibaldi'ego; powieść cała obfituje w podziemia i zasadzki oraz w niezwykle zdarzenia, dość nieprawdopodobne. Niejaka Rachela, córka żyda Roboam'a, którą hr. de Palmyre poznał w Meksyku i której miłością pogardził, podąża za nim do Neapolu i ginie tam straszną śmiercią, zamordowana przez niejakiego Constantina, marynarza, »którego głos szorstkim się stał i chrapliwym wskutek częstego przebywania na burzliwym morzu«. Oswobodziwszy wreszcie Neapol, hr. de Palmyre odrzuca ofiarowany mu tron Obojga Sycylii, przywdziewa szaty zakonne i osiada — jako pustelnik — w jaskini, wykutej ongiś w skale przez Cezara Borgię, a łączącej się z Rzymem przez katakumby i podziemne przejścia. Odnajdujemy tu pewne reminiscen-

scencye »Rzymu podziemnego« (Romo Souteraine) Karola Didier, reszta wszakże jest niewątpliwie dziełem p. J. B. X. Bardon.

Większą niespodziankę stanowi jedyny w tym wypadku samozwaniec. 9-go stycznia 1880 roku, wyeksperymentowany został z Medyolanu (Stazione centrale) polecony »Cyrkularz do Ich Cesarskich i Królewskich Mości, oraz następców Ich; do króla włoskiego — uprzednio władcy Sardynii, do cesarza austriackiego, do cesarza niemieckiego — równocześnie króla pruskiego, do cara rosyjskiego, do królowej Wielkiej Brytanii, do króla hiszpańskiego, do króla portugalskiego, do króla belgijskiego, do władcy Holandyi i Niderlandów i do Jego Ekscelencyi prezydenta Republiki francuskiej — jako przedstawiciela byłego rządu J. Król. Mości Ludwika XVIII-go«. »Ich Przświetne Ekscelencye pierwsi ministrowie« — otrzymali jednocześnie identyczny komunikat. Papież dostał specjalną »Nota d'invocazione«. Autor tego komunikatu oznajmia zaraz na wstępie, że rewelacye jego są tajne, że »wydrukował je li tylko dla zaoszczędzenia sobie długiej pisaniny, z zastrzeżeniem wszakże wszelkich praw autorskich«.

Treść komunikatu zasługiwała zresztą na uwagę:

Komunikat oznajmiał Ich Królewskim i Cesarskim Mościom, że »powolny sługa Ich, Ludwik Tisserant, wobec Boga i sumienia własnego, jest

synem ks. Reichstadt'u i że przekonał się o tem w r. 1877. Już w r. 1879 podzielił się niezwykłą tą wiadomością z redakcją dziennika »Le Gaulois«, z p. Pawłem de Cassagnac i z cesarzową Eugenią, lecz żadnej nie otrzymał odpowiedzi. A jednak wszelką zachował ostrożność, rekomendował wszystkie listy; list do cesarzowej w podwójnej nawet wysłał kopercie. Zdziwiony tem milczeniem, pisze do ks. Napoleona Bonaparte'go de Montfort — list, w którym takie napotykamy zdanie: »Zupełnie szczerze wyznaję Waszej Wysokości, że dotknął mnie boleśnie chłód, z jakim Wasza Wysokość przyjęła wiadomość o mojem istnieniu«. I na ten list również nie było odpowiedzi. Postanowił wówczas odwołać się do Europy, streszczając w następującym symbolicznym napisie prawa swoje i rodowód:

Ja, Don Carlo,

Według prawa Ludwik Tisserant, syn Piotra,
pospolicie znany pod nazwą Giuseppa Tealdo,
syna Michała,

będąc w rzeczy samej wymienionym powyżej

Don Carlo,

uznanym synem i spadkobiercą

Józefa Franciszka Karola

ks. Reichstadt'u, króla Rzymskiego,

syna Napoleona I-go

i Maryi Ludwiki, arcyksiężniczki austriackiej,

kartki te przekazuje historii

i

Mocarstwom, które podpisały protokoły
z r. 1814 i 1815.

Przedstawia je i dedykuje.

Już tutaj niektóre punkta są niejasne, lecz gdy weźmiemy do rąk pamiętnik, gdzie większość kartek — zapewne przez dyskrecję — pozostawiono in blanco lub też opatrzone jedynie tytułami: Dopo 75 anni — Proémio. Come in memorandum mi vene inspirato. — Memorie, Impressioni, Appunti et Riflessi — nic zgoła zrozumieć nie można. Zdaje się, że na pierwsze poszlaki wysokiego urodzenia naprowadził Giuseppa Tealdo niejaki Pedrino, pokojowiec hr. Toffetti. Ks. Reichstadt'u miał podobno stosunek z niejaką panią Woyna, która nie mogła być nikim innym, jak tylko znaną przez Giuseppa w latach dziecinnych panią Ceserani. Wmieszana jest nadto do tej sprawy wiwandierka armii francuskiej, Mazzini, jakaś hrabina Samojłowa, Masséna i kilkumilionowy depozyt złożony przezeń w ręce Rotszyldów (sic), testament ks. Reichstadt'u i testament Napoleona I-go. Jakkolwiek Giuseppe Tealdo reklamuje jako należny mu spadek skarb z Tuileries, prywatny majątek Cesarza oraz dobra w Czechach, nadane królowi Rzymskiemu przez cesarza austriackiego, nie przybiera jednak nazwiska Bonaparte'ów: zowie się poprostu Don Carlo, tak jak ojciec Napoleona I-go.

Być może, że rewelacye jego nie zostały w następstwie uzupełnione; w każdym bądź razie

mocno są niezrozumiałe. Historia przytacza więcej takich przykładów. Zdaje się jednak, że mimo czci okazywanej Ich Cesarskim i Królewskim Mościom oraz Ich Ekscelencyom Premierom — reklamacye Tealdo'a czyli Tisserant'a żadnego nie odniosły skutku, o ile nie stały się bezpośrednią przyczyną zamknięcia go w zamku Mombello, który był niegdyś główną kwaterą generała Bonaparte'go w czasie kampanii włoskich, obecnie — jest szpitalem dla obłąkanych.

MURAT.
PIERWSZE KROKI KRÓLA.

W wystawie poświęconej Republice i Cesar-
stwu, która — w ciągu kilku miesięcy —
przyciągała i roznamiętniała tłumy, która dzięki
inteligentnej ruchliwości organizatorów — wydo-
była z ukrycia liczne skarby rodzinne, pamiątki
nieznane dotąd zarówno publiczności jak historyi —
najbardziej ciekawym, zawierającym największe,
najznamienniejsze przeciwieństwa, był dział pa-
miątek po Murat'ie, po raz pierwszy łaskawie
ukazanych oczom ogółu przez jego potomków.

Każdy przekonać się mógł naocznie, jakim
był punkt wyjścia a jakim kres. Każdy obejrzyć
mógł do woli żołnierską książeczkę służbową i in-
sygnia królewskie. Niezwykłe te koleje życiowe,
tembardziej są zdumiewające, że daty, jakimi
opatrzone poszczególne przedmioty, niedozwalając
wyobraźni błąkać się po manowcach, zmuszały
umysł do trzeźwego patrzenia na rzeczy. W prze-
ciągu dwudziestu jeden lat — żołnierz, zwykły
szaser, zostaje królem; w siedm lat później ginie —
rozstrzelany na Pizzo. W życiu jego wszystko nie-
zwykłym jest, nieomal cudownym. Gdyby w owej
książeczce służbowej — Livret appartenant à Mu-

rat pour servir a l'enregistrement de Son linge et chaussure — podoficer pułku szaserów Ardeńskich wpisywał był w dalszym ciągu kolejno rangi i awanse, zwięźle, po wojskowemu — jakże pięknym i pouczającym byłby taki życiorys!

Znanemi są mniej więcej dalsze koleje życia Murat'a, rangi i tytuły otrzymane z rąk Cesarza, natomiast mniej znanym jest punkt wyjścia, pierwsze kroki na arenie światowej. Historycy — nawet ten z pośród nich, który usiłował ostatnimi czasy odtworzyć postacie »wielkich rycerzy« — jak-gdyby rozmyślnie pomijali lub też istotnie nieświadomi byli owych życiowych początków, które, zarówno w odniesieniu do Murat'a jak i do kilku innych, są tylko dowodem szybkości, z jaką rozwijają się w czasie wojny jednostki bogato przez naturę wyposażone. A jednak początki owe są może najciekawsze i najbardziej charakterystyczne.

* * *

Joachim Murat, urodzony w Bastide Fortunières, 25-go marca 1767 roku, był szóstym dzieckiem Piotra Murat Jordy i Joanny Loubières. Ojciec jego, poczmistrz i właściciel zajazdu, był równocześnie zarządzającym częścią dóbr Talleyrand'ów. Matka, choć prosta kobieta, po chłopsku ubrana, niezwykle odznaczała się inteligencją, energią i żywością. To też, aż do jej śmierci — 11-go marca 1806 r. — syn otaczał ją zawsze najczulszą miłością i największym szacunkiem. W twarzy jej i oczach przebija się czysta, naiwna dusza starej

chłopki katolickiej, która nad przepych i bogactwo, jakim obdarzyć ją mogło najmłodsze i najukochańsze dziecko — przełożyła skromny różaniec, dar Piusa VII-go, osobiście wręczony przez Papieża naczelnemu wodzowi Armii Neapolitańskiej.

Rodzice Murat'a, ludzie dość zamożni dzieciom staranne dali wychowanie, synów kształcili, córki wyposażali. Najstarsza z córek — Jaquette — wyszła za mąż za p. Samat de Soulomés, druga — Antonina — za Jana Bonafous, trzecia — Magdalena — za p. Molinié. Joachim, najmłodszy z trzech synów, Bogu ofiarowany, dzięki protekcji Talleyrand'ów został stypendystą szkoły w Cahors, następnie seminaryum w Tuluzie, lecz zgrabny i rośły ten chłopiec nie czuje w sobie żadnego powołania do stanu duchownego. Żołnierz z upodobania, chcąc może nadto uniknąć odpowiedzialności za młodzieńcze wybryki, Murat porzuca seminaryum i zaciąga się w szeregi szaserów Ardeńskich, kompanii Niel'a, która zatrzymała się podówczas w Tuluzie, dążąc z Auch do Carcassonne, do nowego garnizonu. Nieco później, podczas Terroru, ów de Niel zostanie pułkownikiem tychże szaserów; w owym czasie dowódcą pułku był p. de Lezay Marnésia, jeden z tych, którzy — dziesięć lat potem — niezwykle szybko będą awansować dzięki powinowactwu z dziećmi Józefiny de Beauharnais. Z Carcassonne, w r. 1789, Murat podąża wraz z pułkiem do Schelestadt. W Schelestadt burzliwy jego temperament stał się podobno przyczyną poważnego zatargu, na skutek którego Murat się musiał podać do dymisji. Jest to możliwe jakkolwiek nie

odnajdujemy śladów tego zajścia w jego papierach służbowych. W r. 1791, musiał już wszakże powrócić w rodzinne strony, bądź to czasowo, bądź też na stałe, skoro, jednocześnie z Bessiéresem, wybrany jest przez dyrektoryat departamentu Lot jako jeden z trzech rekrutów, których departament obowiązkowo dostarczać miał królewskiej gwardyi konstytucyjnej. W gwardyi służył niespełna miesiąc: wstąpił do szeregów 8-go lutego a usunięty został 4-go marca 1792 roku. Osamotniony w tem reakcyjnem środowisku, z własnego niewątpliwie popędu podał się do dymisyi; wówczas, pułkownik gwardyi, chcąc zwerbować go do Armii Książąt, obiecał wypłacić mu czterdzieści luidorów, jeśli Murat przystanie do emigrantów rezydujących w Koblenz. Ażeby usprawiedliwić swoją dymisyę wobec przedstawicieli departamentu Lot, Murat rozgłasza owo usiłowane przekupstwo a denuncyacya jego, dostawszy się w ręce Nadzorczego Komitetu Zgromadzenia Prawodawczego, stanowi jeden z najcelniejszych zarzutów, jakimi Bazire obarcza Gwardyę konstytucyjną — zarzutów, na mocy których Gwardya zostaje ostatecznie zniesioną.

Tymczasem Murat zaciąga się ponownie do dawnego swego pułku, obecnie 12-go pułku szaserów; mianowany jest brygadyerem 29-go kwietnia, kwatermistrzem — 15-go maja, podporucznikiem — w szwadronie wolnych strzelców — 15-go października, porucznikiem — 31-go tegoż miesiąca. Szybki ten awans zawdzięcza szczególniejszym względom pułkownika szaserów, p. d'Urre de Molan, który,

zostawszy z kolei generałem brygady, mianuje go swoim adjutantem, następnie zaś, 14-go kwietnia 1793 r., za pośrednictwem generała Dampierre — kapitanem prowizorycznym.

Murat odbył wraz z pułkiem pierwszą kampanię Armii północy. Wiadomem jest, że 12-ty pułk szaserów brał czynny udział i że odznaczył się w bitwach pod Grandpré, pod Jemmapes i pod Saint Trond oraz podczas oblężenia Landrecies. Nazwisko Murat'a na razie pozostaje w cieniu, szybki jednak awans i wyjątkowa życzliwość pułkownika przemawiają na jego korzyść.

Owóż w tym czasie, dziwaczna osobistość, nazwiskiem Landrieux — niepozbowiona zručności i zmysłu dyplomatycznego, usiłuje stworzyć na pograniczu oddział wolnych jeźdźców, którym nadaje miano Huzarów-Kłusowników. Wychowany na dworze hr. Prowancyi, w zapadłym kącie prowincjonalnym, Landrieux — niedostatecznie obznajomiony z rzemiosłem wojennem — pragnie zwerbować do swego pułku kilku wykwalifikowanych oficerów, ażeby nadać mu bardziej żołnierski wygląd. Poznawszy Murat'a w Arras, proponuje mu zastępstwo szefa szwadronu i jednocześnie — w tej samej sprawie — zwraca się pisemnie do władz wojskowych: »Jest on równie dobrym patriotą jak i ja« — pisze między innemi, Murat przyjmuje propozycyę. 8-go maja, za pośrednictwem Landrieux, otrzymuje nominacyę prowizoryczną. Łączy się z oddziałem w Hesdin i podczas kiedy Landrieux przebiega departament Somme'y w pogoni za wysłanymi na objazd przedstawicielami rządu,

nader czynnie zajmuje się formowaniem w szyku bojowym 2-go i 3-go szwadronu oraz całkowitym zarządem pułku i oddaje najwidoczniej znaczne usługi, skoro zatwierdzony jest w zajmowanym dotychczas prowizoryum 14-go sierpnia 1793 roku.

Wówczas jednak rozpoczęły się niesnaski. Murat nie chciał prawdopodobnie ustąpić dowództwa uformowanego z niemałym trudem pułku a Landrieux nie chciał utracić dzierżawy nadanej mu przez Republikę. Poza zadowoleniem miłości własnej, nadanie to było źródłem dochodów, było intratnem przedsiębiorstwem, zręcznie obmyślonem i przygotowanem, z którego ciągnąć było można zyski, w niczem nie narażając się; pułk, operujący wewnątrz kraju, małymi oddziałami, używany do wszelkiego rodzaju pościgów i aresztowań, znacznie większe przynosić mógł korzyści, aniżeli czasu wojny, w walce z nieprzyjacielem. Niewiadomo, jakie pobudki kierowały Murat'em — czy była to szlachetna ambicja zdobycia dla Huzarów-Kłusowników (Hussards-Braconniers) sławy rycerskiej, chęć odpowiedniego zużytkowania ich sił i zdolności; czy też czysto osobiste względy — w każdym bądź razie on to pierwszy rozpoczyna walkę. Posypały się wzajemne denuncyacje. Landrieux — twierdzi Murat — jest arystokratą, gorącym zwolennikiem byłego hr. Prowancyi. Murat — mówi Landrieux — wnosi wszędzie nierząd przez swoje złe obyczaje i brak wszelkiej karności. Jeden wynosi się nad drugiego, pragnie uchodzić za lepszego obywatela kraju, przesadnie podkreśla swój jakobinizm, aby tylko zyskać sobie przychyłność władz

i pokonać przeciwnika; nie wiedząc już co wymyśleć w tym kierunku, Murat — skłonny do blagi i przesady jako prawdziwy syn południa — uroił sobie, że przez zmianę jednej tylko litery utożsami nazwisko swoje z nazwiskiem jednego z bogów republikańskiego Panteonu. Istotnie, skutek jest natychmiastowy: komisya dyscyplinarna zjeżdża do Flers, 6-go frimaire'a roku II-go, Landrieux usunięty zostaje z pułku i niebawem uwięziony. Mimo to jednak Murat, czyli raczej Marat — nie obejmuje dowództwa pułku, nazwanego 12-tym pułkiem szaserów. Natomiast, Landrieux broni się z więzienia, intryguje przez przyjaciół swoich, powołuje się na współników, na tych, którzy współdziałali z nim w jego spekulacjach wojskowych. Wreszcie, po dwumiesięcznych słownych i pisemnych utarczkach, 28-go floréal'a r. II-go, Murat dostaje się z kolei do więzienia w Amiens. Dwa miesiące później, 9-go thermidor'a, Landrieux uwolniony, podając się za rzekomą ofiarę Decemwirów zarzuca Murat'owi sympatye terrorystyczne a popierany jest w tej walce z Murat'em przez obywatela Duprès, komendanta owego 21-go pułku, mianowanego przez ministra Bouchotte 18-go listopada 1793 roku, człowieka ambitnego, który bynajmniej nie ma ochoty ustąpić z tego stanowiska. Upływa rok cały, w ciągu którego losy Murat'a nie są nam dokładnie znane. Nie wiadomo czy powrócił do służby, czy też wystąpił z wojska i oczekuje na bruku paryskim lepszej doli? Czy należy może do tego nieprzeliczonego wprost zastępu oficerów wszelkiej broni, wchodzących w skład kor-

pusów regularnych albo wolnych oddziałów, lub też republikańskiej gwardyi narodowej, oficerów — którzy, dzięki sprzyjającym a niezwykłym okolicznościom, doszli do godności i tytułów a którzy w danej chwili — wobec zniesienia niektórych oddziałów, wobec tego, że zmniejszyły się militarne potrzeby kraju, że znikła groza bezpośredniego niebezpieczeństwa — napróżno starali się o ponowne przyjęcie ich do szeregów. Oni to, ci bojownicy z r. 89, wypróbowani w bohaterskich walkach Rewolucyi, odegrają niepoślednią rolę w dniu 13-go vendémiaire'a.

Czy Murat znajduje się wśród nich? Czy też — jak wskazują na to pozostałe po nim dokumenta służbowe — po krótkotrwałem uwięzieniu powrócił do pułku swego i czynnej służby? — Są po temu pewne dane. Według p. de Brémond d'Ars pod koniec r. 1794, szef szwadronu Murat objął jakoby w Dunkierce dowództwo 21-go pułku szaserów na skutek jednośnego rozkazu pułkownika Dupré, którego nominacya uchwalona została przez Konwencyę 20-go frimaire'a r. II-go (niezwykłą jest taka nominacya, lecz mniejsza z tem!). Pułk ten odkomenderowany do służby czynnej na początku kampanii r. III-go, odznaczył się jakoby pod Poperinghe, gdzie szef szwadronu Murat — otoczony przez czterech czy pięciu kawalerzystów austriackich — ocalał jedynie dzięki odwadze i poświęceniu szasera Vauquelin. Pułk brał dalej udział w oblężeniu miast Ypres i Nieuport, gdzie — podczas wycieczki — stratował i zepchnął w morze oddział piechoty nieprzyjacielskiej, liczący od czte-

rystu do pięciuset ludzi; wyruszył następnie do Bruges, stamtąd do Clèves i Gueldryi pruskiej, a po zawarciu traktatu pokojowego w Bazylei — powrócił rzekomo do Paryża 2-go prairial'a roku IV-go. Owóż rzeczą pewną jest, że już pod koniec roku III-go — 21-szy pułk szaserów stał w Paryżu. Inne daty, przytaczane przez p. de Brémond d'Ars, również są wątpliwe. Mianowicie Duprés, mianowany pułkownikiem 18-go listopada 1793 r. od tej chwili utrzymuje się na tem stanowisku, p. de Brémond d'Ars myli się więc o cały rok; niewątpliwym jest także pobyt Murat'a w Paryżu, 25-go floréal'a r. III-go, jak stwierdza to data listu, w którym Murat usprawiedliwia się wobec Komitetu Ocalenia Publicznego (Comité du salut public); nie może zatem jednocześnie być w Paryżu i na terenie wojny. W Paryżu również przebywa pod koniec r. III-go, w chwili, kiedy 21-szy pułk szaserów zajmuje wyznaczoną mu kwaterę. Taki zbieg okoliczności nasuwa oczywiście pewne refleksye i wątpliwości, trudno wszakże byłoby wysnuć stąd niezbite wnioski.

Jakkolwiekby, Murat znajduje się w Paryżu podczas pamiętnej nocy z 12-go na 13-go vendémiaire'a, kiedy Barras — dopiero co mianowany naczelnym wodzem Armii wewnętrznej — dowiaduje się od poprzednika swego generała Menou, że tylko piętnastu ludzi strzeże w Sablons czterdziestu armat, które każdej chwili dostać się mogą w ręce powstańców. Byłoby to zagładą Konwencyi. Barras zwraca się więc do Bonaparte'go, który dowodzi wojskiem pod jego zwierzchnictwem: »Wi-

dzisz, że niema ani jednej chwili do stracenia... trzeba zabrać natychmiast te armaty i przyprowadzić je czempredzej do Tuileries! Działo się to o północy. Bonaparte wysła niezwłocznie Murat'a. Murat — na czele trzystu jeźdźców — staje o godz. 2-giej po północy w Sablons, wypiera stamtąd oddział powstańców, którzy ogarnęli park artylerii, odbiera im armaty i o godz. 6-tej rano przyprowadza je do Tuileries. Armaty te, odpowiednio rozstawione ku obronie Konwencji, odegrały najważniejszą rolę w krwawej porażce zbuntowanych tłumów Paryża.

Niedługo czekał Murat na nagrodę: 13-go pluviôse roku IV-go (2-go lutego 1796 r.) zostaje szefem brygady, a gdy kilkanaście dni później Bonaparte — który objął naczelne dowództwo Armii włoskiej — organizuje przed rozpoczęciem kampanii swój sztab główny, mianuje Murat'a swoim adjutantem, polegając na świadectwie przyjaciół jego: Junot'a i Marmont'a (10-go ventôse — 29-go lutego — r. IV-go).

Chwila ta decyduje o dalszym jego losie. Od r. 1787 do r. 1796, oprócz jednej kampanii, którą odbył prawdopodobnie z Armią północną, nie można stwierdzić oficjalnie jego współudziału w żadnej bitwie. Z krótkiego pobytu w szeregach 12-go pułku szaserów wyniósł niewątpliwie pewien zasób znajomości spraw wojskowych, lecz wyniósł ich tyle tylko — ile wynieść było można w ciągu jednego roku, gdyż — jak wiadomo — od kwietnia 1792 roku do kwietnia 1793 roku przeszedł kolejno wszystkie szczeble hierarchii wojskowej, od bry-

gadyera do kapitana. Mimo to, kiedy w bitwie pod Mondovi, Stengel — kilkakrotnie ranny podczas ataku na niedobitki armii piemonckiej — dostaje się w ręce wrogów, Murat obejmuje dowództwo, z niezwykłą energią i męstwem prowadzi w ogień 20-ty pułk dragonów, odbija Stengla i zmusza nieprzyjaciela do odwrotu. Nazwisko jego figuruje z tej racji w raporcie naczelnego wodza. Po zawarciu armistycium w Cherasco, wysłano go do Paryża z poleceniem doręczenia członkom Dyktoryatu podpisanej umowy. Pomyślna ta nowina zgotowała Murat'owi łaskawe przyjęcie: 21-go floréal'a r. IV-go (10-go maja r. 1796) otrzymał nominację na generała brygady.

Po powrocie do Włoch — losy jego ważą się przez pewien czas. Na tyle był nieogłębny, że zbyt jawnie ubiegał się o względy żony naczelnego wodza. Bonaparte — osobiście tem urażony — różnorodne stawiał mu zarzuty, między innymi brak energii. A jednak Murat odznaczył się wielokrotnie; zasłynął niesłychanem męstwem w bitwie pod Valeggio, podczas której zabrał nieprzyjacielowi dziewięć armat, dwa sztandary i dwa tysiące ludzi; dał dowód wielkich zdolności i sprytu w czasie marszu na Livorno; walczył w pierwszym szeregu podczas szturmów na okopy Mantui; pod Roveredo, pod Bassano, pod Cera, pod San-Giorgio — gdzie ranny był, pod Rivoli — gdzie poprowadził w ogień brygadę piechoty i walecznością swoją przyczynił się znacznie do zwycięstwa, wszędzie wykazał niepospolite zdolności militarne. Odkomenderowany następnie do dywizji Bernadotte'a, składającej się

ze starych wiarusów Armii Sambre et Meuse, uświetnił w ich oczach laury zwycięskie Armii włoskiej przez zuchwały, szalony niemal marsz na Gradisca, Goritz i Leybach.

Mimo to, Bonaparte raczej niechętnie jest względem niego usposobiony. W raportach, jakie Clarke wysyła do Paryża, znajdujemy zawsze wzmiankę o jego lekkomyślności i próżności. Podczas pobytu w Mombello, Bonaparte zdaje się w lepszych być z nim stosunkach, powierza mu nawet poufną misję w państwie Valteline, lecz czyż tem samem nie usuwa go jednocześnie z pośród najbliższego swego otoczenia? Natomiast rzeczą pewną jest, że nie zabiera go z sobą ani do Rastadt'u, ani do Paryża; że Murat — relegowany w szeregi Armii włoskiej, następnie Armii rzymskiej — z największym trudem, być może nawet wbrew woli Napoleona, wchodzi w skład Armii egipskiej. Zmuszony pożyczyć od Duveyrier'a dwaście tysięcy franków na kosztą podróży do Tuluzy, z chwilą przybycia floty do wyspy Malty, zwraca się pisemnie do Barras'a z prośbą o odwołanie go do kraju, motywując tę prośbę niechęcią, okazywaną mu przez Berthier'a oraz brakiem życzliwości ze strony generała Bonaparte'go.

Mimo to, po wylądowaniu w Egipcie, podczas szturm Aleksandryi, poruczono mu nader ważną misję kierowania atakiem centrum wojsk łącznie z obydwoma skrzydłami, z Kléber'em i Menou; przybycie zaś jego i niezwykła odwaga przechyliły szalę zwycięstwa. Podczas marszu na Kair, dowodzi arriére-garde'ą. Pod Salahich, na czele 3-go

pułku dragonów, dokazuje cudów waleczności, lecz burzliwy temperament ponosi go raz jeszcze, tak dalece, że tylko groźba: »kulą w łeb« — z ust Bonaparte'go, powstrzymuje go od burd i swarów.

Bitwy pod Dyndeyt, pod Myt-Ghamar, pod Damanhour, pod Gazah, gdzie na czele kilku szwadronów — Murat rozbija sześciotysięczną jazdę złożoną z Arnautów, Arabów i Mameluków z Diezzar; świetny rekonesans w Safed i Yacoub; zdobycie mostu w Yacoub i zabranie Damasceńczykom olbrzymich łupów; wreszcie kampania syryjska, podczas której Murat — odznaczysz się w licznych wycieczkach — bierze żywy udział w szturmie Saint Jean d'Acre; wszystkie waleczne te czyny nie zdołały przywrócić mu całkowicie życzliwości i sympatii Bonaparte'go. Dokonała tego dopiero bitwa pod Aboukir: nadludzkie niemal męstwo Murat'a, armia turecka zepchnięta w morze, obóz nieprzyjacielski zdobyty a seraskier, Mustafa-pasza, ranny i własnoręcznie wzięty do niewoli przez generała kawalerii francuskiej.

Murat, któremu w czasie walki seraskier strząsał szczękę głównią od pistoletu, mianowany jest na polu bitwy generałem dywizyi; Napoleon zaś posiadający w najwyższym stopniu dar jednania sobie ludzi przez umiejętne nagradzanie cnót i zasług, ofiarowuje brygadzie kawalerii dowodzonej przez Murat'a pod Aboukir zdobyczne »dwie armaty angielskie, przysłane sułtanowi przez rząd Wielkiej Brytanii«; na każdej armacie wyryte będą nazwy pułków, z jakich składała się brygada: 7-my pułk huzarów bis, 3-ci i 14-ty pułk dragonów, na-

zwisko generała Murat'a i generał-adjutanta Roze'go a u wylotu te słowa: Bitwa pod Aboukir.

Znany jest powszechnie przepiękny obraz Gros'a — *La bataille d'Aboukir* — na którym Murat, podobny półbogom starożytności, promieniejący urodą, młodością i siłą, wbijając ostrogi w boki srebrzysto-białego rumaka, z pałaszem w dłoni, wpiera w morze niedobitki wojsk tureckich. Takim Murat był istotnie i takim należy go zapamiętać: siodło na miotającym się wśród szeregów nieprzyjacielskich koniu — było mu tronem, krwawy pałasz — berłem, wrzawa wojenna — atmosferą najlepiej odpowiadającą żołnierskiej jego piersi.

Czy można było żywić urazę do zwycięzcy z pod Aboukir? Wracając do Francji, Bonaparte zabiera Murat'a ze szpitala aleksandryjskiego, lokuje go na fregacie »*La Carrère*«, płynącej pospołu z własną jego fregatą »*La Muiron*« a dwa miesiące później Paryż wita bohaterów. Był to dzień 26-go vendémiaire'a roku VIII-go.

Mówiono, że wówczas, wobec projektowanego przez Napoleona zamachu stanu, Murat przeprowadzić miał agitację wśród oficerów kawalerii, podczas kiedy Lannes zająć się miał piechotą a Marmont — artylerią. Tymczasem, agitacja była zbyteczną, zarówno w łonie armii, jak i w łonie narodu. Z chwilą powrotu Bonaparte'go do Francji, zamach stanu był niejako faktem dokonanym. Naród cały wyczekiwał go i pragnął — syt niezrządu, ucisku i teroru. Trzeba więc było życzenia te wprowadzić w czyn a rzeczą jest niewątpliwą, że — po Lucyianie Bonaparte — Murat i Leclerc

najwięcej przyczynili się do zwycięstwa. Rozkaz wydany grenadyerom przez Murat'a przy wejściu do oranżeryi w Saint-Cloud: »Bębny — przygrywkę! Grenadyerzy — naprzód!« — jest najpiękniejszą przemową, jaką Francya słyszała kiedykolwiek za swoich rządów parlamentarnych. Nigdy też żaden mówca bardziej zasłużonym nie cieszył się uznaniem.

Prawdopodobnie, jeszcze przed 18-tym brumaire'a, generał Bonaparte obiecał swemu generał-lejtnantowi rękę młodszej siostry swojej Karoliny. W chwili zamachu stanu, Karolina — nieświadoma ostatnich wypadków politycznych — przebywała na pensji w St. Germain; lecz Murat, jako prawdziwie rycerski kochanek, w nocy wysłał z Saint-Cloud czterech grenadyerów byleż gwardyi Dyrektoryatu, którzy, zbudziwszy panią Campan gwałtownem dobijaniem się do wrót jej domu — zwiastowali nową godność Bonaparte'go. Pani Campan nie posiadała się z gniewu a Karolina — z radości.

Związek małżeński zawarty został dwa miesiące później, 28-go nivôse. Panna młoda — ładna i wdzięczna, o olśniewającej cerze, fizyognomii pełnej życia i wyrazistości, śmiejących się różowych ustach, białych ząbkach, smukłej i giętkiej jeszcze figurze (później dopiero uwydatniły się wady budowy: zbyt wielka głowa, krótki stan, okrągłe plecy, zbyt szerokie biodra) — wносиła mężowi w posagu 40.000 franków, dar braci, i wyprawę — wartości 12.000 franków. Czemżeż był jednak posag wobec świetnej przyszłości, wobec Francji odrodzonej, wobec bohaterskich czynów

wodza, którego kraj najczulszą darzył miłością, z którym stapiał się w jedno — niby kochanka z kochankiem.

Od tej pory Murat szybko awansuje. Mianowany urzędowo generałem dywizji, dwadzieścia dni później obejmuje naczelne dowództwo Gwardyi konsularnej, następnie — jako generał-lejtnant naczelnego wodza — dowództwo kawalerji Armii rezerwowej; potem naczelne dowództwo obserwacyjnej Armii południowej, wreszcie naczelne zwierzchnictwo Republiki włoskiej z misją uśmierzania buntowniczych zakusów króla neapolitańskiego. Wtedy to, podczas pobytu w Rzymie, zaproszony na obiad do Watykanu, otrzymuje z rąk Piusa VII-go poświęcony różaniec jako dar dla matki; z istic włoską i księżą przebiegłością, Papież zjednał sobie tym sposobem proste i szczere serce żołnierza.

Prezydentura kollegium wyborczego departamentu Lot, gubernatorstwo Paryża, tytuł marszałka Cesarstwa, Wielkiego Admirała i księcia Cesarstwa w roku XIV-tym, generał-lejtnanta Cesarza, Wielkiego Księcia Bergu i Clèves w r. 1806, namiestnika Cesarza w Hiszpanii, króla Obojga Sycylii — oto są godności, które, Murat'ie, zapisać trzeba kolejno w Twojej podoficerskiej książeczce wojskowej. Upłynie wiele lat, wiele stuleci, zanim po raz wtóry — wnuki Twoich prawnuków poszczycić się będą mogli równie świetnym przyczynkiem do dziejów ojczystych! Znojnym trudem, krwią i bliznami podoficer Murat dobił się królewskiej korony.

I jakgdyby wszystko sprzyjać miało mu w ży-

ciu, czworo hoźych dziatki otoczy niebawem młodą i uroczą matkę: pierworodny syn, Napoleon-Achilles, chrześniak pierwszego Konsula i Hortensyi, urodzony w Paryżu 22. stycznia 1801 roku — późniejszy obywatel Stanów Zjednoczonych, autor kilku dzieł, niepospolicie inteligentny; druga z kolei śliczna dziewczuszka o długich kręconych włosach — to ulubienica ojca, Letycya Józefina, której twarzyczka jest wiernem odbiciem twarzy ojcowskiej. Z listów Murat'a do córki — wydanych przez przyjaciela mego Guido Biegi'ego w Nozze Benzoni Martini — przekonać się możemy, jak niezmiernie ją kochał. Letycya Józefina wyszła następnie za mąż za markiza Pepoli de Bolonia i liczne zostawiła potomstwo. Trzecie dziecko, to Napoleon Lucyan Karol, którego wnukowie reprezentują dziś sławę rodu Murat'a. Najmłodsza wreszcie córka, obejmująca oburącz wiązanek kwiecia — to Ludwika Julia Karolina, późniejsza hr. Rasponi.

Jest to kulminacyjny punkt życia Murat'a. Jakkolwiek bujną i lotną była jego wyobraźnia, nie marzył nawet nigdy o równie świetnej doli. A choć przyszły później dni odwetu, choć przypłacił życiem — i jakże gorzko przypłacił! — ową niebywałą świetność, owe urzeczywistnione sny o potędze, to czyż mimo tego, mimo tragicznego epilogu — dola jego nie jest godna zazdrości?

**GENERAL-MAJOR
ALEKSANDER BERTHIER.**

Pewnego ranka roku 1796, we Włoszech, w obecności Denniée'go, naczelnego intendanta armii, Bonaparte uniósł się szalonym gniewem przeciwko szefowi swego sztabu głównego. Kiedy nieco później Denniée znalazł się sam na sam z Berthier'em: »Czy wiesz — zapytał go — że człowiek ten niemożliwy jest w pożyciu?« — »Masz rację, mój drogi — odpowiedział Berthier — pamiętaj jednak że w przyszłości zaszczytem będzie dla mnie kroczyć w cieniu tego człowieka«.

Wówczas już przeczuwał Aleksander Berthier świetne koleje życia swego i wojskowej kariery. Rzeczywistość tak dalece odpowiadała snom i marzeniom, że kiedy w roku 1809 Cesarz nadawał herb człowiekowi, którego trzykrotnie uczynił księciem, wypisał na niem następującą dewizę: *Com-militoni Victor Caesar*. Komuż innemu, krom Berthier'a, dać mógł to chlubne miano? Niewątpliwie, wśród satelitów Bonaparte'go, byli tacy, którzy wcześniej poszli za nim, którzy zbiegiem okoliczności nierozłącznie dzielili jego losy, lecz nikt nie był mu równie wiernym towarzyszem, przyjacielem, sługą, nikt nie cieszył się większym zaufa-

niem Cesarza, nikt nie był mu droższym i bliższym od niego, w ciągu długich lat, począwszy od 7-go Germinal'a r. IV-go, do dni klęski i pogromu, do niezapomnianych dni kwietniowych r. 1814. Berthier umiał zadowolić się — i temu właśnie zawdzięcza nieśmiertelność swego imienia — stanowiskiem drugiego w kraju, umiał ściśle spełniać otrzymywane rozkazy, poprzestawać na skromnej roli wykonawcy. Nie piał się na niedostępne wyżyny, nie usiłował zająć stanowiska, któremu ani umysł jego ani zdolności nie mogłyby podołać. Pozostał tem, czem miał być, czem chciał być i czyż w istocie sława jego nie zyskała na tej skromności i umiarkowaniu? Zajmując pierwsze miejsce, byłby jedynie przyczynił się do własnej zguby. Trzykrotnie powierzano mu naczelne dowództwo: pierwszy raz podczas okupacji Rzymu, w ciągu której nie doszło nawet do potyczki z wojskami papieskiemi; drugi raz, pod Marengo, lecz wówczas dowództwo to było li tylko nominalne, gdyż pierwszy Konsul znajdował się w szeregach; wreszcie, po raz trzeci, w Austrii, w początkach kampanii roku 1809, kiedy popełnione przez niego omyłki oniemiały że groziły porażką.

Niczem więc nie daje się umotywić legenda rozpowszechniona we Francji, już po pierwszych kampaniach włoskich, jakoby Berthier przewyższał Bonaparte'go geniuszem wojskowym, jakoby jemu właśnie Bonaparte zawdzięczał plany strategiczne wszystkich swoich zwycięstw. Stwierdzając wszakże drugorzędność umysłu Berthier'a jako strategika, jako twórcy planów, tembardziej

zaznaczyć należy jego zdolności wykonawcze, z tem większym naciskiem podkreślić trzeba bezprzykładne zaparcie się siebie, bezgraniczne poświęcenie w ciągu tych dwudziestu lat nieustannej pracy, pracy bez wypoczynku, niemal bez wytchnienia; tembardziej oddać należy całkowitą sprawiedliwość jego zdolnościom organizacyjnym, zdolnościom chwytania w lot cudzych myśli, jeśli można tak się wyrazić — zdolnościom podporządkowywania, które górują w Berthier'ze, dzięki którym, z matematyczną ścisłością, zawsze i wszędzie potrafi się oryentować, zawsze i wszędzie rozbudzać umie męstwo i silną wolę, rozpraszać i usuwać wątpliwości.

Berthier jest i pozostanie wzorem szefa sztabu głównego. Najpierw dlatego, że lepiej niż ktokolwiek znał swój zawód i spełniał swoje obowiązki; następnie dlatego, że znając jeden zawód, nie pretendował do znajomości wszystkich innych; wreszcie dlatego, że tak samo jak nie piał się na wyżyny najbardziej zawitych kombinacji strategicznych, omijał tajniki kombinacji dyplomatycznych, że nigdy nie starał się uchodzić za niezwykłego wodza i wytrawnego polityka, jak czynią to zazwyczaj współcześni nam szefowie sztabu, jakkolwiek na ogół nie odznaczają się ani bardziej wybitną inteligencją, ani wartością osobistą, ani nawet kompetencją w danym kierunku.

* * *

Nie będąc już młodzikiem w chwili wybuchu Rewolucyi — gdyż, urodzony w Wersalu 20-go listopada 1753 roku, liczył z okładem czterdziestkę w czasie rozpoczęcia kampanii włoskich — Berthier, w ciągu całej prawie długoletniej kariery swojej, odznaczał się niepospolitą czynnością i pracowitością, która jest najcelniejszą zaletą każdego szefa sztabu. Z niezwykle silnej i zdrowej pochodząc rodziny — »z rodu, pisał do niego Cesarz, w którym poszczególne jednostki żyją po ośmdziesiąt lat« — żadnem nie dotknięty kalectwem, prowadził życie wstrzemięźliwe, zahartowany był wśród trudów i największych niewygód. Jeśli, począwszy od r. 1812, działalność jego słabnie, to czyż wielu ludzi byłoby w stanie pracować równie usilnie w tym wieku? Wszakże Napoleon sam wyrzekł te pamiętne słowa, że »w czterdziestym roku życia jest się już niezdolnym do wojaczki«. Któż tak dalece nieświadom jest historii militarnej wszystkich krajów i wszelkich epok, aby rozmyślnie nie uznawać tej wielkiej prawdy dziejowej, uświęconej — niestety! — klęską tych ludów, które ośmieiliły się lekceważyć ją? Począwszy od r. 1812, Berthier obniża swój lot, dlatego, że ma już wówczas lat pięćdziesiąt dziewięć. Biada narodom, które w dniach walki powierzają dowództwo wojskswoich siedmdziesięcioletnim generałom!

Obowiązki szefa sztabu głównego tak jak spełniał je Berthier, tak jak powinny przez wszystkich być pojmowane, nawet pod kierunkiem wodza podobnego Napoleonowi, obejmują nieskończoną ilość szczegółów, z których żaden nie jest

nadmierny ani zbyteczny. Przy nader nielicznym, jakkolwiek doborowym — personalu, jakim Berthier rozporządza, obowiązany jest nietylko rozesać rozkazy Cesarza — każdy z tych rozkazów przepisywano ośm, dziesięć, dwanaście razy, zarówno w rejestrach służbowych, jak w poszczególnych pismach do osób interesowanych — lecz nadto spełniać je osobiście odnośnie do obrotów wojska i administracyi; musi przeglądać, gromadzić i wysyłać raporty o pozycjach, organizacyi i składzie armii, czuwać nad ekspedycją każdej depeszy; osobiście wręcza papiery dyżurnemu oficerowi sztabowemu, osobiście wydaje mu zlecenia, wskazuje najlepszą, najbezpieczniejszą drogę. Wysyła w ten sposób, z tym samym rozkazem — nie jednego, lecz sześciu, siedmiu, ośmiu oficerów. W r. 1807, podczas marszu Cesarza na Eylau, Berthier wysyła równocześnie do marszałka Bernadotte ośmiu oficerów — ośmioma różnymi drogami. Dociera do celu jeden tylko z nich, wysłany na ostatku z głównej kwatery: pozostałych siedmiu dostało się do niewoli. Znane jest charakterystyczne zdanie Napoleona, kiedy pod Waterloo zapytuje Soult'a generał-majora ostatniej swojej armii, dlaczego Grouchy nie przybywa i czy wysłano mu odpowiednie rozkazy: »Wysłałem jednego oficera« — rzekł Soult. »Generale — odpowiedział Cesarz — Berthier byłby wysłał stu!«

Berthier jest tylko odbiorcą przekazywanych w ten sposób rozkazów; sam ich nie wydaje, zbyt jest zresztą zajęty prowadzeniem biur sztabu. Odbierając zwykle z kancelaryi cesarskiej istotną

treść tych rozkazów, poprzestaje na zmianie zewnętrznej ich szaty i dodaniu formuł wrodzonej sobie uprzejmości. Nie sądzono wówczas, aby zwycięstwo — jakkolwiek chyże i naglące do pośpiechu — wykluczało grzeczność i należne względy, aby hierarchia tak dalece była zbyteczna, że zbytecznymi również stawały się zewnętrzne jej objawy.

W ciągu dnia, nieodstępny będąc Cesarza, odbierał ustne rozkazy, które zapisywał, lub kazał zapisywać swojemu sekretarzowi. W ciągu nocy — oprócz rozkazów przysyłanych z gabinetu cesarskiego — Cesarz niejednokrotnie wzywał go do siebie. Budzono go zawsze, ilekroć przybywał do głównej kwatery oficer z depeşami. Wstawał natychmiast i szedł do Cesarza wraz z oficerem, aby Napoleon mógł w razie potrzeby osobiście go wybadać. Dlatego też nie zażył nigdy ani snu spokojnego, ani wypoczynku. Wszak w ciągu jednej nocy w Warszawie, z 7-go na 8-go stycznia 1807 roku, Cesarz siedmnaście razy wzywał do siebie generał-majora!

Rzadka to zaleta mózgu do tego stopnia obywać się bez snu. Kiedy pewnego dnia oficer sztabowy zazdrościł tej zalety hr. Daru, o którym Cesarz mawiał »że jest wołem roboczym«: — Ks. Neuchâtel znacznie silniejszym jest odemnie — odpowiedział Daru. — Czuwać mogłem najwyżej dziewięć dni i dziewięć nocy, podczas kiedy książę — nie kładąc się — spędził raz przy pracy lub na siodle pełnych trzynaście dni i trzynaście nocy. A zawsze niezmiennie pogodnego był usposobienia,

zawsze uprzejmy, uśmiechnięty, dla wszystkich jednakowo przystępny, dla wszystkich jednakowo grzeczny, onieśmielony jedynie nieprzewyciężoną nawyczką ciągłego obgryzania paznokci.

* * *

Niezwykła ta grzeczność była owocem starannego wychowania. W chwili wybuchu rewolucji, Berthier był już człowiekiem dojrzałym. Nie mógł więc, tak jak wielu innych, szlachetniej nawet urodzonych, przeistoczyć się, wyzbyć oglady, nawyknąć do rubasznych wyrażenń żołnierskich i szorstkiego obejścia. Był wprawdzie szlachcicem świeżej daty, gdyż ojciec jego, Jan Bąbtysta Berthier, dymisyonowany kapitan pułku Royal Comtois, z zawodu inżynier-geograf wojskowy, otrzymał szlachectwo dopiero w r. 1793. Posiadał jednak w wysokim stopniu — poza niepospolitą umiejętnością techniczną — poczucie karności i zdolności wychowawcze. Próba zawodowych zdolności jego jest Mapa myśliwska (Carte des Chasses), będąca we Francji arcydziełem swego rodzaju, oraz wzniesiony w Wersalu pałac spraw zagranicznych, wojny i marynarki, którego był budowniczym i dekoratorem, który pod każdym względem przynosi zaszczyt swemu twórcy. Poczucie karności uwidocznia się w licznych rozporządzeniach, jakie wydał na stanowisku administratora tego gmachu; zdolności pedagogiczne — w sposobie, w jaki wychował synów swoich: Aleksandra, Cezara i Leopolda. Ambitne rojąc dla nich plany na przyszłość

sam ich wychowywał a gdy najstarszy skończył lat dwanaście — umieścił go w korpusie inżynierów geografów — (1-go stycznia 1766 roku). Cztery lata później Aleksander Berthier zostaje nadetatowym porucznikiem piechoty; następnie zaś — w r. 1772 — porucznikiem w służbie czynnej w Legii flandryjskiej. Mianowany kapitanem dragonów w r. 1777, przeszedłszy dwa lata później do konnych szaserów a następnie do piechoty z Soissonais, otrzymuje w r. 1780 w dożywocie zarząd wersalskiego pałacu spraw zagranicznych. W roku 1781 bierze udział w kampanii amerykańskiej w randze drugiego zastępcy generalnego kwatermistrza w armii generała Rochambeau; przyłączony do sztabu głównego, zostaje zastępcą generalnego kwatermistrza, 2-go grudnia 1787 r., majorem — w r. 1788, pułkownikiem sztabu — 11-go lipca 1789 roku. Widzimy więc, że w zaraniu niemal jego kariery wojskowej nazwisko Berthiera figuruje w sztabie głównym. Nabyte w latach młodocianych wiadomości techniczne oddały znamienite usługi generał-majorowi, gdyż jakkolwiek wchodził w skład rozmaitych korpusów między r. 1770 a r. 1780 — w rzeczy samej pracował wszędzie jako inżynier-geograf. »Studia geometryczne wywarły tak wielki wpływ na jego umysł — mówi jeden z adjutantów Berthiera — że później wszystkie rozkazy jego i pisma odręczne, redagowane były niezmiernie zwięzłe i w kilku słowach — z matematyczną ścisłością — objaśniały najbardziej zawile operacje wojenne«. Z długoletniej przygotowanej tej działalności, praktycznej i sumiennej

działalności — która poprzestawała na małym, która ograniczała się do zdejmowania map i rysowania planów, Berthier wyniósł szczere zamiłowanie i niepospolity talent do prac graficznych, talent ujawniający się w następstwie niejednokrotnie w sprawach inżynierii sztabu głównego.

W chwili wybuchu Rewolucji był więc już człowiekiem dojrzałym o zrównoważonej umysłowości. Prócz wiadomości technicznych, niezbędnych inżynierowi sztabowemu, posiadał pewną praktykę wojenną, zdobytą wśród osobliwych warunków wojen ówczesnych, warunków — które później dziwnie wierne znalazły jednak odbicie w bohaterskich zapasach Francji z Europą.

* * *

Lecz wybucha oto Rewolucya. W jaki sposób ocaleje Berthier? W jaki sposób wyjdzie cało z tej straszliwej zawieruchy syn nowo kreowanego szlachcica, który cieszy się łaską dworu, który zostaje kawalerem orderu św. Ludwika w trzydziestym czwartym roku życia, pułkownikiem sztabu — w trzydziestym szóstym, który dziedziczy po ojcu zarząd, będący właściwie synekurą o 6.000 franków rocznego dochodu? Niewątpliwie, karierę swoją zawdzięcza w znacznej mierze własnym zasługom w części jednak i stosunkom matki swojej, z domu panny Lhuillier de la Serre, przywiązanej niegdyś do osoby hr. Prowancyi w jego latach dziecięcych. U dworu uważany jest za wypróbowanego zwoleńnika, to też ogólnym poklaskiem powitano jego

nominację na generał-majora wersalskiej gwardyi narodowej, spodziewając się, że wpływ jego równoważy wpływy rewolucjonistów a w szczególności szefa batalionu Lecointre'a. Wierny przekonaniom rojalistycznym, jest jednym z tych, którzy przyczynili się do odrzucenia warunku postawionego królewskiej gwardyi przybocznej: złożenia cywilnej przysięgi oraz zamiany białej kokardy Burbonów na trójbarwną kokardę narodową. Gdyby to od niego tylko zależało, to w d. 5. i 6. października milicya wersalska byłaby odparła zbuntowane i zbrodnicze tłumy. Kiedy La Fayette — marzyciel-poeta w mundurze żołnierza — wierzy, iż bezkarnie »kierować można piorunami« i że stłumić można bunt, stając na jego czele, Berthier zmuszony jest ustąpić przed wyraźnym rozkazem władz wyższych; później jednak, po okrutnej rzezi przybocznej gwardyi królewskiej, po haniebnym powrocie króla do Paryża — La Fayette zdaje się uznawać, że niekiedy środki gwałtownej represyi mają rację bytu i przyłącza Aleksandra Berthier'a do swego sztabu głównego.

Podczas tego pobytu w Paryżu, jawnie i otwarcie należy Berthier do stronnictwa rządowego. Nie waha się głosować za wystawieniem pomnika żołnierzom wymordowanym w Nancy; eskortuje siostry królewskie do granic Francyi; na czele płatnej gwardyi narodowej uśmierza bunt na Polu Marsowem; narażany jest ustawicznie na obelgi i denuncyacje Marat'a, jego zwolenników i pamphletistów wszelkiego rodzaju. Jakim cudem ocalał, dzięki jakim przywilejom, jakiej protekcji, pod-

czas kiedy wszyscy dawni jego towarzysze broni z wojen amerykańskich są prześladowani, więzieni, mordowani — oto zagadka, po dziś dzień nierozwiązana. Wprawdzie — podczas niefortunnej ucieczki króla do Varennes — Berthier »okazał, że jest lojalnym i szczerym patryotą«; wprawdzie, służąc w wojsku, w ciągu sześciu miesięcy — niezmordowanie organizował, ćwiczył i dowodził dziesięciotysięczną gwardyą narodową, rozrzuconą między rzekami Somme'ą i Marne'ą; wprawdzie zorganizował następnie 3-ci batalion ochotniczy Seine i Oise a w chwili wybuchu wojny — urzędując w Dépôt wojennem — na własne żądanie przeniesiony został do służby czynnej; lecz czyż Biron, Custine, Beauharnais, La Fayette, Montesquieu i tylu innych, równie jak on a może nawet więcej zasłużonych, zdołało mimo to ująć oskarżeniu, prześladowaniu, śmierci?

W chwili upadku Burbonów, Berthier tak dalece jest już podejrzany, że wkrótce później, dnia 20-go sierpnia zasuspendowany zostaje w czynnościach szefa sztabu armii Luckner'a; po tygodniu, przywrócono go wprawdzie do tej godności, lecz jedynie po to tylko, aby niebawem usunąć go definitywnie (20-go września).

Wydalony z wojska, powraca do Wersalu. Upływa ośm miesięcy. Po rzeziach wrześniowych, które przeprowadziły przemocą wybory do Konwencji — zapanowała chwilowa cisza. Skrajne żywioły Rewolucyi jednego tylko na razie żądają okupu, jednej głowy: głowy króla. Wraz ze śmiercią Ludwika XVI-go, wszczynają się niesnaski,

wszczyna walka między Żyrondą a Jakobinami. Ludzie tacy jak Berthier mogą teraz wypłynąć. Lecz oto wypadki z zawrotną ścigają się szybkością: partya umiarkowana upada, nieodwołalnie, pociągając za sobą ruinę i śmierć wszystkich swoich stronników. Pozostaje jedna tylko deska ratunku; wojsko. Berthier, usunięty z armii w randze oficera sztabowego, zaciąga się do szeregów jako ochotnik; polegając na odnośnem rozporządzeniu Komitetu Ocalenia Publicznego (Comité du Salut Public), który składał się jeszcze podówczas z żywiołów bardziej umiarkowanych, opuszcza Paryż 11-go maja 1793 r. i podąża ku Armii wandejskiej. Z chwilą przybycia jego do Saumur, dn. 14-go maja, miejscowi reprezentanci rządu — Goupilleau de Fontenay i Garnier de Saintes — uszczęśliwieni, iż nadarzył im się zawodowy żołnierz, polecają mu towarzyszyć generałowi Ronsin i Komisarzom władzy wykonawczej podczas rekonesansu wskrós zbuntowanej prowincyi. Po potyczce pod Saumur, gdzie Berthier odniósł kilka ran i gdzie ubito pod nim dwa konie, Reprezentanci rządu powołali go na stanowisko szefa sztabu Armii po-brzeży La Rochelle, dowodzonej przez generałów Duhoux i Menou (12 czerwca). Komitet Ocalenia Publicznego nominację tę zatwierdził, lecz, kiedy Berthier wysłany z prośbą o posiłki (12-go lipca) — przybywa do Paryża, tenże Komitet wzbrania mu powrotu do Wandei.

Francya jęczy podówczas pod strasznym jarzmem Teroru. Gdzie spędził Berthier owe dwaście miesięcy, od chwili przybycia do Paryża —

połowy lipca 1793 roku — do 27-go lipca (9 thermidor'a) 1794 r.? W jaki sposób, dzięki jakim wybiegom, człowiek tak dalece podejrzany przez rewolucjonistów — zdołał ująć niebezpieczeństwu? Posiadał wprawdzie ku swojej obronie »dziewięćdziesiąt cztery świadectw osób wiarogodnych, stwierdzających szczerą jego przekonań rewolucyjnych« — świadectw, które wydane mu zostały przez władze konstytucyjne, gwardyę narodową, przedstawicieli ludu, generała Santerre'a, pułkowników, kapitanów, przez cały zastęp ludzi wszelkich zawodów. Czemżeż było jednak to wszystko? Beauharnais więziony mimo świadectw kolejno u Karmelitów i w Conciergerie, zginął na gilotynie. Berthier usiłuje za wszelką cenę bronić się, opiewa własne zasługi, w ciągu jednego tylko roku czterokrotnie ogłasza drukiem rozmaite podania, próby odpowiedzi, zapominając — iż najgorszą w danych warunkach posługuje się metodą. Zamiast wykorzystać jedyny podówczas środek obrony, zamiast usunąć się w cień, Berthier usiłuje przeciwnie wypłynąć na widownię w imię oddanych krajowi usług. Czy istotnie był więziony? Mniemanie to nasuwa tytuł jednej z jego broszur, milczą wszakże o tem liczne biografie Berthier'a, niezwykle pobieżne, częstokroć niezgodne z prawdą¹⁾. Jakkolwiek

¹⁾ W rzeczy samej, przebywał podówczas w Précy-sur-Dise, w majątku jednego ze szwagrów swoich p. d'Aurange d'Haugéranville; będą miał jeszcze prawdopodobnie sposobność wspomnieć o tym pobycie Berthier'a, który opłacić musieli w przyszłości mieszkańcy Précy a zwłaszcza mieszkańcy okolicznych gmin.

bądź, ginie z oczu w lipcu 1793 r., aby wypłynąć na widownię dopiero w marcu 1795 r., kiedy na wyraźne żądanie generała Kellermann'a mianowany jest szefem sztabu Armii alpejskiej i włoskiej. Świadcstwo, wydane mu w owym czasie przez Dubois-Crancé'go, wykazuje wyraźny zamiar uniewinnienia go, zamiar silniej jeszcze podkreślony w patencie, jaki otrzymał Berthier z rąk generała dywizyi d. 13-go czerwca: »Godne uwagi i poparcia — mówi Dubois-Crancé — są zdolności tego oficera sztabowego, zwłaszcza w stosunku do prac sztabu głównego. Usunięcie go z szeregów nie było śnać dostatecznie umotywowane, skoro nagrodzono awansem znamienite usługi, oddane przezeń w Wandei już po 20. czerwca (1792 r.), t. zn. w epoce, w której różnorodne stawiano mu zarzuty. O nominacyę jego dopominał się generał Kellermann, popierany przez Richard'a i kilku innych deputowanych.

Tam we Włoszech, następuje przełom w losach Berthier'a; tam — w rok później — napotka on Tego, którego geniusz ogarnie niebawem świat cały, który — zespoliwszy się z nim nierozdzielnie — uczyni zeń swego pomocnika, swoją prawą rękę i — poprzez zwycięstwa — powiedzie go ku nieśmiertelnej sławie.

Aż do chwili wejścia w skład Armii alpejskiej, Berthier odbył istotnie jedną tylko kampanię — kampanię amerykańską — i to jako podrzędny oficer. Nie można brać w rachubę ani kampanii w armii Luckner'a, ani też miesięcznego pobytu w Wandei. Niepospolite zdolności swoje wy-

kazał dopiero we Włoszech, jako szef sztabu armii Kellermann'a, organizując biura sztabowe według zasad i formuł, którym wierny pozostanie do końca. Są to rejestra, numerowane od jednego do dziesięciu, które obejmują wszystkie potrzeby wojska, według których — w niezmiennym porządku — rozsegregowane są materiały, dotyczące organizacyi, zarządu, rachunkowości, historii a nawet anegdot armii.

Od tej pory Berthier stosuje się zawsze do następującej zasady: »Nikt nie może nic wysyłać na własną rękę i we własnem swoim imieniu. Wszystkiem kierować winien szef sztabu głównego, który jest ośrodkiem wszelkich operacyi wojennych. Wszelka korespondencya jemu przynależy. On podpisuje wszystko«. — Niewiadomo, czem kierował się Berthier — czy wrodzonym rozsądkiem i inteligencyą, czy matematycznym wykształceniem, czy też wreszcie logiką faktów i okoliczności — kładąc podwaliny wiedzy, która opierała się w owym czasie jedynie na tradycyi i doświadczeniu, która nie rozporządzała ani specjalną szkołą kształcącą w danym kierunku młodych oficerów, ani też żadnej jeszcze nie wydała pracy ani podręcznika. Owóż, bez odpowiedniego kierownictwa, niemal bez przygotowania Berthier stał się odrazu mistrzem i wzorem. Posłuchajmy, co mówi o nim jeden z jego adjutantów: »Napoleon był twórcą koncepcyi wojennych, wskazywał środki i sposoby, rozpałał serca i wyobraźnię, czyniąc wszystko możliwem i wykonalnem. Berthier segregował rozkazy wyznaczał każdemu co czynić należało, aby współ-

działać z całością, usuwał trudności, o każdym najdrobniejszym pamiętał szczegóły.

Napoleon znalazł więc w nim człowieka, który go uzupełniał, na którym całkowicie mógł polegać; a jakkolwiek mimo to nie zrzeka się kierownictwa jakkolwiek zawsze i wszędzie sam wszystkiego dozoruje i w razie potrzeby miesza się nawet do szczegółów, to jednak — przynajmniej aż do r. 1812, jeśli można tak się wyrazić, rozkaz-macierz, przez niego wydany, Berthier w swoje pracowite bierze dłonie, dzieli na grupy, odłamy, gałęzie, gałązki, o wszystkim pamięta, wszędzie jest obecny, zawsze czujny, niezmordowany, najwierniejszy z wiernych.

Wiele to pracy, wiele niezmiernego trudu w ciągu tych długich dwudziestu lat! W r. 1795, 1796 i 1797 — kampanie włoskie, zdobycie Rzymu; w 1798 — wyprawa do Egiptu; w roku 1799 — kampania syryjska, następnie powrót do Francji a począwszy od brumaire'a — reorganizacja armii; w r. 1800 — kampania uwieńczona zwycięstwem pod Marengo i nadzwyczajne poselstwo do Hiszpanii o wojskowym charakterze; następnie, urzędowanie w ministerium wojny; w r. 1803 i 1804 obóz w Boulogne i przygotowania do inwazji; w r. 1805 — kampania austriacka, bitwa pod Austerlitz, potem zaś — niemal że nie powracając do Francji — w r. 1806 i 1807 — dowództwo Armii okupacyjnej, kampania pruska i obie kampanie polskie; w r. 1808 — Hiszpania; w r. 1809 — Austria; w roku 1810 — wielkie poselstwo do Wiednia z prośbą o rękę arcyksiężniczki Maryi Lu-

dwiki; następnie, od r. 1812 aż do r. 1814, bez przerwy, bez wytchnienia — wojna, ciągła wojna, ciągła praca, nieustanna pisanina, ciągle wydawanie i rozsyłanie rozkazów, wciąż, dzień i noc. Berthier przykuty jest do biurka swego, jak katorżnik do kajdan i taczki. Lecz mimo tej straszliwej pracy, pracy ponad siły, nigdy — i na to właśnie specjalny należy kłaść nacisk — nigdy Berthier nie opuścił »czynnej służby« przy boku Cesarza, »służby — pisze on w r. 1813 — do której przywykłem od lat dwudziestu i której nie porzucę póty, póki tylko starczy mi sił towarzyszyć Waszej Ces. Mości«.

Służbę tę pojmował Berthier w ten sposób, że obierał zawsze najniebezpieczniejsze, najbardziej zagrożone pozycje i stamtąd dopiero obserwował przebieg walki. A czynił to nie tylko podczas pierwszych kampanii włoskich, gdzie każdy, nie wyłączając Bonaparte'go, był kolejno »grenadierem, huzarem, artylerzystą«; gdzie generałowie w pierwszych walczyli szeregach, ze sztandarem lub szablą w dłoni, pod gradem kul austriackich; nie tylko w epicznych tych walkach, przypominających bohaterskie zapasy Homera, w których wodzowie przedewszystkiem własne narażali życie, w których ginął np. cały sztab główny a Bonaparte — cudem niemal ocalony — z pod zabitego wydostawał się konia; lecz w dniach świetności i chwały, np. pod Wagram, gdzie ks. Neuchâtel'u, ks. wice-koniuszy dworu, generał-major zwycięskiej armii przechadzał się wolnym krokiem wśród okropniejszej strzelaniny, wśród świstu kul, wśród

jęków konających i rannych, ze zwykłym sobie niewzruszonym spokojem, ogryzając jak zazwyczaj paznogie. »Nierozumiałem wprost było, że ktośkolwiek mógł wyjść cało z tego piekła« — opowiada naoczny świadek. Żywił najgłębszą część dla honoru wojskowego i jakkolwiek niejednokrotnie liczne dał dowody nieustraszonego męstwa, sądził, iż w dalszym ciągu nic nie zwalnia go od nowych w tym kierunku usiłowań. Podczas marszu na Moskwę, kiedy — na skutek żywej sprzeczki co do dalszych operacji wojennych — Napoleon powiedział mu w gniewie, że może odjechać, jeśli czuje się znużonym: »Wobec nieprzyjaciela — odrzekł Berthier — generał-major nie porzuca armii; bierze do rąk karabin i bije się jak prosty żołnierz«.

Napoleon wynagradzał odpowiednio istotnie niezrównane te zalety. Nigdy zapewne, w żadnym kraju, nikt nie doszedł do tylu godności, nikt nie był do tego stopnia wyróżniany i faworyzowany. Berthier był marszałkiem Cesarstwa, komandorem Legii honorowej, szefem Kohorty, następnie członkiem Rady Głównej Legii; Wielkim dygnitarzem orderu Żelaznej Korony, Komandorem Żelaznej Korony, wielkim łowczym, potrójnym księciem: ksiązęciem suwerenem Neuchâtel'u i Valengin, ks. wice-koniuszym Cesarstwa, ks. Wagram'u; generał-pułkownikiem Szwajcarów, dożywotnim przewodniczącym kollegium wyborczego departamentu Północy. Pobiera 140.000 fr. pensyi i ma rocznie 1.254.945 franków dochodu z dotacyi. Posiada zamek Grosbois, dar pierwszego Konsula, kupiony od generała

Moreau za milion franków — i Chambord, okolony wspaniałymi lasami, w których jednorazowy poręb przynosi 200.000 franków. W Paryżu zamieszkuje dawny pałac Bertin, na rogu ulicy Neuve des Capucins i bulwaru tegoż imienia, dokąd w r. 1848 przeniesione zostanie ministerium spraw zagranicznych. Żona jego, księżniczka bawarska, z królewskiego jest rodu i królewską wnosi krew w żyły potomków inżyniera-geografa i służebnej hr. Prowancyi. Stajnie jego i sfory świetniejsze są, bardziej rasowe, lepiej niemal utrzymane niż stajnie i sfory cesarskie. Jest on Ksiązęcą Wysokością i Jaśnie Oświeconym. Koło niego roi się tłum szambelanów i lokai, żółto odziany — gdyż jest to ulubiony jego kolor; osoby jego strzeże batalion żołnierzy — również w żółtych mundurach — zwanych pospolicie »kanarkami ks. Neuchâtel'u«.

Tytuły i godności, coraz wyższe, coraz świetniejsze, przechodzące nawet najśmielsze sny jego i marzenia. Właściwością ludzi genialnych — takich jak Napoleon — jest nienasycona ambicja, której polotu nic nie zdoła obniżyć, która pnie się coraz wyżej, nie zatrzymując się nigdy, nigdy nie wypoczywając — niezmordowana i niezgłębiona. Nie będąc geniuszem, Berthier przeciwnie byłby wolał zatrzymywać się, wypoczywać, uważając — iż zbędnym jest nieustanny wysiłek, zbędną nieustanną pogoń za sławą i władzą. Po sześćdziesięciu latach pracowitego żywota, sądził, iż dwa miliony rocznej renty, tytuł ksiązęcy i rozliczne godności są dostateczną i jednocześnie najwyższą nagrodą działalności jego i zasług. I nieraz, począwszy od

kampanii rosyjskiej, od r. 1812 — sterany nadmierną pracą i trudami, w nędznej izbie ubogiej chłopskiej chaty, ten nowoczesny Tantal gorzko oplakuje przepych, którego nie jest mu danem zakosztować, te zamki i pałace, ten olbrzymi magnacki majątek, podczas kiedy wśród wycia wichury — przymiera tutaj głodem, wiecznie zziębnięty, żarty przez robactwo, pracując ciągle, nieustannie, bez wypoczynku, bez wytchnienia.

Wbrew zdaniu p. Fauche-Borel'a, w tem jedynie dopatrywać się należy przyczyn upadku duchowego i rozterki r. 1814. Mści się też wkrótce i upadek ten i rozterka, nadchodzi chwila życiowego odwetu: tajemniczy dramat, jaki rozegrał się w Bydgoszczy — samobójstwo, morderstwo, czy prosty przypadek? — a później dziwna niepamięć cnót i zasług człowieka, który był niewątpliwie jednym z najwierniejszych synów ojczyzny, który tak znacznie przyczynił się do jej sławy, którego historia pomieścić winna tuż przy boku Cesarza jako powiernika zamiarów jego, jako najlepszego, najsumienniejszego wykonawcę jego planów i pomysłów militarnych.

SPIS RZECZY.

	Str.
Fryderyk Masson	V
Do Czytelnika	1
Napoleon a kobiety	11
Kuzyn Napoleona	50
Czy Napoleon był religijnym	61
Odwet Konkordatu	77
Ideologowie	87
Armia z pod Austerlitz	95
Dzielnica Austerlitzu	105
Dotacje i majoraty. Bankructwo	115
Napoleon jako jeździec	127
Cesarzowa Marya Ludwika w Blois 2—9 kwietnia 1814	147
Wahania się Maryi Ludwiki. Kwiecień 1814	161
Generał Hr. de Flahout	179
Wierne podobizny Napoleona	203
Sto lat temu. — Cesarstwo	229
Bonaparte a Luizyana	241
Napoleon a finansisci	251
Syn Księcia Reichstadtu	261
Murat. Pierwsze kroki króla	279
Generał-major Aleksander Berthier	299

BIBLIOTEKA
Oficerskiej Szkoły Artillery Nr 2 W. P.
Nr. Inw.
Nr. Inw.